

JOHN WICKSTEAD

POEZYE

WICZ
YE

POEZYE ADAMA MICKIEWICZA.



A. M. M. M. M. M.

POEZYE
ADAMA MICKIEWICZA.

NOWE WYDANIE.

z życiorysem autora, skreślonym przez

PIOTRA CHMIEŁOWSKIEGO.

TOM PIERWSZY.

WARSZAWA.
KSIĘGARNIA
GEBETHNERA I WOLFFA.

PETERSBURG.
KSIĘGARNIA POLSKA
(BR. RYMOWICZ).

—
1888.

Дозволено Цензурою.

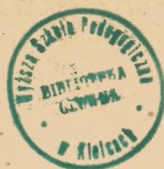
Варшава, дня 12 Ноября 1887 г.

ADAM MICKIEWICZ.

(ŻYCIORYS).

*O gdybym kiedyś dożył tej pociechy,
Żeby te księgi zbłądziły pod strzechy!...*

(Wstęp do „Pana Tadeusza“).



77256

ADAM MICKIEWICZ.



Na początku XIX-go stulecia Litwa znajdowała się w stosunkowo lepszym położeniu pod względem możności rozwoju duchowego, aniżeli inne prowincye byłej Rzeczypospolitej polskiej, które weszły w skład Prus i Austryi.

I tu i tam znikły wprawdzie prawa samorządu, któremi poprzednio jedna warstwa narodu, szlachta, zabezpieczyła sobie swobodę; ale w innych dziedzinach życia, a przynajmniej w jednej z najważniejszych—w zakresie wykształcenia—nie było już takiego podobieństwa. Gdy bowiem w Galicyi zniemczone zostały zakłady naukowe oddawna i stanowczo, a w ziemiach polskich pod panowaniem pruskim do tegoż celu zdążano powoli, ale systematycznie; to na Litwie i Rusi nastąpiła właśnie wraz z wiekiem XIX-ym najświetniejsza doba rozwoju szkół, z językiem wykładowym polskim.

Dzięki gorliwości i staraniom księcia Adama Czartoryskiego, który obok sprawowania urzędu ministra spraw zewnętrznych w cesarstwie, miał oddany w opiekę wydział naukowy wileński, obejmujący w sobie zakłady wychowawcze wszystkich prowincyj pol-

skich; dzięki energii i rozległemu pojmowaniu zadania swego przez Tadeusza Czackiego, wizytatora szkół na Rusi, wykształcenie wyższe i średnie w owych stronach rozwinęło się tak bujnie i stanęło tak wysoko, jak nigdy przedtem.

W r. 1803 przemieniona została Szkoła Główna wileńska na całkowity uniwersytet, z hojnem jak na owe czasy uposażeniem katedr i z poddaniem pod jego zarząd wszystkich szkół w prowincjach litewskich i ruskich. Do zajęcia katedr uniwersyteckich powołano ludzi zdolnych i w nauce zamięłowanych, zarówno z pośród krajowców jak i cudzoziemców, którzy żyjąc w atmosferze polskiej, przywiązywali się i do zakładu naukowego i do nowej ojczyzny, wspólnie z krajowcami dążąc do rozszerzenia i pogłębienia nauki, oraz do zapalenia miłością ku niej umysłów młodzieńczych. Obok uniwersytetu wileńskiego stanęło r. 1805 wyższe gimnazjum wołyńskie w Krzemieńcu, które później nazwę liceum otrzymało, a kierunkiem swoim praktycznym dopełniało kierunek teoretyczny uniwersytetu. Wreszcie w r. 1812 otwarty trzeci zakład wyższy, akademія jezuicka w Połocku, z właściwem sobie religijnem zabarwieniem, budził umysły przez samo sprzeciwianie się liberalnemu prądowi, jaki w dwu innych panował. Szkoły średnie w liczbie dość znacznej, po większej części przez księży prowadzone, ułatwiały nabycie oświaty początkowej, przyczyniały się do wyrobienia wśród ogółu szacunku i poważania dla pracy umysłowej i przysposabiały zdolniejszą młodzież do nauk wyższych. Od czasu, zwłaszcza gdy znakomity matematyk i astronom, Jan Śniadecki, został rektorem uniwersytetu wileńskiego a zarazem kierownikiem głównym wszystkich szkół na Litwie i Rusi (r. 1807), rozpoczął się tam najświetniejszy okres rozwoju umiejętności i zamięłowania do niej wśród szerokich warstw społecznych.

Jak pod koniec wieku XV-go do Krakowa, tak w początku XIX-go do Wilna i Krzemieńca tłumem

cisnęła się młodzież pełna zapału, pragnąca zdobyć sobie jaknajwiększy zakres wiedzy.

Zmiana dawniejszych stosunków społeczno-politycznych wpływała potężnie na rozbudzenie i podtrzymanie tego zapału.

Poprzednio, za czasów Rzeczypospolitej, bylejakie wykształcenie dawało już szlachcicowi możność sięgania po urzędy i dostojęstwa, gdyż każdy przez samo swe urodzenie otrzymywał już do nich pewną kwalifikacyą. Uboższa szlachta garnęła się na dwory magnatów i na nich odbywała swe akademickie studia, zanim za łaską lub protekcyą nie dostała czy urzędu, czy zajęcia korzystnego wogóle. Teraz magnaci stracili polityczne znaczenie całkowicie, nie potrzebowali więc już tak licznych dworów; szlachta musiała myśleć o sobie; a że do urzędów i stanowisk wszelakich nauka okazywała się konieczną, należało się osiągnięciem pewnego przynajmniej jęj stopnia zająć gorliwie. Na dworach można się było dosłużyć zaledwie stanowiska oficjalisty lub zostać pieczeniarem, a taka perspektywa na przyszłość nie mogła być zachęcającą; ztąd wynikło garnięcie się do nauki, bardzo widoczne wśród szlachty drobnej na Litwie, gdyż w nauce zaczęto upatrywać potężne narzędzie wzniesienia się na wyższy szczebel towarzyski, zdobycia dogodniejszych warunków życia, wybicia się na samodzielność.

Jak gdzieindziej stan trzeci, mieszczaństwo, tak u nas szlachta drobna, zagonową lub zaściankową zwana, występuje do spółzawodnictwa z warstwami bogatszymi, dawniej już ukształconemi, i dzielnie się w tém spółzawodnictwie przez czas długi trzyma, dostarczając społeczeństwu setki nauczycieli, literatów, prawników, lekarzy, agronomów, techników, wpływając silnie na rozwój życia umysłowego, artystycznego i ekonomicznego.

Z szeregów takiej drobnej szlachty, dla której otwierały się rozległe na przyszłość widoki, wyszedł

i najznakomitszy, najwięcej przez naród ukochany wieszcz, Adam Mickiewicz.

I.

Czy w czasach odległych były w rodzinie Mickiewiczów jakie wybitniejsze zdolności, któreby dziezicznie przeszły na dalekiego potomka, nic o tem powiedzieć nie możemy, gdyż ani historia ani tradycja nie przekazały nam żadnych w tej mierze wspomnień. Chodziły wprawdzie głuche wieści o kniaziowskiem jej pochodzeniu, ale w czasach, gdy już nazwiska i imiona tej rodziny są nam znane z dokumentów, widzimy ją biedną i żyjącą wśród rzeszy szlachty zaściankowej w ziemi nowogrodzkiej. Dziad poety nie umiał pisać, ale zebrawszy oszczędnością i zabieглиwością jakiś kapitałik, dbał o to, ażeby syn jego odebrał wykształcenie u księży dominikanów w Nowogrodku. Syn ten, Mikołaj, po ukończeniu szkół, wcześniej wszedł w życie obywatelskie jako prawnik, czyli, według wówczas powszechnego na Litwie sposobu mówienia, rejent komisji porządkowej. Po ostatnim rozbiorze kraju, ponieważ na Litwie przy nowym rządzie został zatrzymany dawny statut litewski, Mikołaj spełniał i dalej obowiązki adwokata w Nowogrodku, ożeniwszy się z Barbarą Majewską, tak samo jak on z drobnęj szlachty pochodzącą. Rodzili mu się sami synowie; doczekał się ich pięciu, ale z pomiędzy nich jeden tylko rozstawił szeroko nietylko w kraju ojczystym, lecz w całym świecie ucywilizowanym nazwisko dotąd znane jedynie w zaściankach.

Adam Bernard Mickiewicz przyszedł na świat d. 24 grudnia 1798 roku. Miejsce jego urodzenia stanowi dotychczas przedmiot sporu naukowego; dawniej powszechnie i jednomyślnie przyjmowano Nowogródek, teraz podzieliły się zdania wskutek rozmaitego rodzaju dowodów, tak że jedni obstają za tem miasteczkiem, drudzy zaścianek szlachecki Zaosie, o kilka mil od No-

wogródka odległy, inni wreszcie jakąś karczmę na drodze między miasteczkiem a tym zaściankiem chcą uczynić sławnymi, jako wielkiego człowieka kolebki.

Pozostawiając dalszym badaniom rozstrzygnięcie tego sporu, stwierdzić należy, że dziecinne swe lata przepędził przysły poeta częścią na wsi w Zaosiu, częścią w miasteczku, niewiele od wsi różniacem się, w Nowogródku, wśród otoczenia pięknej natury pagórkowatej i ludzi poczciwych, nie odznaczających się wysokiem wykształceniem ani burzliwemi namiętnościami, lecz spełniających swe obowiązki i zarabiających na życie pracą zmuǳną i uciążliwą; przywykał więc do stosunków prostych i rósł z tą myślą, że przyszłość sam sobie wywalczyć i zabezpieczyć musi. Te ciężkie warunki bytu sprawiły, że dziecko nie należało bynajmniej do liczby tak zwanych „cudownych,” nie zdumiewało przedwczesnym rozwojem ani umysłu, ani serca, ani wyobraźni, owszem rozwijało się prawidłowo, bez wielkich wzruszeń i wstrząśnień, co mu zapewniło w późniejszym czasie pewien stopień równowagi duchowej, jakiej inni nasi wielcy poeci nie posiadali. Żaden wypadek donioślejszy nie zamącił mu pierwszych wrażeń, nie wzburzył jego duszy. W domu lubiono czytać poezye i mówić o nich, bo ojciec Adama sam nawet podobno tworzył wiersze; zetknięcie się dzieci ze służbą było częste, a ztąd płynęła też znajomość pieśni i klecht ludowych, które sobie podczas długich wieczorów zimowych opowiadano lub w czasie żniw i dożynków śpiewano. Te wpływy oddziaływały na umysł dziecka spokojnie i w sposób umiarkowany. Pobożność zaszczerpiła w serce dziecka matka, szczerze i serdecznie wierząca i głęboko przeświadczona o cudownej skuteczności modlitwy, której przypisywała między innemi uratowanie Adama od śmierci, gdy raz w latach dziecinnych wypadł przez okno na ulicę.

Początki nauki czytania i pisania odebrawszy w domu, dziewięcioletni Mickiewicz oddany został

roku 1807 do tych samych szkół księży dominikanów w Nowogródku, do których i ojciec jego uczęszczał. Ulegały one niewątpliwie od owego czasu pewnym zmianom, zwłaszcza od czasu, gdy Jan Śniadecki surowo zaczął przestrzegać dobrego prowadzenia nauki u zakonników, ale wogóle jak przedtém tak i potém nie zyskały wielkiego rozgłosu i nie mogły się pochlubić nauczycielami o jakichś niezwykłych zdolnościach pedagogicznych. Z czasu pobytu Mickiewicza w tych szkołach znamy nazwiska wszystkich wykładających, lecz obok nazwisk nie możemy postawić żadnych bliższych określeń, któreby nam wskazały charakter ich lub talent; są to osobistości bez historii.

Nauka szła tu trybem mechanicznym, raz wdrożonym; żadnej szczególnej zachęty, żadnego silniejszego bodźca nie mógł mieć Mickiewicz do gorętszego zajęcia się tym lub owym przedmiotem. To też nie liczył się on do uczniów celujących, a nawet w klasie trzeciej i piątej przesiedział po dwa lata. Lekcje obowiązkowe nie posiadały dla niego uroku: uczył się ich dopiero w ostatniej chwili, a że odznaczał się dobrą pamięcią, mógł zawsze pozyskać stopień zadowalniający, lubo bez odznaczenia. Natomiast czytanie pozalekcyjne ciągnęło go ku sobie bardzo silnie; połykał książki bez wyboru, ile ich tylko w takim partykularzu jak Nowogródek wydostać się dało; znalazły się między niemi Iliada i Eneida w tłumaczeniu Franciszka Ksawerego Dmochowskiego i Jerozolima Wyzwolona w przekładzie Piotra Kochanowskiego, ale daleko częściej nastrecały się liche tłumaczenia romansów francuskich Floryana, pani Genlis itp., oraz słabe płody ówczesnych rymokletów, jak np. zapomnianego dziś zupełnie Jędrzeja Świdarskiego.

Szkoły atoli owoczesne odznaczały się ważną zaletą moralną: spajały nauczycieli i uczniów w grono niemal rodzinne; razem odbywała się nauka, razem i zabawa; ten sam ksiądz, który dopiero co słuchał lekcyi z powagą a może i surowością, grał następnie

w piłkę z malcami, odbywał z nimi przechadzki, brał udział w majówkach. Wytwarzała się tym sposobem ciepła, serdeczna atmosfera, w której przyjaźń, solidarność koleżeńska, szacunek i poważanie, zdrowa jednem słowem uczuciowość krzewiła się bujnie i na całe życie wpływ korzystny wywierała.

Taka atmosfera oddziaływała niewątpliwie i na Mickiewicza w Nowogródku, przyczyniając się do rozwinięcia zarodków uczuć szlachetnych, które już w duszy jego tkwiły, a które następnie podczas życia uniwersyteckiego rozkrzewiły się wspaniale, ażeby utworzyć niewzruszoną podstawę jego charakteru. Życie koleżeńskie z czasów szkolnych, wspólne zabawy, w których nieraz obok zwykłych gier urządzone były sceny z czytanych poematów lub powieści, pięknie odtworzył później poeta w jednym z ustępów IV-jej części „Dziadów,” nie zapominając zaznaczyć i serdecznego stosunku profesorów do uczniów w postaci księdza, który miłość nauki wszczepiał w serce Gustawa.

Czytając obce utwory, ucząc się w szkole zasad poezji, Mickiewicz próbował już w Nowogródku sił swoich w tworzeniu wierszy; to kreślił bajki, to opisywał pożar miasteczka, to ujmował prozaiczne tłumaczenie polskie romansu Floryana „Numa Pompiliusz“ w rymy;—wszystkie te atoli próby albo wcale się nie dochowały, albo też doszły nas w mało znaczących urywkach, z których sądu o wartości owych młodzińskich utworów wyrobić sobie nie można. W każdym atoli razie niepodobna ich uważać inaczej jak za proste ćwiczenia, które niejeden zdolniejszy umysł sam sobie w klasach zadaje, ażeby się nauczyć pokonywania trudności językowych, stylowych i rymowych, ażeby dla myśli swych wyrobić posłuszne w mowie narzędzie. Że je za takie ćwiczenia Mickiewicz poczytywał, dowód w tem, że nie znajdujemy ciągłości w zajęciu się tworzeniem wierszy; pierwsze bowiem lata jego

pobytu w uniwersytecie przeminęły, nie zostawiając żadnego śladu jakiegokolwiek pracy twórczej.

Z wypadków życia pozaszkolnego dwa są najważniejsze w tym okresie: jeden charakteru jednostkowego, drugi ogólniejszego,—oba przedzielone od siebie krótkim przeciągiem czasu.

W połowie maja 1812 roku stracił czwartoklasista nasz ojca. Cios ten, jak wnosić można z jego głęboko uczuciowego nastroju, odczuł on boleśnie i starał się, o ile mu siły starczyły, dopomódz owdowiałej matce w kłopotach domowych; jako uczeń klasy V i VI-jej uczył się lepiej niż poprzednio i został dozorcą domowym uczniów, a w sprawowaniu tego obowiązku był pilny i zdolny, jak zaświadczyła zwierzchność szkolna. Prócz tego usposobienie jego od tej chwili prawdopodobnie spoważniało. Dawniej miał skłonność do płatania żartobliwych figlów, a chociaż ją i o wiele później jeszcze zachował, to przecież już i teraz objawiła się w nim wprost przeciwna tamtej skłonność do tęsknej zadumy, do samotności i rozrzewnienia, bez żadnej widocznej, jawnej przyczyny. Powoli z dziecka stawał się młodzieńcem, którego dusza głębszą i potężniejszą była od rówieśnych.

Drugi wypadek z roku 1812, oddzielony od pierwszego zaledwie półtoramiesięcznym przeciągiem czasu, było to przejście części wojsk napoleońskich przez powiat nowogrodzki i sam Nowogródek. Dom Mickiewiczów, jako najlepszy naówczas w miasteczku, był chwilowem mieszkaniem Hieronima Bonapartego, który z korpusem piątym księcia Józefa Poniatowskiego oraz z siódmym i ósmym przechodził tę okolicę. Widok świetnie ubranej, błyszczącej od złota świty króla, głosy tręb, bębnow i piszczałek, okrzyki ludu, cześć, którą otaczano wodza, wywarły nadzwyczaj silne wrażenie na umyśle 14-letniego chłopca i utkwiły mu w pamięci tak głęboko, że po latach wielu wszystkie szczegóły jakby obecne oczom jego się przedstawiały. Wielkość ludzka nabrała wtedy w umyśle jego jakiegoś odcienia

boskości, Napoleon urósł w jego wyobraźni na olbrzyma, któremu równego nigdy nie było na świecie. W tém wrażeniu dziecinném trzeba szukać początkowych śladów tej czci, jaką w latach późniejszych wyznawał Mickiewicz dla tego „boga wojny.“ Nie widział go on osobiście, ale wyrobił o nim sobie wyobrażenie z tej cząstki blasku i świetności, jaką brat jego był otoczony w Nowogródku. Skojarzenia wyobrażeń dokonane w dzieciństwie są najsilniejszymi, jakie człowiek posiadać może, a więc też trwają najdłużej i wpływają na inne. Na razie mogą one pozostawać w formie utajonej i nie zajmować wielkiego miejsca w umyśle, ale przy sprzyjających okolicznościach występują z wielką łatwością i opanowują duszę. I Mickiewicz, po samym fakcie widzenia części armii napoleońskiej, nie okazywał jakichś zastanawiających dowodów przeniknięcia się wielkością potężnego władcy, nie zaciągnął się, jak to sobie dawniej opowiadał, do wojska na ochotnika, pozostał w Nowogródku, a ponieważ lekcy w szkołach, dzięki energii Jana Śniadeckiego, nie zostały przerwane, więc wraz z innymi zasiadł na ławie i uczył się jak inni; — ale po upływie lat wielu zmartwychwstały w nim wrażenia dziecinne i znalazły wyraz naprzód w „Panu Tadeuszu,“ a potem w teorii mesyanicznej.

Napomknąwszy tu o sile wrażeń dziecinnych, wróćmy jeszcze do Nowogródka na chwilę. Okres wykształcenia szkolnego trwał u Mickiewicza lat osiem; skończył się w lipcu 1815 roku. Świadeztwo ostateczne, które uczeń nasz otrzymał przy wyjściu od księży dominikanów, zawierało te słowa: „zdatność do nauki dobra, postępek dobry, obyczaje dobre,“ a więc wskazywało średnią przeciętną miarę przymiotów, jakie wychowaniec szkoły posiadać winien, ażeby mógł być uważany za uzdolnionego do studyów uniwersyteckich. Nic odznaczającego się, nic zasługującego na stopień celujący przy tém uogólnieniu wyników nauki nie znaleźli nauczyciele nowogrodzcy w mło-

dzieńcu, który niebawem miał zajaśnić jako talent pierwszorzędny. Nie znaczy to, ażeby nauczyciele ci byli krótkowidzami lub niesprawiedliwymi; bynajmniej; rozwój talentu Mickiewicza był powolny i przechodził kolejno niższe stopnie, zanim wzbił się do najwyższego.

II.

Stopniem wyżej wzniósł się Mickiewicz podczas pobytu w Wilnie, zarówno pod względem naukowym jak i moralnym.

Uniwersytet wileński był w owych czasach jedynym zakładem wyższym, który w języku polskim mógł dostarczyć wiedzy, na równi prawie z uniwersytetami zagranicznymi. Czas studyów Mickiewicza od r. 1815 do 1819 był zarazem najświetniejszą dobą w dziejach tej instytucji. Składały się na to i siły naukowe wszystkich wydziałów, i zapał młodzieży do wiedzy, i powszechne interesowanie się pomyślnym rozwojem światła umiejętności w kraju. Kto chciał, mógł tu zapoznać się gruntownie ze społecznym stanem nauk przyrodniczych i humanitarnych, mógł ukształcić umysł doświadczeniem wieków i uzdolnić go do badań samodzielnych.

Mickiewicz przyjechał do uniwersytetu z myślą przygotowania się na nauczyciela gimnazjalnego. Zaraz na samym wstępie znalazł poradę i pomoc u dziekana oddziału matematyczno-fizycznego, imiennika i dalekiego krewnego, Józefa Mickiewicza, który nie odznaczał się wprawdzie jako uczony i profesor, ale słynął natomiast z dobrego serca i chęci dopomagania biednym studentom. Za jego zapewne wskazówką, mając zapewnione u niego mieszkanie, zdał Adam egzamin wyznaczony dla kandydatów dostanu nauczycielskiego, został przyjęty w ich poczet i zapisał się początkowo na oddział matematyczno-fizyczny; niebawem wszakże, bo conajwyżej po upływie pierwszego

półroczna, przeniósł się na oddział literatury i sztuk wyzwolonych, nie czując zapewne dostatecznego upodobania w naukach ścisłych.

Pierwsze dwa lata upłynęły mu na biernem wchłanianiu umiejętności oraz wrażeń, jakich dostarczało większe miasto,—zupełna nowość dla młodzieńca wychowanego na prowincyi.

Z pomiędzy nauczycieli Mickiewicza trzech głównie na rozwinięcie jego wpłynęli: Grodek, Borowski i Lelewel.

Godfryd Ernest Grodek, znakomity znawca języków starożytnych, greckiego i łaciny, doskonale obznajmiony z postępami filologii klasycznej, umiejętnym wykładem zaszczepiał zamiłowanie do niej, wyrabiał zrozumienie metody ściśle naukowej i wdrażał znajomość łaciny z taką siłą, iż pomimo braku systematycznej uprawy tej gałęzi wiedzy, Mickiewicz po upływie lat wielu mógł być profesorem języka i literatury łacińskiej w akademii i wiersze łacińskie pisać z wdziękiem Horacyuszowskim. Piśmiennictwo klasyczne położyło kamień węgielny pod ogólne literackie wykształcenie Mickiewicza i ustrzegło go od krańcowych wybujałości romantyzmu niemieckiego.

Leon Borowski był profesorem wymowy i poezyi. Nie posiadając sam wysokiego daru twórczego, umiał przecież dla uczniów swoich spożytkować znaczne zasoby wiadomości z literatur obcych i ojczystej, nie zacieśniał się bowiem w poglądach swoich natwórczość do formuł poetyki francuskiej, ale znając literaturę niemiecką, angielską, włoską i hiszpańską, otwierał wobec słuchaczy szersze widnokreśli estetyczne, zachęcając ich do jasnego i ścisłego wyrażania myśli, zarówno w prozie jak i w wierszu. W literaturze polskiej dwu szczególniejsz umiłował poetów: Trembeckiego i Piotra Kochanowskiego, i czytanie ich pilne studentom zalecał. Mickiewicz sam wyznawał, że z uwag profesora swego wiele korzystał w wyrobieniu stylu, a w twórczości jego pierwotnej znajdu-

jemy wyraźne i częste ślady rozczytywania się w owych dwu wybranych poetach.

Joachim Lelewel, wykładający jako docent historią powszechną wraz z jej metodyką, choć młody, już wtedy rozległą nauką, ścisłym krytycyzmem i głębokiemi wnikaniami w przyczyny zjawisk dziejowych, przyzwyczajał umysły młodzieży do wszechstronniejszego poglądu na rzeczy, dawał poznać wartość i znaczenie zbadania szczegółów drobnych, gdy z ich połączenia wyprowadzał ważne wyniki, rzucając światło na rozwój cywilizacji, prostował wreszcie popularne a wielce powierzchowne pojmowanie zadań historyografii. Mickiewicz zawdzięczał mu szeroki i jasny pogląd na dzieje oraz zasadę przenoszenia się myślą i wyobraźnią w wieki minione, dla zżycia się z ówczesnymi ludźmi i wypadkami, ażeby je odtworzyć bezstronnie, przedmiotowo, nie zaś według osobistych sympatyj lub antypatyj. Niezawsze wprawdzie pozostał on wiernym tej zasadzie, zwłaszcza gdy inne, potężniejsze wpływy przyćmić ją zdołały, ale bądźco-bądź jej to właśnie w znacznej części przypisać należy między innemi tę przedmiotowość, którą w „Panu Tadeuszu“ podziwiamy.

Wpływy innych profesorów nie zaznaczyły się tak wyraźnemi jak owych trzech śladami w życiu i twórczości Mickiewicza, przyczyniły się atoli do zwiększenia ogólnej sumy wiedzy, jaką się on wogóle odznaczał, podkładając grunt naukowy pod wszelkie jego zapatrywania.

Życie umysłowe Wilna w owym czasie tętniło silnie; nigdy tam nie było tak wielkiej liczby czasopism, ani tylu towarzystw z dążnością umoralniającą, jak właśnie w dobie studyów uniwersyteckich Mickiewicza. „Dziennik wileński“ jako organ profesorów zaznajamiał w sposób przystępny dla ogółu z wynikami badań naukowych. „Tygodnik wileński“, w którym młodsze pokolenie piszących przeważny brało udział, nęcił beletrystyką i rozbiorem spraw bieżących. „Pamiętnik magnetyczny“ obudzał ciekawość opowiada-

niem o cudownych skutkach mało zbadanej siły. „Wiadomości brukowe,” rzucając światło satyryczne na ujemne objawy życia, zaprawiały umysły do świadomej siebie oceny stosunków społecznych, wyrabiały poczucie krytyczne i zachęcały do reform. Towarzystwo Szubrawców, które „Wiadomości” te wydawało, jak niemniej wolnomularstwo, które po chwilowem przycichnięciu nanowo działać zaczęło, dążyły, lubo w odmienniej formie, do jednakowego celu rozpowszechnienia idei humanitarnych i liberalnych. Teatr, ożywiony przybyciem do Wilna Wojciecha Bogusławskiego, głóśnego organizatora sceny narodowej, dostarczał mnóstwa wrażeń estetycznych wszystkim, a szczególnie młodzieży akademickiej.

Jak widzimy, było zarówno w uniwersytecie jak w mieście tyle do przyswojenia sobie, do wchłonięcia umysłem, że nie można się dziwić, iż Mickiewicz przez lat dwa po przybyciu do Wilna nie utworzył samodzielnie.

W dwu latach następnych obok wymienionych tu wpływów przybywają trzy nowe, które, jako świeższe, potężniej oddziaływały na duszę młodzieńca. Są to związki koleżeńskie, pierwsza miłość i twórczość poetycka.

Studenci w uniwersytecie żyli zazwyczaj z sobą grupami według szkół, w których wykształcenie średnie pobierali, nie tworząc żadnych większych towarzystw. Poczucie jednak solidarności akademickiej tkwiło w nich wielkie; potrzeba więc było tylko pewnego potrącenia i organizatorów, ażeby ją wyraźnie ujawnić. Przykład starszych, zawiązujących się w towarzystwa, tradycyjnie przechowujące się wspomnienie, że pomiędzy r. 1804 a 1808 istniał już w uniwersytecie związek „filomatyczny,” były takiem potrąceniem myśli wśród towarzyszków Mickiewicza; a organizatorowie znaleźli się w osobach Tomasza Zana, studenta wydziału matematyczno-fizycznego i Józefa Jeżowskiego filologa. Szczególniej Zan celował zdol-

nością skupiania wokoło siebie kolegów, przemawiania do ich serc i umysłów, a charakterem łagodnym lecz wytrwałym jednał sobie wszystkich i miłość ich zyskiwał. Jeżowski chłodny, spokojny, poważny, surowy dla siebie, pobłażający dla innych, nadawał się doskonale na kierownika zebrań. Ci dwaj, porozumiewszy się z kilku kolegami, między którymi przedewszystkiem wymienić należy Jana Czeczotta i Adama Mickiewicza, znających się dobrze ze szkół jeszcze nowogrodzkich, oraz Franciszka Malewskiego, syna ówczesnego rektora uniwersytetu, zawarli stowarzyszenie dnia 1 października 1817 roku i nazwali je na pamiątkę dawniejszego filomatycznem. Zadaniem jego było niesienie pomocy materyalnćj i naukowćj kolegom, wspólne zachęcanie się do nauki i dobrego postępowania, wzajemne krytykowanie prac literackich, które na posiedzenia co dwa tygodnie odbywające się przynoszono i roztrząsano. Tajnem nie miało być ono wcale; w programie bowiem swoim nie mieściło nic takiego, coby się widokom rządu lub władzy uniwersyteckiej sprzeciwiało. Owszem spisane prawidła tego stowarzyszenia przedstawione były rektorowi i zatwierdzenie jego uzyskały. Z początku istnienia towarzystwa założyciele małą tylko liczbę studentów do spółuczestnictwa przypuścili, ale gdy wskutek ożywienia ducha pod wpływem wspaniałego i podniosłego obchodu po śmierci Kościuszki, oraz innych spółczesnych okoliczności, jak otwarcia pierwszego sejmu w Królestwie Polskiem i t. p., zaczęto garnąć się tłumami do związku, utworzył Zan szersze towarzystwo 10 kwietnia 1819 roku, pod nazwą „filaretów“ (miłośników cnoty), podzielone na kilka gron, stosownie do rodzaju studyów, którym się uczestnicy oddawali. Filomaci zaś w dawniejszćj szczupłćj liczbie byli przewodnikami tych gron i na posiedzenia ich wysyłali delegatów. Tendencya zresztą nowego towarzystwa w niczem się nie różniła od dążności filomatów; zaznaczono w nićj tylko silniej uczucia patryotyczne.

Wśród tych towarzystw dojrzewał Mickiewicz sercem, zawierał przyjaźni, które mu najpiękniejszą pamiątką młodości pozostały, rozwijał w sobie skłonność do ofiarności i poświęcenia, przejmował się wielkimi ideami ojczyzny i człowieczeństwa. Wśród tych towarzystw wyrobił się też w nim popęd twórczy, wraz z szlachetnêm jego skierowaniem ku podniesieniu i uszlachetnieniu duszy pomiędzy współtowarzyszami, w narodzie i ludzkości. Nie sława tylko, ale przyniesienie pożytku społeczeństwu stały się hasłem jego poezyj. Wiersze pisane dla filomatów i filaretów, takie jak: „Już się z pogodnych niebios oćma zdarła smutna,“ „Niech radością oczy błysną,“ „Pieśń filaretów,“ „Oda do młodości,“ lubo odmienne formą a nawet nateżeniem siły twórczej, noszą przecież na sobie ten wspólny, podniosły charakter.

Bodźca bardziej osobistego do tej twórczości dodawała młodemu poecie pierwsza miłość. Ucieleśnienie ideału znalazł on naprzód w Maryli Wereszczakównie. Była to panna z dość zamożnego rodu, wykształcona tak, jak były wykształcone ówczesne kobiety wyższego stanu, z nastrojem sentymentalnym, w którym wyobraźnia i serce tak się ściśle nieraz spletały, że trudno było nieraz orzec, czy jedna czy drugie głównie w grę wchodziły. Piękną nazwać jęj najbliżsi znajomi nie mogli, ale przyznawali, że posiadała jakiś dziwny urok, coś poetycznego i pociągającego. Mieszkała ona wraz z matką i braćmi lubiącymi życie wesołe w Tuhanowiczach niedaleko Zaosia, w którêm Mickiewicz od czasu do czasu bawił na wakacjach. Stosunków atoli poufałych między Wereszczakami a zagonową szlachtą być nie mogło, a to stało się powodem, że młody student, który dotychczas zapewne zbliżał się tylko do szlachcianek zaściankowych lub małomiasteczkowych, dopiero za pośrednictwem Zana w r. 1818 zaznajomił się z Marylą. Pierwsza kobieta z pewnêm literackiêm wykształceniem i z wykwintniejszemi manierami światowemi, poznana w towarzystwie przez

młodzieńca o żywém usposobieniu, gorącym sercu i bujnej wyobraźni, musiała nań wywrzeć silne wrażenie i stać się przedmiotem marzeń,—bez żadnych zresztą dalej idących zamiarów. Chętnie przebywał w jej towarzystwie, lubił z nią rozmawiać, grać w warcaby czy szachy, towarzyszyć na przechadzkach, słuchać jej śpiewu lub gry na fortepianie. Do żadnych wyznań miłosnych, do żadnych przyrzeczeń między nimi nie przyszło; stosunek pozostał idealnym i dlatego mógł się stać silnym i trwałym. Jeżeli nawet Mickiewicz dostał od Maryli „zawiazkę z białych włosów“ i listek cyprysu, to nie mógł tych oznak serdeczności uważać za coś więcej jak za pamiątkę, którą w czasach sentymentalnych panny i mężatki dość hojną ręką darzyły dobrych swych znajomych. Z czasem uczucie przyjaźni w obu sercach spotęgowało się i rozgorzało aż do miłości; ale na razie miało charakter spokojny i łagodny.

Poeta, powróciwszy do Wilna na dalsze studia, przywoływał zapewne nieraz na pamięć postać Maryli, zdobił ją w wyobraźni wszelkiemi możliwemi zaletami, stawiał w rozmaitych kolizyjach, czynił ją bohaterką wysnutych przez się sytuacji. Świadectwem tego stanu duszy jest króciutka powiastka p. n. „Żywila“ drukowana r. 1819 w Tygodniku wileńskim. Żywila, której imię rymuje się z Marylą, jest księżniczką; kocha się w niej ubogi rycerz Poraj—a taką nazwę nosi herb Mickiewiczów; — stosunek to mniej więcej taki, jak Wereszczakówny do syna szlachty zasłanekowej. Bohaterka ma wszelkie cnoty doskonałej kochanki i obywatelki. Pokochawszy Poraję, gotowa jest znieść wszelkie męczarnie zadawane jej przez dumnego ojca, gotowa nawet pójść na śmierć, ale chce widzieć swego kochanka szlachetnym i wiernym synem ojczyzny. Gdy Poraj dla uwolnienia jej z więzów połączył się z wrogiem, wpadł na Nowogródek i ją oswobodził, ona wyrwawszy mu miecz z ręki, zabiła go, a sama powoławszy lud do obrony i poraziwszy nie-

przyjaciół, umarła. Idealizowanie ukochanej, nawet kosztem trochę siebie samego—oto objaw znamieny miłości duszy szlachetnej i pięknej.

Forma wyrażenia myśli i uczuć w ciągu studyów uniwersyteckich była u Mickiewicza zaważowana powszechnie jeszcze wtedy uznawanemi u nas wzorami tak zwanęj poezyi klasycznej, na modłę francuską. Trzymanie na wodzy wybuchów fantazyi i uczucia, styl jasny, czysty, poprawny, ale lubujący się we wspomnieniach mitologicznych i w wyszukanych peryfrazach, a unikający wyrazów pospolitych choć dobitnych i żywo malujących przedmiot, wierszowanie staranne. z którego usuwano wszelkie końcówki łatwe, usiłując kończyć zdania wraz z rymami: oto głównejsze cechy tęg poezyi, co już dożywała ostatnich dni swoich. Z uniwersyteckich wierszy Mickiewicza najwidoczniej cechy te występują w dwu utworach, we wspomnianem poprzednio filomatycznem przemówieniu: „Już się z pogodnych niebios oćma zdarła smutna,“ jakoteż w obrazku p. t. „Zima miejska,“ (drukowanym w Tygodniku Wileńskim z r. 1818), malującym zabawy karnawałowe w mieście, dla przeciwstawienia im osmutniałych widoków krajobrazu wiejskiego. Są to rzeczy tak wiernie według reguł obowiązujących skreślone, że mógłby się być podpisać pod niemi każdy „klasyk“ nasz z początku XIX stulecia. Na wyrażenia a nawet na formę wiersza oddziaływały tu widocznie studia nad Trembeckim. W takimże kierunku skreślony był niewątpliwie dłuższy poemat żartobliwo-bohaterski p. n. „Kartofla,“ przedstawiający dzieje przywiezienia tęg rośliny do Europy i opis tęg uprawy, poemat dziś jeszcze istniejący, ale dotychczas drukiem nieogłoszony. W teoryi też same pojęcia estetyczne wypowiedział nasz poeta w rozbiórce epopei Tomaszewskiego „Jagiellonida,“ drukowanym na początku r. 1819 w Pamiętniku Warszawskim.

Gdy Mickiewicz pod wpływem atmosfery literackiej, która wykształceniem jego pokierowała, odpo-

wiednie jej utwory pisał i ogłaszał, budziły się już i wśród nas nowe prądy poetyckie, romantycznemi popolicie zwane. Książka francuska pani de Staël o Niemczech była pierwszą zwiastunką dla szerszych kół inteligencji, że obok nas powstała literatura nowa, zachwycająca i świeżemi pomysłami i oryginalnym stylem, przywracająca fantazyi i uczuciu należne prawa, będąca genialnem odtworzeniem usposobienia i ideałów narodowych. Potem Kazimierz Brodziński w rozprawie o klasyczności i romantyczności (1818), lubo ostrzegał przed ślepem naśladownictwem jednej i drugiej, lubo wskazywał drogę pośrednią a z duchem narodu wedle jego wyobrażeń zgodną, uznawał przecież nową poezję niemiecką za doskonały wyraz uzdolnienia i charakteru Niemców. Inni starali się dowieść, że literatura niemiecka jest wyższa nad francuską i odpowiedniejsza dla naszych potrzeb. W czasopiśmie ukazywały się tłumaczenia poezyj niemieckich, zwłaszcza Schillera. Nie brakowało oczywiście i przeciwników, a z pośród nich najdonioślejszym głosem zagrzynał Jan Śniadecki, człowiek bardzo rozumny, ale zbyt formalistycznie przedstawiający sobie piękno poezyi jako raz nazawsze ściśle określone regułami. Głos ten atoli, tak samo jak oględne ostrzeżenia Brodzińskiego, nie mógł powstrzymać ruchu nowatorskiego, w którym młodzież przeważny wzięła udział. Literatura niemiecka coraz liczniejszych i coraz gorętszych zyskiwała zwolenników.

Ten zwrot do poezyi niemieckiej, przez czas długi u nas lekceważonej, zszedł się ze zwrotem do poznania twórczości ludowej, niezależnie od wpływów obcych, cudzoziemskich powstałym. Naprzód starano się zbadać obyczaje, pieśni, klechdy, obrzędy ludowe w interesie czysto historycznym, dla dopełnienia wiedzy o przeszłości, potem, za powodem entuzyasty słowiańskiego Zoryana Dołęgi Chodakowskiego, który pieszko w przebraniu chłopskiem wędrował ze wsi do wsi, by się dokładnie zżyć z ludem i pochwycić rysy

znamienne jego bytu, fantazyi i charakteru, zaczęto cenić twórczość ludu ze względów poetyckich, widząc w niej pierwotne i najlepsze źródło natchnień, jako w bezpośredniem odbiciu usposobienia narodowego.

Ponieważ zaś i nowa poezya niemiecka zwracała się z zamiłowaniem ku twórczości ludowej, czerpiąc z niej nieraz wątek i barwy, wielbiciele jej u nas mogli się wobec zarzutu naśladownictwa obronić wskazaniem tej wspólnej nici łączącej obie literatury, a w każdym przecie narodzie mającej cechy odmienne.

Ruch ten na polu literackiem nie mógł być obcym dla studentów wileńskich. Ci zwłaszcza, którzy jak Mickiewicz sami już sił swoich w poezyi próbowali, z ciekawością śledzić musieli objawy nowego kierunku estetycznego. Jest podanie, że już w r. 1819, gdy jeszcze poeta nasz był w uniwersytecie, ukazały się w Wilnie pierwsze zwiastunki przemiany pojęć literackich — balady; pisał je Tomasz Zan, biorąc treść z klecht ludowych, a formę z poezyi niemieckiej, przy pośrednictwie naśladowań rosyjskich Żukowskiego.

Czy Mickiewicz poszedł za tym przykładem swego kolegi jeszcze w uniwersytecie, jak utrzymuje toż podanie, twierdzić napewno niepodobna; nie posiadamy bowiem żadnych dat ścisłych co do pierwszych jego balad; w każdym jednak razie jeżeli nawet co pisał w tym rodzaju, to nie przejął się odrazu zapaleń ku nowemu kierunkowi, gdyż znamioną cechą jego umysłu było, że niełatwo porzucił raz zdobyte pojęcia, lecz je modyfikował stopniowo tak, iż nieraz spólcześnie istniały w jego umyśle dawne i nowe. Ku romantyzmowi skłonił się wyraźnie dopiero po opuszczeniu uniwersytetu w r. 1819.

III.

Jako wychowaniec seminaryum nauczycielskiego. Mickiewicz musiał odsługiwać pewną liczbę lat w za-

wodzie pedagogicznym. Zarząd uniwersytetu wyznaczył mu posadę profesora łaciny, wymowy i prawa w szkole powiatowej w Kownie, należącej do nielicznych jeszcze wtedy na Litwie zakładów średnich świeckich. Z początkiem września 1819 roku musiał już być na stanowisku. Pożegnawszy matkę, rodzeństwo, przyjaciół i Marylę, od której wtedy zapewne dostał ową „z białych włosów zawiązkę,“ pojechał do pięknie położonego nad spływem Niemna i Wilii miasteczka, gdzie w murach pojezuickich otrzymał mieszkanie. Nowi koledzy jego, nauczyciele, byli także wychowañcami uniwersytetu wileńskiego i posiadali po większej części stopnie naukowe; wiekiem atoli znacznie się od niego różnili i nie mogli mu zastąpić towarzysztwa filomatów i filaretów. Nauczanie nie zdołało go zająć i pochłonać, gdyż usposobieniu jego poetyckiemu wcale nie odpowiadało. Rozrywek towarzyskich na razie nie znajdował a pewnie i nie szukał. Wytworzyła się więc w duszy młodego poety tęsknota za minionemi chwilami swobody uniwersyteckiej, kiedy w gronie przyjaciół przebywał; wspomnienia rozmów i zabaw z Marylą coraz częściej wracały do jego duszy i budziły w niej niepochwytne, niedające się ściśle określić marzenia; zajęcia dla wyobraźni szukać musiał w sobie i w książkach, a czytanie poezyj rozpłomieniało jego uczucia.

Gdy się na jakąś ranę ciała czy duszy zwróci szczególną uwagę, staje się ona dotkliwszą, bardziej palącą, a wreszcie nieznośną; rozmyślanie o niej budzi długie szeregi skojarzeń uczuciowych, które całą siłą swoją uderzają na nas i potęgują rozdrażnienie. Tak było i u Mickiewicza. Rzeczywiste pobudki, wywołujące w nim uczucie osamotnienia i tęsknoty, rozstanie się z przyjaciółmi i Marylą, rozżarzzone zostały rozmyślaniem nad niemi w ciszy murów poklasztornych lub na oddalonych za miastem przechadzkach, w sławnej dolinie Kowieńskiej „najpiękniejszej w świecie,“ oraz czytaniem utworów poezyi niemieckiej, które

na serce młodzieńca jak iskra na proch działały. Bürger, Goethe, Jean Paul Richter, szczególnie zaś płomienisty Schiller stali się teraz nieodstępnymi jego towarzyszami i wsączali mu w duszę tę „słodką truciznę,” co stanowiła „niebo i tortury“ jego ówczesnego życia.

A gdy na duszę czytaniem poezyj do wysokiego nastrojoną tonu i podatną do przyjęcia głęboko wszelkich wrażeń zwłaszcza smutnych, padały ciosy z zewnątrz, to coraz silniej, coraz boleśniej odczuwał je poeta. Takimi ciosami były: obłożna choroba, której podpadł bawiąc na wakacyach w Wilnie we wrześniu 1820, w skutek której nie mógł w czasie właściwym odjechać do Kowna i rozpocząć lekcyj; surowe napomnienie zwierzchności uniwersyteckiej z tego powodu mu dane; śmierć matki 9 października tegoż roku, wreszcie ślub Maryli z Wawrzyńcem Puttkamerem w dniu 2 lutego 1821 roku.

Tak więc pod połączonem działaniem stosunków rzeczywistych, przejmujących smutkiem, i wchłaniania poezyj, nadających tym smutkom rozmiary olbrzymie, wytworzył się w duszy Mickiewicza stan rozpłomienienia, który go uczynił twórcą nowego kierunku poetycznego. Podniesienie stopnia uczuciowości zarówno w życiu jak w poezyi, powrócenie fantazyi jej pierwotnego znaczenia twórczego, odmłodzenie natchnień w źródło pieśni ludowej, protest przeciwko suchemu ocenianiu wszystkich zjawisk ciasną miarą tak zwanego zdrowego rozsądku, który jest doskonałym przewodnikiem w życiu praktycznem codziennem, ale nie wystarcza do poznania najwyższych prawd bytu: oto były zasadnicze hasła tego kierunku, wypowiedziane w wierszu p. n. „Romantyczność.“ Świat ducha w przeciwstawieniu do świata materyi, czucie i wiara gminu, podzielane przez poetę, w przeciwstawieniu do szkielek i oka mędrców rozpatrujących szczupłe tylko widnokreśli świata widzialnego, są motywami wysuniętymi tu na plan pierwszy, a znajdującymi poe-

tyckie ucieleśnienie w widzeniu Karusi, napółobłąkanej z bólu i spostrzegającej oczyma duszy to, czego oczy cielesne ludzi obcych nie dojrzą. W ten jaskrawy sposób zaznaczył Mickiewicz odrębny od poprzedniego nastrój nowej poezyi, idealistycznej i podmiotowością przejętej. Dziś wydaje się nam to wystąpienie poety przeciwko poprzednikom zbyt jednostronnem, ale dlatego tylko, że prawa uczucia i fantazyi mamy już zabezpieczone, a więc możemy spokojnie i rozważnie uznawać za potrzebne i konieczne dopatrywanie świata „w proszku“ i „w każdej gwiazd iskierce,“ czyli mówiąc poprostu kierunek badań naukowych. W chwili jednak gdy twórca nowego zwrotu cały przejęty był doniosłością reformy, podnoszącej znaczenie uczucia i fantazyi, przeciw którym podnosiły się głosy potępienia, wychodzące z ust poważnych i poważanych, wystąpienie takie było usprawiedliwione; oględniejsze bowiem a więc w wyrażeniu słabsze określenie natury nowego zwrotu nie odniosłoby zapewne pożądanego skutku. Wszak Kazimierz Brodziński oględnością swoją nie zdołał wywołać żywszego ruchu literackiego. Mickiewicz, obdarzony temperamentem ognistym, działając śmiało i energicznie, dokonał przewrotu. Ślepi naśladowcy raczej form nowych niż ducha poszli istotnie zadaleko i z czasem ośmieszyli hasła romantyczne; ale sam Mickiewicz umiał się utrzymać w mierze i krańcowych wybujałości uniknął w ciągu twórczego okresu swojej działalności. Nie oderwał on poezyi od życia, nie zastąpił rozumu marzeniem, nie dopuścił swywoli uczuciom, nie stanął oporem ideom postępowym i humanitarnym. Wszystko co piękne, szlachetne i wielkie ukochał gorąco i w utworach swoich genialnie odtwarzał.

Sam on nazywał ten nowy zwrot poezyi „romantycznym;“ poszedł w tym względzie niewątpliwie za poglądem teoretyków romantyzmu niemieckiego; zauważyć wszakże potrzeba, iż utożsamienie naszego ruchu poetyckiego ze „szkołą romantyczną“ w Niemczech

byłoby rzeczą całkiem błędną. Przedewszystkiem pamiętać należy, iż autorami, których Mickiewicz studiował i których wpływy na jego poezyach się odbiły, nie byli bynajmniej poeci ze szkoły romantycznój: Tieck, Novalis, Hoffmann, lecz pierwszorzędni pisarze nowożytniej literatury niemieckiej: Goethe, Schiller, Jean Paul Richter, oraz bezporównania mniejszy talentem, nie nazywający się również romantykiem, Bürger. Powtóre, w myślach i dążnościach Mickiewicza podczas pierwszych lat twórczych nie było nawet śladu ani uwielbienia wieków średnich, ani przejęcia się ideami wstecznymi, które romantyków niemieckich charakteryzowały. Z tych powodów, jeżeliby chodziło o zestawienie obu literatur, niemieckiej i polskiej, i wskazanie ich podobieństwa, to można więcej upatrzeć analogii między tak zwanym okresem „burzy i wrzenia“ (Sturm-und Drangperiode), kiedy Goethe i Schiller z pierwszemi swemi utworami występowali, a reformą Mickiewicza, niż między nią a „szkołą romantyczną“ niemiecką w tém znaczeniu, w jakim ją dzieje poezyi przedstawiają.

Co do form estetycznych, które nowy ten kierunek poezyi charakteryzowały, Mickiewicz wybrał przedewszystkiem balady, romance i dramat fantastyczny.

W baladach brał wątek z podań i pieśni ludowych, których się nasłuchiwał w dzieciństwie, a które mu teraz pod wpływem balad niemieckich zmartwychwstały w pamięci. Z jedynym tylko wyjątkiem „Powrotu taty“ utwory te obracają się w świecie cudownym, nadzmysłowym, stworzonym przez wyobraźnię ludu, ożywiającą plastycznemi postaciami martwą przyrodę i szukającą w nich wyjaśnienia zjawisk dla siebie niezrozumiałych. Poeta z punktu widzenia artystycznego, ażeby wiernie odtworzyć wyobrażenia ludu, staje na jego stanowisku i jako artysta z całą szczerotą powtarza podania. Nie znaczy to bynajmniej, ażeby jako człowiek XIX wieku miał napraw-

dę wierzyć w istnienie świtezianek i upiorów, w skuteczność czarów i zaklęć; bierze on tylko podatny do poetycznego traktowania materyał, lubuje się w pięknych postaciach świata nadzmysłowego, gdyż one więcej przemawiają do jego wyobraźni, niż figury mitologii grecko-rzymskiej, zszarżane w poezji klasycznej, lub suche alegorye, do jakich się uciekali wierszopisowie porzucający bogów Olimpu. Po większej części traktuje Mickiewicz ten świat fantastyczny zupełnie poważnie („Ucieczka,“ „Lilie,“ „Tukaj,“ „Rybka,“ „Świtez,“ „Świtezianka“); niekiedy jednak, zgodnie zresztą z podobnemi objawami u samego ludu, maluje go w sposób ironiczny i szyderczy, jak np. w baladzie „To lubię“ i „Pani Twardowskiej.“ W tym uśmiechu poety tkwi zarazem refleksya wychowańca wieku XIX, który może znajdować na chwilę upodobanie w pięknych baśniach, ale nie poświęci przecież dla nich wywodów rozumowych i nie zechce schodzić na ten stopień cywilizacyjny, kiedy owe baśnie powstały. Świat fantastyczny wedle wyobrażeń ludowych nie mógł na długi czas wypełniać artystycznej formy balady. Mickiewicz po dobie pierwotnej twórczości w tym rodzaju, pisząc później balady, usunął z nich żywioł cudowny, a czerpał treść ze stosunków rzeczywistych, społecznych lub minionych. Pod piórem naśladowców trwał on wprawdzie dalej, ale już nie miał ani tego powabu, ani tego znaczenia, jak w pierwszych romantyki naszej chwilach.

Romance Mickiewicza są-to właściwie sielanki, w których nawet dawniejsza frazeologia sentymentalna jeszcze panuje. Wyraża w nich poeta uczucia własne albo swoim bardzo pokrewne, ale nie zdobywa się na śmiałość i oryginalność w sposobie ich malowania; idzie za wzorami dobrze u nas znanymi. Nadużycie wyrazów zdrobniałych, jakaś zalotna lub mdła pieśzczołliwość w przedstawianiu objawów uczucia, a co najważniejsza, niezgodność pomiędzy sferą konwencyonalnie pasterską, z której wzięte są osobistości, a wy-

rażeniami przez nie do wypowiedzenia swych uczuć użytymi, stanowią ujemną stronę tych trzech utworów („Pierwiosnek,“ „Kurhanek Maryli,“ „Dudarz“), które do rodzaju romancy poeta zaliczył. Były one, jak i uniwersyteckie wiersze, szczepem pierwotnego wykształcenia literackiego, z lekkim tylko dodatkiem żywiołów, zaczerpniętych z młodocianej twórczości Schillera.

Uczucie smutku i zawodu wyraziło się u Mickiewicza dopiero w wierszu „Żeglarz,“ szczególnie zaś w IV-jej części „Dziadów.“ Wspomnienia sielankowo-sentymentalne napotykamy wprawdzie i tutaj w wielu ustępach, ale całość porywa siłą i prawdą. Na powstanie tego fantastycznego dramatu wpłynęły liczne utwory literatury obcej: „Nowa Heloiza“ Roussa, „Walerya“ baronowej Krüdener, „Werther“ Goethego, jak niemniej poezye tegoż, oraz Schillera, lecz wpływy te przerobione i przetrawione zostały działaniem potężnego czynnika, będącego już iścizną samego poety, to jest własnych jego cierpień. Odkąd poezya nasza istnieje, po raz to pierwszy w IV-jej części „Dziadów“ prawdziwe, głębokie, namiętne uczucie miłości, zawiedzione w swych pragnieniach, przyoblekło się we wspaniałą szatę słowa, po raz pierwszy przemówiło głośno, potężnie i porwało za sobą wszystkich, co na próżno do owego czasu szukali odpowiedniego dla stanu swęj duszy wyrażenia. Ani Kochanowski, ani Morsztyn, ani Karpiński nie mogli już teraz wystarczyć; potrzeba było uroku mowy Mickiewicza. Uczucie przezeń odmalowane ma cechę całkiem odmienną od tych, jakie dawniejsi nasi poeci przedstawiali; niema w niem ani zmysłowości prawie bez obsłony jawiącej się u Kochanowskiego, ani galanteryi sztucznej i wyszukanęj Morsztyna, ani mdlęj łzawości Karpińskiego; jest natomiast wysoki idealizm, nakazujący kochankowi wobec wizerunku kochanki zachowywać się jakby wobec nięj samęj, pragnący jedynie widoku lubęj i jęj rozmowy, poślubiający tylko jęj duszę;

a obok tego idealizmu jest także prawdziwie ludzkie uczucie, które nie pozwala tonąć w samem rozmarzeniu miłosnem, lecz budzi pragnienia, doprowadzające do szału, gdy znajdzie nieprzełamana przeszkoda w ich urzeczywistnieniu, lub gdy inna osoba sięga po rękę ukochanej... Ażeby artystycznie wcielić pomysł o niszczącej potędze namiętności, poeta czyni Gustawa swego samobójcą, kładącym kres życiu, które po zawodzie miłosnym już powabu dla niego nie posiada, tak dalece, że słowa: ojczyzna, nauka, sława. niegdyś do czynów go budzące, już nań wpływu nie wywierają. Gustaw zjawia się więc w „Dziadach“ jako upiór, ażeby w skróceniu przejść główne fazy niedługich dziejów swojej miłości. Jako upiór, a nie człowiek żywy, może on wobec ludzi wypowiedzieć wszystko, co zazwyczaj w głębi duszy skrywamy, ażeby się nie narażić na śmiech i szyderstwo. Jego nie krępują takie względy—daje się więc unieść prądowi uczucia, staje się wymownym, odkrywa tajniki najgłębsze swych myśli i wzruszeń; a tym sposobem to, czego by ani sam poeta, ani nikt inny w żywe oczy przed ludźmi nie wypowiedział, co więc tylko czuł w głębi duszy, dobyło się na jaw i wylało w słowach, dając utwór pierwszorzędnego znaczenia, który nie na samą jedynie poezję naszą, ale także na kształtowanie się obyczajowości wpłynął potężnie. Niektórzy naśladowcy, pochwyciwszy w Gustawie tylko rysy podrzędne, doprowadzili wprawdzie jego postać do karykatury i tak samo potrafili ośmieszyć miłość romantyczną, jak inni ośmieszyli fantastykę baladową; ale błędy ich nie mogą iść na karb mistrza, który jakkolwiek w formie fantastycznej, przedstawił przecież uczucie prawdziwe i głębokie, podniósł stopień wrażliwości uczuciowej, uszlachetnił i uidealizował objawy miłości; dokonał więc i w tej dziedzinie reformy doniosłej, która w rozwinięciu swoim stała się podścieliskiem poezji nowożytnej.

Poeta umiał odmalować trawiącą potęgę za-

wiedzionej miłości, lecz sam jej nie uległ; owe wielkie idee, które Gustawa nie mogły powstrzymać od samobójstwa, w nim utrwaliły energią charakteru i pobudzały go do tworzenia. Co więcej, jako wybitny dowód panowania nad sobą, należy zaakcentować ten znamienny szczegół, że równocześnie z fantastycznymi baladami i płomiennymi wybuchami uczucia w IV-jej części „Dziadów“, powstawały utwory, w których jasny, spokojny dydaktyzm według wzorów klasycznych, albo też przedmiotowe opowiadanie o czasach dawno ubiegłych prawie niezmiennie panowały. W tych samych tomikach, w których mieściły się balady, romanse i dramat fantastyczny, znajdujemy „Warcaby“, przedstawiające reguły tej gry, i „Grażynę“, malującą stan Litwy pogańskiej w walce z Krzyżakami i dającą nowe wcielenie tego ideału mężnej niewiasty, jaki już w „Żywili“ a potem w „Świtezii“ był naszkicowany. W wykonaniu pierwszego utworu znać wpływ Trembeckiego, którym w tym czasie Mickiewicz zajął się nanowo, pisząc komentarz do poematu jego „Zofiówka“, na drugim odbiło się czytanie Jerozolimy Wyzwolonej, w przekładzie Piotra Kochanowskiego. Pierwszy nie wnosił do poezyi naszej żadnego nowego pierwiastku, drugi rozpoczął u nas szereg pięknych powieści poetycznych.

Wszystkie te poezye napisał Mickiewicz w ciągu lat czterech, od 1819 do 1823, częścią w Kownie, częścią w Wilnie. Nauczycielem w Kownie był tylko trzy lata, gdyż rok szkolny 1821/22 spędził na urlopie w Wilnie, zajmując się opracowaniem rozprawy dla uzyskania stopnia magistra, oraz wydaniem swoich „Poezji“, z których pierwszy tomik wyszedł r. 1822, drugi zaś w 1823. Podczas tego pobytu uczestniczył w entuzyastycznym przyjęciu Joachima Lelewela, który po trzech latach przepędzonych w Warszawie, wracał do uniwersytetu wileńskiego już nie jako docent, ale jako profesor. Z powodu pierwszój prelekcji jego, odbytej wobec tłumu rozciekawionój i czcig

dla wykładającego przejętej młodzieży, nakreślił piękny wiersz, w którym korzystając z wyrażeń samego Lelewela, przedstawił zadanie dziejopisarza i dał krótki pogląd na rozwój dziejów powszechnych. Forma tego wiersza jest klasyczna, lecz charakterystyka wieków średnich w nim zawarta, jednostronnie zalety średniowiecza wyłącznie zaznaczająca, powstała już pod wpływem romantyzmu.

Stosunki z kolegami uniwersyteckimi odżyły podczas pobytu Mickiewicza w Wilnie ze wzmożoną serdecznością. Stowarzyszanie się studentów przybrało wtedy już szersze rozmiary; obok filomatów i grom filareckich, byli jeszcze „promieniści“ liczący się na setki, którzy pod przewodem Zana odbywali majówki, śpiewając i bawiąc się skromnie a z myślą podniosłą. Ponieważ już w pierwszej połowie roku 1822 wszelkie towarzystwa zarówno młodzieży jak starszych, mające charakter społeczny, zostały wzbronione, ponieważ rząd pod wpływem prądów reakcyjnych, rozpanoszonych wtedy w całej Europie, poczytywał je za szkodziwe; — studenci i ich kierownicy zbierali się potajemnie i niebawem ściągnęli na siebie karę. Już w połowie roku 1823 rozpoczęły się śledztwa, a w październiku nastąpiły aresztowania. Mickiewicz, który po upływie urlopu, nie mogąc uzyskać pozwolenia i funduszów na wycieczkę za granicę, dla uzupełnienia studiów estetycznych, powrócił był na swą posadę do Kowna, dnia 23 października został uwięziony i osadzony w klasztorze księży bazylianów w Wilnie. Zamknięcie trwało około czterech miesięcy, zanim ukończone zostało badanie; potem Mickiewicz, jak i większa część uwięzionych, z wyjątkiem Zana, Czeczotta i Suzina, którzy wzięli na siebie całą odpowiedzialność za organizacją towarzystw, wyszedł na wolność, z obowiązkiem jednak mieszkania w Wilnie, aż do wydania wyroku. Czas ten, w przewidywaniu wyjazdu w dalekie strony, spędził nasz na pożegnalnych zebraniach. W nich po raz pierwszy wystąpił jako im-



prowizator, napełniając zapalem serca słuchaczów. Z licznych w tym czasie improwizacyj pozostały tylko dwie całe („Do Aleksandra Chodźki,“ balada „Renegat,“ później przerobiona) i parę ułamków. Prócz tego pisał wiele wierszy albumowych na pamiątkę dla przyjaciół i znajomych i tłumaczył Byrona, którym zajął się jeszcze w r. 1822 w czasie pobytu w Wilnie. Potężnemu wpływowi wieszczki albiońskiego nie poddał się jednak, lubo talent jego wielbił i za największego poetę czasów nowych go uważał.

Dnia 24 października 1824 opuścił Wilno i Litwę i nigdy już do tych stron nie powrócił.

IV.

Jechał Mickiewicz wraz z kilku kolegami, pomiędzy którymi znajdowali się dwaj najdawniejsi filomaci: Józef Jeżowski i Franciszek Malewski, do Petersburga, ażeby tam otrzymać od ministerjum oświecenia wskazówki co do dalszego losu. W liście kwalifikacyjnój nowy po Czartoryskim kurator wydziału wileńskiego, Mikołaj Nowosilcow, zanotował o naszym poecie, że mógłby wyklądać literaturę storożytnych narodów i estetykę w języku niemieckim, francuskim, łacińskim i rosyjskim. Do stolicy cesarstwa przybyli nasi podróżni w początkach listopada, w dzień przed wielką powodzią, jaka nawiedziła r. 1824 to miasto, czy też w dzień po niej. Znajomych z Wilna znaleźli tu kilku, mianowicie dwu smutnie później rozślawionych jako ludzi, co się szlachetniejszych uczuć zaparli, Józefa Sękowskiego, który już wtedy był profesorem zwyczajnym języka arabskiego w uniwersytecie petersburskim, i Józefa Przecławskiego, który bawił wówczas w Petersburgu dla interesów prywatnych, a w kilka lat potem miał założyć jedno z najbardziej wpływowych czasopism naszych: Tygodnik Petersburski. Kuzynka Przecławskiego była żoną ówczesnego ministra oświecenia, Aleksandra Szyszakowa i ułatwiła może swoim współziomkom stosunek z mężem; dość

że łaskawie zostali przyjęci; dano im do wyboru miejscowość, w której jako nauczyciele pracować zechcą: Mickiewicz i Jeżowski podali prośby o umieszczenie na posadach w liceum Richelieu w Odesie; po krótkim wahaniu zdecydował się jechać do tegoż miasta i Malewski, mając zapewniony urząd w kancelaryi tamtejszego generał-gubernatora. Przychylna decyzja władzy nastąpiła niebawem, ale ponieważ wyjazdu nie nagłono, Mickiewicz wraz z kolegami blisko trzy miesiące w Petersburgu przepędził, tak że dopiero w początkach lutego 1825 roku puścił się w daleką, 1500 przeszło wiorst wynoszącą, podróż.

Zatrzymawszy się cokolwiek dłużej w Kijowie, gdzie prawdopodobnie poznał Mickiewicz przyszłych dekabrystów Bestużewa i Rylejewa, w Steblowie nad Rosią, gdzie gościnnie podejmowany był przez Hołowińskich, w Elizawetgradzie, gdzie się przedstawił Janowi Wittemu, kuratorowi wydziału odeskiego, dobił się nakoniec do celu i wraz z Jeżowskim zajął mieszkanie w gmachu licealnym, chociaż na razie żadnej posady wolnej nie było. W marcu już jednak odebrali nasi przybysze rozkaz najwyższy, wzbraniający im pobytu w Odesie i wogóle w guberniach południowych, z dozwoleńiem wyboru innej miejscowości. Trzej przyjaciele wybrali Moskwę i odpowiednie prośby wysłali; długo atoli na odpowiedź czekać musieli, tak że całkowity pobyt w Odesie przeciągnął się do dziewięciu blisko miesięcy.

Czas ten upłynął poecie naszemu na zabawach towarzyskich, odwiedzaniu teatru i przejażdżkach. Sam o sobie powiadał, że w Odesie żył „jak basza.” Czuł się tu prawie zupełnie swobodnym, na nikogo zważać nie potrzebował, chyba że mu z tem było lepiej i wygodniej. Znajomości porobił mnóstwo, gdyż szlachty ukraińskiej, wołyńskiej i podolskiej bawiło tam wiele, a wszyscy pragnęli poznać młodego poetę-wygnańca. Wtenczas zapewne po raz pierwszy wszedł na salony pańskie i nałamywał się do panujących w nich

manier. Przywykał przynajmniej pozornie do życia upływającego wśród rozrywek, dowcipnych słówek, powierzchownego ożywienia; talentem zaś improwizacyjnym zwracał na siebie uwagę i zdumiewał. Doświadczył też nowych wzruszeń miłosnych, całkiem odmiennych od tych, jakie w sercu jego dla Maryli się obudziły i trwały. Miłość odeska upodobnić się musiała do ogólnego charakteru ówczesnego trybu życia poety—była pragnieniem rozkoszy. Osobą, która tę krewkość młodzieńczą w całej sile obudziła, była sławna z piękności, dowcipu i licznych przygód Karolina z Rzewuskich, siostra wsławionego potem powieściopisarza Henryka, wówczas żona Hieronima Sobańskiego, w latach zaś późniejszych żona generała Witta, następnie Czyrkowica, w końcu Lacroix. Poeta zapłonął namiętnością do przyjmującej hołdy jego pani, pisał wiele, żarem lub salonową galanterią tchnących, wierszy („Rozmowa,“ „Dwa słowa,“ „Sen,“ „Do D. D.“, „Elegia do D. D.“, „Godzina,“ „Niepewność;“ sonety: „Luba, ja wzdycham,“ „Dzień dobry,“ „Dobranoc,“ „Dobry wieczór,“ „Wizyta,“ „Do wizytujących“); odbył razem z nią i jej bratem wycieczkę do Krymu, gdzie zebrał barwy do wspaniałych sonetów; w końcu rozstał się z Kochanką w sposób przykry, drażniący, jak się zazwyczaj dzieje tam, gdzie nie serce, lecz zmysły w grę wchodzi; wyrazem tego rozdźwięku jest sonet „Pożegnanie“ i uogólnione zarzuty, zrobione płochym kobietom w sonecie „Danaidy.“

Pod koniec pobytu w Odesie, Mickiewicz, odświeżywszy umysł nowemi wrażeniami, jakich dostarczyła wędrówka po górzystym Krymie, po raz pierwszy dającym sposobność poecie naszemu podziwiać majestatyczne widoki; zastanowiwszy się nad ubiegłemi chwilami wśród zabaw i stosunków salonowych, ocenił sam siebie surowo i skarcił za obniżenie uczuć i natchnień. Postanowił odtąd „nie zniżać lotu“ i postanowienia dotrzymał. Pomysły jego od tego czasu nie obracały się już w kółku namiętności osobistych, ale

odnosiły się do sfery uczuć ogólniejszych i podnioslejszych.

Dnia 12 listopada 1825 roku otrzymał nareszcie Mickiewicz, jak i koledzy jego, odpowiedź na swe prośby z marca; dozwolono im udać się do Moskwy. Wybrawszy się w drogę, zatrzymali się czas jakiś w Charkowie, gdzie znaleźli znajomych, i w końcu listopada przybyli na miejsce nowego pobytu. Jeżowski dostał posadę w uniwersytecie, Mickiewicz zaś i Malewski znaleźli zajęcie w kancelaryi generał-gubernatora Galicya, człowieka zacnego, który rozumiał położenie wygnańców i starał mu się ulżyć.

Pierwsze dziesięć miesięcy pobytu w Moskwie upłynęły wśród ciszy, w zupełnej niemal jednostajności; poeta nasz żył w ścieśnionem kółku spółkoлегów, których tu, oprócz Malewskiego i Jeżowskiego, znalazło się jeszcze kilku; śmierć cesarza Aleksandra, wstąpienie na tron Mikołaja i połączone z tym faktem okoliczności nakazywały zachowywać się jaknajspokojniej, uwydatniać się jaknajmniej. Dopiero podczas koronacyi nowego cesarza w Moskwie we wrześniu 1826 r. podawał Mickiewicz prośbę o pozwolenie odwiedzenia rodziny, lecz prośba ta pozostała bez skutku. Czas wolny od mechanicznych zajęć kancelaryjnych wypełniał gawędą z przyjaciółmi, obrabianiem wrażeń z podróży krymskiej w formie sonetów, obmyślaniem nowego poematu, pisaniem poezyj okolicznościowych z powodu przyjazdu do Moskwy dawniej poznanych osób, jak doktora S. (podobno Siemaszki), Apollona Skalkowskiego, szkicowaniem porównawczej rozprawki o Goethem i Byronie.

Miał zamiar Mickiewicz do dwóch tomików „Poezji“ swoich, wydanych w Wilnie, dołączyć teraz tomik trzeci, zapowiedziany już dawniej w prenumeracie; ale gdy ten zamiar nie mógł się urzeczywistnić, postanowił ogłosić jako oddzielne wydawnictwo utwory o formie jednolitej, to jest „Sonety.“ Znalazł się w Moskwie człowiek mający stanowisko urzędowe,

który język polski znał i ocenzurowania tych sonetów się podjął, a więc umożliwił ich drukowanie. Pod sam koniec r. 1826 ukazały się one i obudziły wielkie zainteresowanie się wśród Rosyan, a liczne krytyki w czasopiśmiennictwie polskiem.

Forma sonetów nie była nieznana w dawniejszej literaturze naszej; wprowadził ją u nas, idąc za wzorem Petrarki, Jan Kochanowski, zastosowali szerzej już to w tłumaczeniach, już to w utworach oryginalnych Mikołaj Szarzyński, Piotr Grodkowski, Andrzej Morsztyn; ale od połowy wieku XVII poszła ona w zaniebanie, tak iż gdy Mickiewicz zaczął je pisać, to i on sam i współcześni mu znawcy piśmiennictwa poczytywali ją za całkiem nową w poezyi naszej. Nie można się temu bardzo dziwić, gdyż najznacniejsza część sonetów dawniejszych jeszcze spoczywała w rękopiśmie, a te, które były drukowane, nie zwróciły na siebie jakoś wtenczas i długo potem uwagi estetyków i krytyków. Bądźco bądź przyjęto sonety Mickiewicza jako nowość; jedni byli zachwyceni, drudzy gorszyli się niemi.

Dzisiaj i co do treści i co do wartości wyróżnić musimy dwie ich części: sonety erotyczne i sonety krymskie, jak je sam poeta w pierwszem wydaniu uszeregował. Sonety erotyczne pochodzą z różnych chwil młodości Mickiewicza; odbija się więc w nich i idealna miłość do Maryli, i żar namiętny odeski; są między niemi i prawdziwe klejnoty poezyi lirycznej i mniej udatnie wyrażone wylewy uczuć. Sonety krymskie natomiast należą do rzędu arcydzieł i choć zewnętrznie przedstawiają się jako odosobnione całości, tworzą przecieź w gruncie rzeczy poemat jednolity zarówno w stronie swój opisowej, malującej świetnymi barwami widoki Krymu, jak w stronie lirycznej, odtwarzającej pięknie a subtelnie przejścia duchowe poety od tęsknoty, żalu, rozpacz, do pewnej równowagi uczuć, pod działaniem rozmyślań nad prawami przyrody i dziejów ludzkich. Złanie i zharmo-

nizowanie żywiołu opisowego z uczuciowym, przeprowadzone albo w częściach jednego sonetu, albo w dwu po sobie następujących, należy do tych mistrzowskich pomysłów, które obudzają podziw i zachwyt dla artyzmu poety, będąc równocześnie odbiciem wiernem stanu jego duszy.

Ogłoszenie „Sonetów“ zmieniło położenie Mickiewicza w Moskwie. Literaci rosyjscy zaczęli się garnąć do niego. Mianowicie Mikołaj Polewoj, redaktor *Telegrafu moskiewskiego*, stał się wielbicielem jego gieniuszu, zapraszał go do siebie i na posiedzenia redakcyi. Za jego też pośrednictwem nastąpiło zaznajomienie się naszego poety z krytykiem, księciem Wiaziemskim, oraz z bawiącym w Moskwie od września r. 1826 najznakomitszym poetą rosyjskim, Aleksandrem Puszkinem. Jakkolwiek usposobienia i charaktery obu rdzennie się ze sobą różniły, znalazły się przecież punkta zetknięcia, które spoiły ich uczuciem szacunku i przyjaźni. Obaj poeci, i to rówieśnicy, obaj czciciele Byrona, a twórcy nowego kierunku literackiego w swoich literaturach, obaj zażętnieni za ideałem swobody, przyłgnęli do siebie i gorące z sobą prowadzili rozprawy zarówno w Moskwie, jak później w Petersburgu. Mickiewicz czytał utwory Puszkina już dawniej; Puszkini, nie umiejąc po polsku, poznawał go dopiero w tłumaczeniach, jakie się w czasopismach moskiewskich w ciągu r. 1827 pojawiały.

Stosunki z literatami pociągnęły za sobą bywanie w towarzystwach rosyjskich. Z pomiędzy kilku domów, w których Mickiewicza mile przyjmowano, na wyszczególnienie zasługuje salon księżny Zeneidy Wołkońskiej, różnostronnie utalentowanej, gościnnej i serdecznej. Tu gromadził się zazwyczaj wybór inteligencyi miejscowej, dla wysłuchania muzyki, śpiewu lub nowej powieści napisanej przez gospodynię, jak niemniej dla wzajemnej wymiany myśli o sprawach literatury i sztuki. Poeta nasz upamiętnił chwile

tu spędzone w pięknym wierszu „Na pokój grecki,“ grzecznie a wykwintnie wielbiącym i samą księżną i smak jej w urządzeniu mieszkania. Tu też prawdopodobnie wypowiedziany przezeń został dowcipny dyalog francuski pomiędzy panią a garderobianą o tём, „kogo wybrać za męża.“

Udział Mickiewicza w zabawach nie podobał się mocno kolegom jego, siedzącym w Orenburgu, szczególnież zaś Janowi Czeczottowi, który napisał do niego list pełen wyrzutów bolesnych. Poeta nasz przyjął je „z tём uczuciem, z jakim syn słucho przestrog ojca staruszka, trochę dziwaka i w kwaśnym humorze, a do tego w biedzie,“ i przedstawił szczerze położenie swoje i zapatrywanie na stosunek uczuć podniosłych do życia codziennego, zapewniał „że można tańczyć, grać, śpiewać i być grzecznym, nie zostając pasibrzuchem, i można być pożytecznym dla drugich, a to jest największą nagrodą wszystkich starań w tak małych drobnostkach.“ A nie był to frazes tylko. Mickiewicz rzeczywiście starał się ulżyć doli biedniejszych od siebie kolegów, potrzeby ich materialne i moralne zaspokajając, o ile to było w jego możności; z pieniędzy, jakie posiadał, każdy z przyjaciół mógł naprawdę „wziąć trzy czwarte.“ Że zaś wśród zabaw nie opuszczała go myśl o ideałach ogólniejszej natury, donosił przyjaciółom w tym samym liście o czytanych przez siebie książkach, Fiesku Schillera i historyi Machiawela. Dla zrozumienia całej myśli zawartej w tych króciutkich słowach, trzeba dodać, czego w liście do Orenburga poeta nie pisał, iż zajmował się właśnie wtedy wykończeniem poematu, rozpoczętego jeszcze w r. 1826, p. n. „Konrad Wallenrod,“ o druk którego zaczął w początkach r. 1827 robić starania, trwające dość długo. Pod koniec dopiero tego roku potrafił go przeprowadzić przez cenzurę, a w następstwie ogłosić.

Wydanie „Konrada Wallenroda“ połączone było z osobistą bytnością poety naszego w Petersburgu.

Drugie te odwiedziny stolicy cesarstwa mocno różniły się od pierwszych. Poprzednio przesunął się tam jak nieznacząca osobistość, teraz przyjmowany był i ugaszczany z zapalem. Sława jego, pomimo ostrych nieraz krytyk, rosła wśród współziomków z każdym rokiem, a uznanie, jakie sobie w Moskwie pozyskał, oddziaływało także na kolonią polską w Petersburgu. Na ucztach Mickiewicz czytał ustępy z „Konrada Wallenroda,” jeszcze w rękopiśmie będącego, albo improwizował. Najsłynniejsza improwizacya w formie dramatycznej, o Samuelu Zborowskim, odbyła się 24 grudnia w dzień imienin poety, któremu współziomkowie wyprawili „wspaniałą kucyą,” jako w wilią Bożego Narodzenia, w mieszkaniu Adama Rogalskiego, znanego Mickiewiczowi jeszcze z Wilna. Wszyscy zachwyceni byli siłą charakterystyki czasu i ludzi, jaką rozwinał poeta, deklamując przeszło dwa tysiące wierszy.

Dnia 21 lutego 1828 roku wyszedł „Konrad Wallenrod” z druku i obudził tak gorące zajęcie, jak żaden z poprzednich utworów Mickiewicza. Myśl zasadniczą poematu rozmaicie sobie tłumaczono; może nawet w tej niepewności co do istotnej tendencji utworu leżała część uroku przezeń wywartego; godziło się natomiast w tym zdaniu, że tak świetnie, tak wzruszająco przedstawionych uczuć patryotycznych w literaturze polskiej do owego czasu nie było. Płomienne uczucia, ujęte w mowę mistrzowską, działały z siłą błyskawiczną na umysły młodzieży. Zachwycono się i elektryzującą pieśnią wajdeloty, i jego spokojnem, ale jędrnem opowiadaniem, i opisem wojny, i sądu tajemnego, śpiewem Aldony zamkniętą w wieży i jej rozmowami z Konradem, które chociaż nie miały psychicznego umotywowania, czarowały muzyką języka i pięknnością szczegółów. I dzisiaj, lubo jako całość poemat ten nie może być uważany za utwór pierwszorzędny, pojedyncze części działają na czytelnika wstrząsająco, wywołują szeregi uczuć i myśli,

które zawsze i wszędzie w ucywilizowanym społeczeństwie do najsilniejszych i najtrwalszych należeć będą. Charakter głównej postaci, wybitne cechy wpływu Byrona noszący, nie może być wprawdzie ani estetycznie ani etycznie uważany za dobry, a tém mniej za doskonały, lecz idea, której on szczęście i życie swe poświęcił, miłość kraju, jest wiecznotrwała; bohater służył jej na drodze niewłaściwej, ale ją bądźco bądź ukochał gorąco.

W lutym 1828 powrócił Mickiewicz do Moskwy, ale nie zabawił już w niej długo. Zmarła tu w tym czasie nieznaną z nazwiska, serdeczna jego przyjaciółka; Bonawenturostwo Zalescy, którzy przez ciąg roku poprzedniego umilali mu pobyt w tém mieście i którym on „Konrada Wallenroda“ dedykował, opuścili Moskwę. Dalsze więc życie tutaj, pomimo serdecznego przyjęcia w domach rosyjskich, nie uśmiechało mu się wcale. Uzyskawszy przeto pozwolenie od władzy, postanowił przenieść się do Petersburga. Przed odjazdem Mikołaj Polewoj i współpracownicy Telegrafu moskiewskiego wydali na cześć poety naszego ucztę i ofiarowali mu na pamiątkę puchar srebrny, wewnątrz którego wryte były nazwiska ośmiu osób uczestniczących w biesiadzie, poetów i dziennikarzy. Czytano naturalnie wiersze; Mickiewicz mocno wzruszony wypowiedział improwizowane podziękowanie po francusku. Młody, entuzjastyczny poeta, Eugeniusz Baratyński, po improwizacyi padłszy na kolana, zawołał: „Ah mon Dieu, pourquoi n'est-il pas Russe!“ (Ach, mój Boże, czemuż on nie jest Rosyjaninem!). Opuścił Mickiewicz starą stolicę, dość miłe unosząc wspomnienia.

Po raz trzeci przybył poeta nasz do Petersburga 22 kwietnia 1828 roku. Na towarzystwie nie brakło mu tu oczywiście, ale nie ze wszystkimi żył jak dawniej; Józef Sękowski już się wydał przed nim ze swą przewrotnością, dlatego stronił od niego i innych przestrzegając, ażeby się mieli na baczności. Na-

tomiał wszedł w zażyłość z domem głośnej i w Europie fortepianistki Maryi Szymanowskiej, z którą się roku poprzedniego zapoznał w Moskwie, gdzie z koncertem występowała. Dorastająca jej córka Celina, z którą w kilka lat potem miał się ożenić, już wówczas obudziła w nim pewne zajęcie, zwykle w sposób żartobliwy objawiane.

Prócz udziału w życiu towarzyskiem, rozmów z Puszkinem, które upamiętnione zostały następnie przez obu: przez Mickiewicza w „Pomniku Piotra W.“, przez Puszkina w „Bronzowym jeźdźcu“, zajmował się nasz poeta pilnie w owym czasie studyowaniem stosunków politycznych; czytywał wiele dzienników, szczególnie zaś francuski „Le Globe.“ Tworzył bardzo mało. W Petersburgu, obok kilku bajek, przekładów z poetów arabskich: „Szanfary“, „Almotenabi“, powstały tylko dwie balady: „Czaty“, „Trzech Budrysów“, jedna pieśń p. t. „Czyn“ i wspaniała kasyda „Farys“, malująca barwami stylu wschodniego jazdę nieustraszonego jeźdźcy po pustyni, pokonywającego wszelkie przeszkody, lekceważącego wszelkie groźby i przybywającego w końcu do upragnionego celu. Zapewne, obok samego plastycznego odtworzenia zajmującej i pięknej postaci jeźdźcy, miał poeta na myśli i przedstawienie przeszkód napotykanych przez rycerzy idei na drodze reform, oraz uczucia radości, gdy się je zwycięży.

Wspomnieć tu wreszcie należy o podjętej w Petersburgu w języku francuskim „Historji przyszłości“, w której chciał przepowiedzieć skutki materialnej jedynie kultury, na zasadzie egoizmu opartej. Opowiadanie miało się zaczynać od r. 2000 i ciągnąć się przez dwa stulecia. Po ogólnym poglądzie na ówczesny stan świata, a mianowicie Europy, następował opis jej przygotowań i narad sejmowych, wobec grożącej napaści Chińczyków, która też istotnie się dokonywa. Bitwa stoczona przez same kobiety i niewielką liczbę dwudziestoletnich młodzieńców, pod wodzą

bohaterki z nad Wisły, kończyła okres już w r. 1829 przez Mickiewicza napisany. Cała zaś historia miała się zaokrąglić wejściem ziemi w stosunki zinnemi planetami, a to zapomocą balonów, które kiedyś tak żeglować mają po powietrzu, jak dziś okręty po morzu. Nie kończył atoli dzieła tego Mickiewicz i nie dbał o nie; zaginęło też całkowicie.

Sława poety ustaliła się podczas pobytu jego w Petersburgu; dowodem tego były dwa nowe wydania jego poezyj w r. 1828, jedno w Paryżu, drugie w Poznaniu. Widoki rozprzedania ich były wszakże tak pomyślne, że Mickiewicz ogłosił na własną rękę trzecie w Petersburgu, w początkach r. 1829. Do wydania tego dołączył przedmowę „o krytykach i recenzentach warszawskich.“ Była ona ostro, polemicznie napisaną szykaną zdań wygłoszonych w czasopismach warszawskich o jego poezjach, szczególnie zaś o sonetach, a przytém przedstawiała same ujemne strony literatury warszawskiej kierunku klasycznego, oskarżając ją o jałowość pomysłów i nieuctwo. Sąd ten nie był słuszny; Mickiewicz, oddalony od kraju, nie znał dostatecznie dzieł wychodzących w Warszawie, a tём mniej czasopism; z kilku numerów dwu dzienników zbyt pośpiesznie wyrokował o całości; nadto przykładał on do oceny naszego piśmiennictwa zbyt wielką miarę, zestawiając to, co się tu działo, z ruchem europejskim, bez uwzględnienia okoliczności tamujących swobodny i wszechstronny rozwój. Przedmowa ta jednak, napisana śmiało i dzielnie, ma w dziejach naszego życia umysłowego bardzo doniosłe znaczenie; pobudziła umysły do roztrząsania zagadnień estetycznych i krytycznych, wywołała żywy ruch polemiczny, była wyrazem świadomości niedalekiego już zwycięztwa, jakie miał odnieść romantyzm.

Zasilony dochodem, jaki otrzymywał z trzech nowych wydań utworów swoich, dostawszy pasport na wyjazd zagranicę, Mickiewicz pożegnał znajomych

i opuścił Petersburg 15 maja 1829 roku, udając się morzem na Zachód.

Zanim przedstawimy dzieje tój podróży, rzućmy jeszcze okiem na fizyognomią moralną poety, jak się ona w ciągu przebieżonego już czasu wyrobiła.

Pięcioletni blisko pobyt Mickiewicza na wielkich obszarach Rosyi wpłynął nań bardzo silnie pod rozmaitemi względami. Poeta nasz poznał różnorodne okolice, bo podróżował powoli, nie koleją żelazną, której jeszcze wówczas nie było, ale na kołach; przypatrzył się ludziom różnej narodowości, stanu i zatrudnienia; zwiedził mnóstwo wiosek i miasteczek; żył w Odesie, podróżował po Krymie, tęsknił i bawił się w Moskwie i Petersburgu, rozprawiał wszędzie z ludźmi najodmienniejszych pojęć i poglądów. Z partykularza nowogrodzkiego, wileńskiego i kowieńskiego, w którym życie szło zółwim krokiem i w nadzwyczajnych jedyń- nie wypadkach przyśpieszonem było tętnem, przeniósł się do wielkich ognisk, gdzie najprzeróżniejsze elementy gorączkowo dobijały się uznania i znaczenia, gdzie rozmowa z konieczności dotyczyć musiała interesów najszerszych i najogólniejszych. Te okoliczności musiały oddziaływać na zwiększenie widnokręgu myśli poety.

Inny był wpływ na stronę jego uczuciową. Z po-śród osób serdecznie dla niego usposobionych, szczer-nych, prostych i w większej części uczciwych, przeszedł do grona ludzi wyżej nieraz ukształconych, ale zastępujących uczucie frazesem, prostotę — przepisami konwenansu, rzewność — dowcipem, uczciwość — ambicyą, a szczere przywiązanie do kraju — wyrozumowaniem zgodzeniem się na istniejący porządek rzeczy. Miał wprawdzie i tutaj najbliższych swoich przyjaciół, spotykał się też z osobistościami, którym życie wielko-światowe przydało tylko więcej oglady i doświadczenia, nie ujmując szczerości i prostoty; ale ponieważ obracał się w towarzystwach salonowych mieszanych,

musiał więc częściej spotykać się z pierwszą niż drugą, zwykle szczuplejszą, kategorią ludzi.

W takich towarzystwach trzeba było przede wszystkim odmienić się zewnątrz: nabrać ogłady światowej, poduczyć się niezbędną francuszczyznę salonową, wdroić umysł do spostrzeżeń nagłych a dowcipnych, słowem z młodzieńca o niezbyt zgrabnych ruchach i niezbyt śmiałym zachowaniu się, wyrość na salonowca, na szarmanta względem płci pięknej, na specjalistę w rzeczy tużurków, krawatów i kapeluszy. Mickiewicz przyswoił sobie te zalety; ale stanowiły one u niego naleciałość tylko, nie zmieniły nawet przyzwyczajęń dawniejszych, nie obudziły w poecie pragnienia komfortu. Jak poprzednio tak i teraz obchodził się on u siebie byle czem, mieszkał byle jak, wspominał chwile swego dzieciństwa i czasy szkolne zawsze z rozrzewnieniem i nie wrastał bynajmniej w ten grunt, na którym chwilowo przebywać musiał. Bądźco bądź jednak zwracał odtąd większą uwagę na swój ubiór, musztrował pod tym względem zaniedbujących się przyjaciół, umiał bawić damy, mówić słówka dowcipne, pisać zręczne bileciki w języku francuskim.

Drugim, nieporównanie ważniejszym wynikiem obeznania się z wielkim światem towarzyskim i literackim było zagłębianie się w rozbiór stosunków międzynarodowych, ogarnianie wzrokiem całego ustroju społecznego i losów świata. Dawniej zamykał się on w jaźni swojej, mówił o uczuciach własnych lub też najbliższego otoczenia, albo o zadaniach czysto artystycznych, a jeżeli puszczał się myślą w sfery dalsze, to bardzo ogólnikowo tylko, powołując młodzież w sposób nieokreślony do przebudowania zmurszałego gmachu społecznego. Teraz szczegółowo się już zajął badaniem położenia narodów europejskich, a wśród nich szczególnie własnego, wyrobił sobie pewne określone poglądy w najrozmaitszych kwestyach życia politycznego, społecznego i literackiego; żaden przedmiot rozmowy czy dyskusyi w zwykłym otoczeniu nie zasta-

wał go nieprzygotowanym. Dodać jednakże potrzeba, że i teraz tak jak dawniej głównemi czynnikami jego umysłowości były uczucie i wyobraźnia, nie zaś rozum analityczny, wszelkie pojęcia i poglądy poddający drobnostkowemu rozbiorowi; Mickiewicz ogarniał odrazu całość zagadnienia i formułował o niēm swoje zdanie; ale w dowodzenie nie wdawał się, zadowalniając się porównaniami, które miały na celu barwniejsze jedynie odmalowanie pewnej myśli. Słowem, znacznie zakres pojęć swoich w tym czasie rozszerzył, wiele z nich pogłębił, ale pozostał naturalnie tē m czēm był, nie uczonym, lecz poetą bardzo wrażliwym i gotowym zawsze do przyjęcia świeżych uczuć i świeżych myśli. Uwydatniło się to w jego podróży zagranicznej i w dalszym biegu jego życia.

V.

Z podróży Mickiewicza po Niemczech dwa mianowicie szczegóły zaznaczyły się wydatnie: pobyt w Berlinie i w Weimarze.

Z Lubeki, dokąd morzem przyплыwał, udał się nasz poeta na Hamburg do stolicy pruskiej i zabawił w niej prawie cały miesiąc (mniej więcej od początków czerwca do początków lipca 1829 r.) Poznany przez studentów Polaków, którzy w znacznej liczbie ciągnęli wówczas na uniwersytet berliński, przyjęty przez nich został nadzwyczaj serdecznie i zaprowadzony na odczyty uwielbianego przez całą młodzież myślącą filozofa Hegla; sądzili bowiem, że Mickiewicz tak jak oni rozkoszować się będzie subtelnemi wywodami mędrca. Zawiedli się jednak pod tym względem zupełnie. Poeta, wysłuchawszy dwu lekcyj, z krasomówczego punktu widzenia bardzo niezaradnych, o różnicy między Verstand i Vernunft (rozsądek i rozum), ten tylko wniosek wyprowadził, że mąż, który tak niejasno mówi i tak się męczy całemi godzinami, by rozjaśnić znaczenie dwu pojęć, pewnie sam siebie

nie rozumie. Niezadowolenia swojego z wykładów nie mógł naturalnie poprzeć rozumowanemi dowodami, gdyż filozofią wogóle, a niemiecką w szczególności znał bardzo powierzchownie; w uniwersytecie wileńskim żadnych filozoficznych wykładów nie słuchał, bo ich za jego czasów nie było, potem zaś czytał dorywczo jakieś rozprawy Kanta i Schellinga, do systematycznych jednak studyów w tym kierunku nigdy się nie zabrał. Rozprawiał więc o filozofii ze stanowiska uczucia i zwykłego rozsądku praktycznego; zamiast okazywać mylność logiczną twierdzeń filozoficznych, zarzucał filozofom brak odwagi lub brak poświęcenia. Tego rodzaju dowody nie mogły oczywiście przemówić do przekonania młodych wielbicieli Hegla; musiano więc zaprzestać sporu, który do żadnych wyników, prócz wzajemnego rozdrażnienia, nie prowadził, i zaniechawszy Hegla, zapoznano poetę z młodym profesorem historii powszechnej Ganssem, cieszącym się również, lubo w mniejszym stopniu, uznaniem młodzieży. Z Ganssem Mickiewicz zrozumiał się lepiej, a nawet w rozmowie z nim rzucił kilka nowych na Rosyą poglądów, które profesor niebawem zużytkował, mówiąc o traktacie wiedeńskim i o „stu dniach“ Napoleonskich, przyczem bardzo zaszczytnie wobec audytorium wspominał o poecie naszym, jako jedynym, coby zdołał w świetnej epopei czyny bohatera wieku wyśpiewać. Ten epizod, jak i kilka improwizacyj, wypowiedzianych przez Mickiewicza na zebraniach, a przyjętych z zapalem, zatarły w młodzieży przykre wrażenie starcia, z powodu poglądów filozoficznych.

Pożegnany serdecznie, ruszył do Drezna, odbył wycieczkę po Saskiej Szwajcaryi, był w Pradze, gdzie się zapoznał z patryotą czeskim Wacławem Hanką, który mu odrodzenie literatury swego narodu wskazał, pił wody w Karlsbadzie i tu doczekał się przyjazdu młodego swego wielbiciela i naśladowcy, Antoniego Edwarda Odyńca, z którym jeszcze w Petersburgu o wspólną umówił się podróż. Odtąd wraz

z nim przepędził 14 miesięcy, a towarzyszył mu wielce pomocny, gdyż zajął się wszystkimi drobiazgami potrzeb codziennych.

Do Weimaru, z powodu przypadającej w dniu 28 sierpnia 1829 roku 80-jej rocznicy urodzin największego poety Niemców, Goethego, dążyli i rodacy jego i cudzoziemcy dość tłumnie. Mickiewicz z Odyńcem zjechali tu 17 sierpnia i zabawili prawie dwa tygodnie.

Goethe znał podobno urywki z „Konrada Wallenroda,” tłumaczone na język niemiecki przez znajomą Mickiewiczowi z Moskwy Karolinę Jänisch; list Maryi Szymanowskiej, niegdyś przezeń wielbionej, polecał poetę naszego, jako twórcę kierunku romantycznego w poezji polskiej. Wiadomości te nie mogły mu dać zbyt wysokiego o Mickiewiczu wyobrażenia, bo romantyków w ojczyźnie swęj nie cierpiał, a na formę w poezji zważał wtedy nadzwyczaj pilnie. Przyzwyczajenie przytęm do hołdów i częste odwiedziny cudzoziemców, a mianowicie Anglików, zrzędały, że nowa osobistość, przychodząca złożyć mu cześć, nie mogła sprawić na nim wielkiego wrażenia. Nic więc dziwnego, że przyjął gości polskich tylko jak wytrawny dworak i człowiek pełen uprzejmego dla wszystkich usposobienia. Powiedziawszy kilka komplementów dosyć chłodnych, korzystał według swegozwyczaju z nadarzonej sposobności, ażeby się czegośkolwiek dowiedzieć o nieznanęj sobie literaturze polskiej. Słuchał z zajęciem opowiadań Mickiewicza o historycznym rozwoju poezji naszej od najdawniejszych do najnowszych czasów, o charakterze pieśni ludowej i t. p. W długie jednak rozprawy się nie wdawał. Zauważył, że przy coraz wyraźniejszem dążeniu do prawdy ogólnej, poezya i literatura stawać się będzie coraz bardziej powszechną; przystał wszakże na uwagę Mickiewicza, że nigdy cech odrębnych, narodowych nie straci. To była jedyna dyskusya; potem mówił o rze-

czach potocznych, o Szymanowskiej, Janie Potockim i księżnie Lubomirskiej, których widział niegdyś.

Po tém pierwszém posłuchaniu, lubo goście polscy długo bawili w Weimarze, nie zapraszał ich na poufne pogadanki; oddał ich w opiekę pań i tylko na obiedzie lub wieczery niekiedy z nimi się widywał. Wówczas rozmawiał zazwyczaj z bawiącym w Weimarze astronomem Quetelet'em lub rzeźbiarzem Davidem z Angers, podnosząc zagadnienia przyrodnicze i artystyczne. Mickiewicz zachowywał się milcząco, kiedyniekiedy tylko dorzucił swe zdanie. Przy rozstaniu Mickiewicz i Odyniec otrzymali od Goethego dwie złotobrzeżne kartki zapisane wierszami, oraz dwa pióra odarte z pierza i starannie w kształcie iglicy cieńszym końcem w rozszczepiony środek włożone.

W poufalszych stosunkach zostawał Mickiewicz z kobiecém otoczeniem Goethego, to jest z jego synową Otylią, oraz paniami Vogel i Pappenheim, które były częstemi u niej gośćmi. Swobodna, salonowa, zaprawiona dowcipem rozmowa podobiała się kobietom w wysokim stopniu, a zdolność hipnotyzerska, jakbyśmy dziś powiedzieli, przejęła ich zdumieniem. Razu pewnego poprosił Mickiewicz panie, na wieczorku u Otylii Goethe zebrane, ażeby najulubieńsze swe pierścionki na talerze złożyły, a on odgadnie, który czyją jest własnością. Gdy po pewnem wzdraganiu się panie złożyły swe pierścionki w liczbie kilkunastu, poeta nasz powstał, wziął talerz i odszedł na stronę. Rozmowa prawie całkiem zamilkła; starsi mężczyźni zbliżyli się ku paniom; nastąpiła chwila ogólnego oczekiwania. Mickiewicz stał zdala od wszystkich, obrócony twarzą ku oknom i przeglądał przy lampie pierścionki. Nagle odwrócił się i szybko postąpił ku gronu kobiecemu; twarz jego była marmurowo blada; wzrok skupiony w sobie. Odgadywanie udało się w zupełności i wywarło ogromne wrażenie.

Po wyjeździe z Weimaru, odbyli nasi podróżni parodniową wycieczkę po Renie, a wyruszywszy następnie ze Strasburga, zatrzymali się na dłużej dopiero w Medyolanie, potem w Wenecyi i Florencyi, aż wreszcie 18 listopada przybyli do Rzymu. To przenoszenie się z miejsca na miejsce miało cechę wyłącznie turystyczną, było rozrywką, może potrzebą fantazyi, ale nie miało na celu studyów naukowo-artystycznych. Poeta odwiedzał po drodze nielicznych znajomych lub sławnych ludzi, pośpiesznym krokiem przebiegał kościoły, muzea, galerye, pobieżnie spoglądał na sławniejsze budowle, o tém zaś co widział, nie tylko szeroko nie rozprawiał, ale nawet i krótkiego zdania nie formułował. Natomiast lubił zawiązywać rozmowy ze spotkaniami w drodze osobami, przyglądał się pilnie naturze, więcej znajdował upodobania w objawach powszedniego życia, niż w artyzmie.

Za przybyciem do Rzymu, chciał początkowo Mickiewicz poświęcić się studyom poważnym: zaczął czytać Liwiusza, prosił znajomych w kraju o przysłanie materyałów biograficznych, dla skreślenia kilku wizerunków literackich; ale zamiary te rozbiły się niebawem o powaby życia towarzyskiego, którym oprzeć się nie mógł, jakkolwiek w chwilach zastanowienia czuł pustkę w duszy i tęsknił za ojczyzną, narzekając na „moralne osamotnienie.“ Być może, iż w rozrywkach zewnętrznych szukał zapomnienia smutków trawiących serce.

Były w Rzymie głównie trzy ogniska, dla poety naszego dostępne, w których gromadziło się dość dobrane towarzystwo.

Dawna znajoma z Moskwy, księżna Zeneida Wołkońska, przybywszy do stolicy katolicyzmu, częścią z powodu wykształcenia synów, częścią z sympatii do obrządku rzymskiego, otworzyła swój dom nie tylko dla rodaków, ale dla wszystkich poetów, artystów i wyższej artystokracji włoskiej. Tu poznać było można, oprócz rzeszy artystycznej, sporo dyplo-

matów, wojskowych, książąt i księżn. Dom ten atoli mniej ku sobie pociągał Mickiewicza, może wydawał się trochę zanudny, zwłaszcza od czasu, gdy na jednym z wieczorów poznał młodą, dowcipną i zalotną Anastazyą Klustin, córkę możnej rodziny z gubernii tambowskiej, zwaną dziesiątą muzą, a od lat już kilku podróżującą z owdowiałą matką po całej Europie, tak zaś rozmiłowaną w sztukach pięknych, a szczególnie w ich mistrzach, że ci nawzajem, jak Thorwaldsen w Rzymie albo Bonstetten w Genewie, kochali się w niej, lub ją „admirowali.“

I to jednakże towarzystwo musiało ustąpić pierwszeństwa rodzinnemu w domu hr. Ankwiczów, dokąd wabiło poetę młode dziewczę, panna Henryka, ucząca się archeologii u Viscontego. Tu najczęściej spędzał on wieczory, bo tu najserdeczniejsze toczono rozmowy, tu bawiono się najlepiej; jakkolwiek i dwu poprzednio wymienionych domów nie zanieczyścił, a z panną Klustin dowcipne wymieniał liściki. W dni niepogodne, obiady, wieczorki ze śpiewem i muzyką, z rozprawami o sztuce i literaturze, z przeróżnemi grami towarzyskimi, z komedią francuską, w której czynny udział brał lubiony przez wszystkich Odyniec; w pogodne zaś — przechadzki po Rzymie, zwiedzanie zabytków, a poczynawszy od 10 marca 1830 r. wycieczki w okolice Rzymu do Fiumicino, Albano, Frascati, Palestrina, Genazzano, Tivoli, Subiaco, — zapełniały czas w normalnym stanie rzeczy, to jest gdy podróży nasi nie byli zaproszeni na jaki bal do posła rosyjskiego, lub też gdy nie odwiedzali królowej Hortensyi.

Po przez całą tkaninę zabaw przeciągała się różowa wstęga miłości cichłej, spokojnej, jaka łączyła serce Adama z sercem Henryety. Nie miała ona żadnych dramatycznych powikłań, była prosta i naturalna; jakaś krótkotrwała chmurka, jakiś kaprysyk, trochę niechęci ojca panny, cyganka wróżąca, że Henryka dwukrotnie wyjdzie za mąż, zmija przewijająca

L.

swe kręgi przed oczyma Adama, kwiat uszczknięty, rozstanie się dwumiesięczne i najserdeczniejsze potem przywitanie: oto główne wypadki z tych krótkich dziejów uczucia, których strony wewnętrznej co do poety naszego domyślać się tylko można, gdy ze strony Henryety mamy bardzo późne wprowadzie, ale osobiste zeznanie.

W obawie upałów i Ankwiczowie, i Anastazyja Klustin, i Wołkońska w kwietniu 1830 Rzym opuścili. Mickiewicz wraz z Odyńcem 6 maja wyjechał również; marzył on o podróży do Grecyi lub Egiptu, lecz poprzestał na zwiedzeniu Włoch południowych: Neapolu, Sycylii, Baj i Pompejów. Te dwie ostatnie miejscowości zwiedzał już w towarzystwie Anastazyi. Potem rozłączył się z nią i zatrzymawszy się z powrotem w Rzymie, udał się z Odyńcem na zwiedzenie Szwajcaryi. Tu doszła ich wieść o rewolucyi lipcowej w Paryżu; udzieliła jej Anastazyja, a że Mickiewicz już dawniej przepowiadał upadek Burbonów, porwała ze stołu jakąś francuską gazetę i rozłożywszy ją, przyklękła przed nim, mówiąc: Gloire au prophète! (Chwała prorokowi!). Bardzo żywe zajęcie się wypadkami politycznymi nie przeszkodziło jednak dokończeniu wycieczki turystycznej, wśród której poznał Mickiewicz młodziutkiego Zygmunta Krasińskiego. Potem i nasi podróżni i Anastazyja Klustin, zaręczona już wtedy z hr. de Circourt, i Ankwiczowie, którzy najgorętszy czas rewolucyjny przepędzili w Paryżu, znaleźli się razem w Genewie i mile bardzo cały miesiąc spędzili.

Twórczość poetycka Mickiewicza w przeciągu tego czasu była uśpiona; kilka bowiem tylko utworów lirycznych zaznaczyć tu można. Po wierszu „Na Alpach w Splügen,” który odbrzmiewa jeszcze wspomnieniami Maryli, idą w chronologicznym porządku: „Do mojego Cicerone w Rzymie,” gdzie się pytał Henryety o swą przyszłość, „Do Maryi Łempickiej,” towarzyszącej Henryecie, „Wezwanie do Neapolu, będące

przeróbką pieśni Mignony z Wilhelma Meistra Goethego, „Do matki Polki“ napisany w drodze do Genui, w lipcu 1830. Szczupły ten plon z kilkunastu miesięcy wskazuje, jak zaprzątnięty był poeta nasz życiem towarzyskiem i wchłanianiem wrażeń. Nie dotykała go wtedy ani troska o byt powszedni, bo miał pieniędzy dosyć na swe potrzeby skromne, ani też ucisk okoliczności zewnętrznych; roztargnienia więc tylko światowe i napływ nowych spostrzeżeń były głównym powodem, że twórczość jego w okresie podróży nie upamiętniła się żadnym większym utworem. Dokonywała się w nim powoli nowa zmiana, która podczas drugiego pobytu w Rzymie wystąpiła jawnie. Zmiana ta dotyczyła nastroju religijnego.

W wychowaniu domowem i szkolnem, przejętem duchem pobożności tradycyjnej, Mickiewicz odebrał trwałe wrażenia, zwracające myśl jego ku Bogu i światowi nadzmysłowemu wogóle. Podczas studyów uniwersyteckich wrażenia te zatarły się nieco, gdyż jakkolwiek wykłady w Wilnie dalekie były od dążności podrywania wiary w młodzieży, to przecież będąc prowadzone przez wychowawców „wieku oświecenia“, wieku racjonalizmu, nie mogły wcale się przyczyniać do rozdmuchiwania uczuć religijnych, a nieopatrzna gorliwość władzy, nakazująca terminowe spełnianie obrządków religijnych, budziła niechęć i opór wśród studentów i raczej zobojętniała, aniżeli wzmacniała w nich zasady pobożności.

Poezya romantyczna, posługująca się chętnie motywami religijnymi i zajęta stosunkiem świata zmysłowego do duchowego, mieściła w sobie zarodki mistyczne, które przy sprzyjających okolicznościach mogły przybrać olbrzymie rozmiary, ale u Mickiewicza na razie wywołała tylko chęć zużytkowania wierzeń religijnych ludowych na rzecz natchnień artystycznych.

Życie w wirze wielkoświatowym, jakie następnie prowadził, rozwijając dowcip, ochładzając uczu

ciowość wogóle, przytępiało też i wiarę, tak, że poeta nasz zaprzestał spełniać obrządki religijne. Zetknięcie się ze szlachetnym mistykiem Józefem Oleszkiewiczem w Petersburgu zaczęło już oddziaływać na utajone usposobienie i chociaż Mickiewicz podżartowywał sobie z pomysłów i upodobań mistyka, czuł wszelako w głębi duszy odradzanie się wierzeń młodości, na tle uczuciowem. Odgadywał to Oleszkiewicz i mówił poecie: „Nic to nie szkodzi! Ty myślisz teraz, że ty strasznie rozumny i że niema światła nad rozum. Ale to nic nie szkodzi! Jak Pan Bóg chce, tak będzie.“ A do innych odzywał się o Mickiewiczu: „Jest on naczyniem wybranem i prędzej później łaska go napelni i przez niego spłynie na drugich.“ Nie mylił się.

Poeta nasz, bywając w domu hr. Ankwiczów wielce religijnie usposobionym, z początku także żartobliwie względem pobożności Henryety i jej towarzyszek Marceliny się zachowywał. Panny w tajemnicy przed nim przedsięwzięły pewne modlitwy i posty na intencją jego nawrócenia. Gdy tajemnicę tę wydała sama Ankwiczowa, Mickiewicz przyjął ją poważnie i odtąd żartów w rzeczach wiary zaprzestał. W tym samym mniej więcej czasie doszła go wiadomość o śmierci Oleszkiewicza. Poeta wspominał go teraz częściej może niż dawniej, ale już tylko „w tonie uszanowania i rzetelnego przyjacielskiego uczucia.“ Żywioł mistyczny zaczął w nim przemagać. Wiara, uczucie, natchnienie, stawały się dla niego potęgami wyższymi nad rozum już nie tylko w znaczeniu poetycznem, jak było w pierwszej dobie romantyzmu, ale także wprost w życiu umysłowem, w przekonaniach i poglądach. W wierszu „Romantyczność“ mówił o czuciu i wierze na tle fantazyi ludowej, teraz to uczucie i wiara zabarwiała się wyraźnie odcieniem religijnym. Widać to w poezyach: „Rozmowa wieczorna,“ „Mędrcy,“ „Arcy-mistrz,“ „Rozum i wiara,“ które prawdopodobnie w drugiej połowie roku 1830 powsta-

ły. Korzy się w nich poeta przed Bogiem, uznaje i swój i innych ludzi umysł za niezdolny do poznania tajemnic świata bez pomocy wiary, potępia tych mędrców, co tylko na księgach wyostrzywszy „rozumy zimne i twarde jak miecze ze stali,“ zwlekli z Boga szaty tajemnicze i szyderstwami go obrzucili, a o sobie powiada:

Przejrzałem nizkie ludzkości obszary
Z różnych jój mniemań i barwą i szumem
Wielkie i mętne, gdym patrzył rozumem,
Małe i jasne przed oczyma wiary.

Za tém ukorzeniem się umysłu musiały nastąpić odpowiednie uczynki. Gdy dnia 10 października 1830 r. rozstawszy się z Odyńcem, powrócił Mickiewicz do Rzymu, życie jego przybrało odmienny od poprzedniego charakter. Zabawy już go nie zajmowały nawet pozornie, jak dawniej; zbliżył się do ludzi słynących nauką teologiczną i pobożnością; z księdzem Stanisławem Chołoniewskim, człowiekiem wielce pobożnym i ascetycznie żyjącym, ale też gruntownie wykształconym, częste prowadził rozmowy i sam wyznawał, że im zawdzięczał „nowy widok świata, ludzi i nauki“; czytał wiele, a między książkami, które wtedy studyował, znajdowały się Boska Komedia Dantego, oraz pisma religijno-filozoficzne księdza Lamennais.

Wreszcie pod działaniem połączonych czynników, budzących w nim dziecinne wspomnienia, postanowił spełnić akt pokory religijnęj i poszedł do spowiedzi. Rzecz ta nabrała dla poety wielkiego uczuciowego znaczenia, gdy się dowiedział, że Henryeta Ankwiczówna miała téj właśnie nocy, w którą Mickiewicz przygotowywał się do komunii, sen o nim, przedstawiający go ubranego w sukni białej spadającej aż na ziemię i bawiącego się z białym barankiem trzymanym na ręku. Jakie wrażenie zrobiło na poe-

cie opowiadanie tego snu, który za proroczy uważał, wnieść można ztąd, że gdy w rok potem powtarzał przyjacielowi to zdarzenie, twarz jego „była tak drgająca i blada, głos tak zmieniony i drżący,” że podobnego wzruszenia przyjaciel ów nigdy w nim nie widział dawniej. Po skończonem zaś wyznaniu poeta dodał: „Gdyby piorun spadł u nóg moich, nie przeraziłby mię tyle...”

Od pogrążenia się w mistycyzmie odwróciły nagle poetę wypadki krajowe, nadając myślom jego inny kierunek, zmuszając do zajęcia się sprawami rzeczywistości widzialnej. Gdy wieść o powstaniu listopadowem nadeszła do Rzymu, Mickiewicz zaczął wybierać się w drogę, ale rozmaitego rodzaju przeszkody nie dozwoliły mu wyjechać z wiecznego miasta wcześniej, jak 19 kwietnia 1831 roku.

VI.

Opuściwszy Włochy, zatrzymał się nasz poeta na dni kilka w Genewie, śledząc gorączkowo przebieg wypadków w kraju...

Pewne zamiary kazały mu skierować dalszą drogę na Paryż, który miał oglądać po raz pierwszy. Stolica Francyi, a zwłaszcza jego inteligencya, nie podobaly mu się w wysokim stopniu. Zawiedziony w nadziejach, wyjechał do Drezna, a ztąd do W. Ks. Poznańskiego, chcąc się dostać do Królestwa.

Gdy się to okazało niemożliwem i gdy niebawem powstanie upadło, Mickiewicz pozostał w W. Księstwie, serdecznie przyjmowany i ugaszczany przez obywateli, lubo i przykrych zajęć nie brakowało. Mógł teraz w ciągu 8-miesięcznego pobytu porównać szlachtę i lud na Litwie, z takiemiż warstwami narodu w Wielkopolsce, a porównanie to musiało przyczynić się do rozszerzenia i pogłębienia spostrzeżeń i poglądów, odnoszących się do charakteru, zwyczajów i obyczajów narodu. Rozmawiając zaś o kwestyach pierwszorzędnych

znaczenia dla bytu i rozwoju społeczeństwa, coraz silniej odczuwał potrzebę wypowiedzenia przed ogółem tych myśli, które się w duszy jego zbierały, a do przeszłości, teraźniejszości i przyszłości narodu się odnosiły.

Potrzebie tej uczynił zadość w Dreźnie, dokąd się przeniósł w początkach marca 1832 roku. Towarzystwo polskie w tém mieście było wówczas bardzo liczne i wielce ożywione; w pierwszych bowiem miesiącach po upadku powstania wychodźcy nasi doznawali wśród Niemców nader przyjaznego przyjęcia. Zrazu Mickiewicz uczestniczył w tłumnych zebraniach, niebawem jednak zraził się do nich i zamknął w szczupłym gronie najbliższych znajomych. Wchodzili do niego: Odyniec, Ignacy Domejko i Stefan Garczyński, młody entuzyasta, którego poeta nasz poznał jeszcze w Berlinie, a potem w Rzymie mocno pokochał, chociaż jego filozoficzne poglądy, z systemu Hegla wysnute, po swojemu zbijał. To przyjazne otoczenie, opowiadania z czasów niedawniej wojny, wspomnienia uniwersyteckie, wywoływane rozmową z Odyńcem i Domejką, obudziły w Mickiewiczu nanowo twórczość poetycką. Zużytkował naprzód materiał dostarczony przez przyjaciół z najświeższych wypadków, pisząc krótkie pieśni lub rapsody: „Śmierć pułkownika,“ „Pieśń żołnierza,“ „Nocleg“ „Reduta Ordona“; następnie zabrał się do prac większego zakresu. W nich, zgodnie z istotą swego usposobienia, rozwijał wątek, z którego właśnie jego uczucia i dzieje się snuły. Napisał tedy jakąś część „Dziadów“, której nie pokazał nikomu. Odyniec domyślał się, że w niej przedstawił poeta swoją religijną wewnętrzną przemianę i wpływające na nią okoliczności, gdyż sam Mickiewicz miał mu powiedzieć, że rzecz dzieje się w Rzymie i że Odyniec także gra w niej pewną rolę. Na zapytanie Odyńca, czy mu ją kiedy pokaże, odpowiedział: „może kiedyś, może nigdy.“ Skończyło się na nigdy; nikt tej części nie poznał. Natomiast część, którą zu-

pełnie niewłaściwie nazwał „trzecią,” w miarę jak pisał, odczytywał wieczorami Odyńcowi, Garczyńskiemu i Domejce, i ta chęć odczytywania dodawała mu, wedle własnego zeznania, bodźca do pośpiechu w codziennęj pracy. Utworzył ją nadzwyczaj szybko, chcąc, jak mówił, „korzystać z natchnienia, które czuł niezależnem od woli.“

Głównym tematem tej części III jest przedstawienie stosunków wileńskich w sprawie filaretów z r. 1823 i 1824; ale poeta na tē m tle odmalował z potęgą, jakiej dotychczas w żadnem z pism jego nie było, cierpienia ogółu narodowego. Potrzebował on tylko niejako punktu oparcia w faktach, które sam przeżył i przeboleł; właściwie jednak miał na myśli i w sercu daleko szersze widnokręgi i o wiele sroższe cierpienia. Z takiego punktu widzenia obrazy tu nakreślone przesadnemi ani jaskrawemi nam się nie wydadzą, lecz pełnemi bolesną prawdą. Dodać potrzeba, że nastrój i koloryt panujący w tej części nie był możliwym przed rokiem 1831 ani pod względem politycznym, ani religijnym. Pomijając pierwszy, zastanowię się tylko bliżej nad drugim. Mickiewicz, od czasu drugiego pobytu w Rzymie, coraz więcej tracił ufność w znaczenie i potęgę rozumu, przeciwstawiając mu siłę wiary, uczucia i natchnienia. W ciągu roku 1831 myśli te zwrócone zostały do ogólnego położenia narodowego i sprawiły, że polepszenia losu nie spodziewał się poeta ani od mocy materyalnej, ani od kombinacyj dyplomatycznych, ale od potęgi wiary i natchnienia. Sądził on, że dążności narodu należałoby nadawać charakter religijno-moralny i na katolicyzmie grunt położyć, na którym wznieść się miał gmach przyszłości. Ztąd też genialnemu Konradowi, przemienionemu pod wpływem cierpień ogólnych z Gustawa, jakkolwiek ma dla niego nader silne spółczucie, gdyż część własnej istoty w osobistość tę włożył, nie daje on urość na bonatera czynnego, na przedstawiciela idei w jej pełnem rozwinięciu, ale

przeciwstawia mu prostego, naiwnego, książkowego mądrości nieposiadającego księdza Piotra, który pokorą i pobożnością zjednywa sobie łaski od Boga, jakich nie otrzymał szlachetny, ale dumny Konrad, na podobieństwo olbrzymów szturmujący do nieba, nie tylko prośbą, ale i groźbą. Nie Konrad, lecz ksiądz Piotr ogniskuje w sobie te dodatnie czynności, jakie się w dramacie dokonywają. Improwizacją Konrada, w którą wlał tyle zapалу, sam Mickiewicz uważał za punkt zwrotny Byronowskiego kierunku w poezyi, to jest punkt, w którym „szał pychy rozumu“ dosięga ostatecznych swych granic, a tylko pokorna wiara i chrześcijańska miłość brata Piotra broni go od ostatecznego upadku i zguby.

Pod względem artystycznym przedstawia część III „Dziadów“ ciekawe zjawisko zlania ze sobą dwu sprzecznych pierwiastków: realizmu i idealizmu. Realizm panuje w scenach pojedynczych, w barwnym a śmiałym sposobie malowania szczegółów, z nienajawnioną do owego czasu przez Mickiewicza dobitnością; idealizm, a może raczniej mistycyzm, przebija się w osnuciu wątku głównego, w tych chórach duchów złych i dobrych, które na każdą myśl, na każde uczucie człowieka czekają, ażeby je na cele właściwe sobie obrócić. Duchy te nie mają już cechy ludowej, jak w baladach i dawniejszych częściach „Dziadów“, lecz kościelno-mistyczną, a zarazem symboliczną. Poeta posługuje się też niemi inaczej niż poprzednio: nie dla ich zalet plastycznych, wywierających urok na wyobraźnię, lecz dla znaczenia ich moralnego wprowadza je na widownię; wierzy w nie już nietylko wiarą artystyczną, ale wiarą całej swęj istności duchowej; w jego pojęciu są one równie rzeczywistemi, jak sama rzeczywistość widzialna; jednem słowem romantyzm przeszedł już w mistycyzm, lecz poeta nie dał się mu opanować całkowicie i wyłącznie; wysoki jego talent plastyczny i silne poczucie rzeczywistości, stały dzielny opór najazdowi żywiołu sobie przeci-

wnego i, jak zobaczymy niebawem, zdołały nawet na czas pewien odeprzeć go całkowicie w sferze tworzenia artystycznego, lubo strony rozumowej nie zdołały przed nim zasłonić.

Całości zaokrąglonej III-a część „Dziadów“ nie tworzy; stanowi ona tylko akt pierwszy rozległego utworu, jaki Mickiewicz napisać zamierzył, chcąc z niego zrobić jedyne dzieło „warte czytania.“ Dalejszych atoli aktów nie nakreślił, tak że poemat pozostał tylko fragmentem. Niektóre do nich materyały obrobił w formie luźnych urywków, które p. n. „Ustęp“ do części III dołączył... Pod względem siły i barwności wyrażenia, oraz plastyki obrazów, są one nieporównane. Doskonała znajomość miejsca, charakterów, obyczajów i wypadków, nabyta w ciągu pobytu w Rosyi, ożywiona płomiennem uczuciem przepełniającem serce poety i oddana słowem mistrzowskiem, wydała małe arcydzieła poezyi opisowej i satyrycznej.

Chcąc poemat swój podać do druku, a przytém widząc, że dłuższy pobyt w Dreźnie może być albo utrudnionym albo całkiem wzbronionym, gdyż rząd saski niejednemu już z wychodźców wskazał drogę poza swe granice, Mickiewicz, pożegnawszy się z Odyńcem i Garczyńskim, opuścił Dreźnie w końcu czerwca 1832 roku i w towarzystwie ośmiu innych wychodźców, pomiędzy którymi znajdował się też Ignacy Domejko, udał się do Paryża.

VII.

Paryż wrzał wówczas namiętnościami politycznymi i socyalnemi. Najprzeróżniejsze i najdziwniejsze projekty reform rzucały żar w umysły i rozgorączkowały wyobraźnię. Wszystkie żywsze i zapalczywsze dusze poddawały się powabnemu złudzeniu, że wszelkie stosunki ludzkie dadzą się rychło prze-

mienić, a choćby przewrócić, aby się stać doskonalszemi i zapewnić ludziom większą sumę szczęścia.

Na takim gruncie i wśród takiej atmosfery wychództwo nasze, w bardzo wielkiej liczbie zgromadzone, musiało spotęgować swą pochopność do sporów, a zarazem chwycić się nieraz najbardziej krańcowych teoryj. Wyniósłszy już z kraju zarody niesnasek, z powodu stanowczej różnicy w poglądach na środki prowadzenia sprawy, rozwinęło je w Paryżu, wobec zupełnej niemal, zwłaszcza w początkach, swobody słowa i zgromadzania się, do stopnia najwyższego, podzieliło się na różne stronnictwa, zakładało wciąż nowe towarzystwa, wydawało broszury polemiczne, kłóciło się na zebraniach, wyzywało się na pojedynki i zabijało się.

Mickiewicz gwaru i dyskusyj politycznych nie lubił; do stronnictwa żadnego nie przystąpił, a biorąc udział w takich sprawach, które ku pożytkowi ogólnemu urzeczywistnione być mogły, starał się nakłonić wychództwo do zjednoczenia i do zaprzestania próżnych kłótni o słowa i mawy, a wziąć się naprawdę do pracy. Sądził, że przemawiając do ogółu w duchu religijnym, słowami prostemi, zrozumiałemi nawet dla prostaczków, i poruszając w ich sercach uczucia im wspólne, zdoła wpłynąć na zmianę w zachowaniu się współrodaków. W tej myśli ułożył naprzód „Księgi narodu“ i „Księgi pielgrzymstwa polskiego.“ Obrął tu formę biblijną i co do stylu i co do sposobu wpływania na uczucia i przekonania. Chcąc dodać otuchy zgębnionym, naród swój przedstawił jako wybrany, a dzieje jego upodobnił z dziejami życia, męki i zmartwychwstania Chrystusa. W rozumieniu poety nie miało to napełniać serc naszych pychą, lecz służyć tylko za pokrzepienie i budzić ufność nadal. Jako znamiennej cechę tego wybraństwa wskazał bezinteresowność i ofiarność, któremi w czynach politycznych kierowali się nasi przodkowie, gdy tymczasem obce narody hołdowały samolubstwu i innym tego rodzaju

nieszlachetnym pobudkom. Taki charakter narodu wkłada na wychodźstwo wielkie obowiązki; ma ono być wśród obcych narodów wzorem doskonałości moralnej, ażeby zachęcić wszystkie do czczenia ideałów, które ono wielbiło. Mickiewicz, lekceważąc cywilizacją materialną i rozum książkowy a samolubny, prowadzący do zubożenia dla spraw wyższych, sądził, że wychodźcy nie mają czego uczyć się od Europy, ale sami mogą ją oświecać, bo każdy ma ducha poświęcenia się, którego wychowañcom dobrobytu materialnego brak zupełnie. Ażeby jednak mogli posłannictwo szerzenia na Zachodzie ewangelii wolności spełnić należycie, muszą być skromni, zgodni, zaniechać sporów o arystokrację i demokrację, o prawa, o formy rządu, ale jąć się pracy. Każdy niech robi to, co umie, ale niech przytém pamięta, iż nie dla samego siebie tylko żyje, iż ma obowiązek pracować dla ogółu. Pierwszém więc staraniem każdego powinno być udoskonalenie moralne. „O ile powiększycie i polepszycie duszę waszą—mówił Mickiewicz—o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice.“ Miłość wzajemna, ciche spełnianie obowiązków i pokora są-to najpiękniejsze cnoty, jakie zdobić winny wychodźców.

Rady, podane przez Mickiewicza w tych pismach, nie odniosły pożądanego skutku. Nic dziwnego: poeta domagał się rzeczy najtrudniejszej, o jakiej pomyśleć można: przetworzenia się usposobień, nałogów, słowem całej moralnej natury ludzkiej. Przetwarzanie się takich w wielkiej liczbie ludzi historia bardzo mało zaznaczyć może; dokonywały się one tylko pod wpływem potężnych reformatorów religijnych. Mickiewicz, opanowany myślą o potędze wiary, mniemał, że i on zdoła do takiej przemiany przywieść choćby tylko spółrodaków bawiących we Francji; dlatego też wspomniane książeczki rozsyłał darmo, zwłaszcza na prowincję, dokąd znaczną część wychodźców rząd francuski z Paryża wydzalił. Nie poprzestając na tém.

poeta nasz po raz pierwszy próbował oddziaływać na ogół za pośrednictwem publicystyki.

Za jego wpływem prawdopodobnie powstało w Paryżu pismo p. t. „Pielgrzym polski,“ wychodzące od 4 listopada 1832. Udział w nim czynny Mickiewicza rozpoczął się właściwie 5 lutego 1833 r., lecz nie był wtenczas trwały; dopiero od kwietnia do końca czerwca stał się nieprzerwanym. Poruszając kwestye bieżące, które mogły interesować ogół, rozwijał myśli rzucone w „Księgach narodu i pielgrzymstwa.“ Nastawał szczególnie na konieczność pozbycia się złych środków w walkach o przekonania, utrzymując, że kłamstwo a témbardziej potwarz w polityce, jako zabytek dawnych czasów, powinny być stanowczo usunięte, że nadszedł czas, w którym prawda winna stać się nie tylko hasłem, ale istotną kierowniczką dziennikarstwa, parlamentaryzmu i całej wogóle polityki. Marzył o urządzeniu społeczeństwa ludzkiego, a przede wszystkim europejskiego, na zasadzie wolności chrześcijańskiej. Formy rządu tego społeczeństwa nie chciał nazywać republiką, gdyż imię to złączone było z nader rozmaitemi a niezbyt pojętnymi wyobrażeniami; dodawał tylko, że nazwa ta się znajdzie. Sądził, że należałoby ustanowić „concilium europejskie,“ któreby wyższem było nad wszystkie jednostkowe i jednoplemienne interesa, któreby się stało orędownikiem wszystkiego, co szlachetne, wielkie i na poparcie zasługujące, a nieśmiertelnym wrogiem tego wszystkiego, co nikczemne i podłe. Wierzył, że takie „concilium“ jest możliwe, byleby tylko nie zbrakło zapалу i ufności w jego urzeczywistnienie. Przechodząc do spraw bliższych, nastawał na nieodzowną potrzebę zamienienia wybuchowych poświęceń na drobniejsze lecz ciągłe, zaniechania pogardy dla pewnych klas narodu, dzielenia się na stronnictwa; na potrzebę nadawania chłopom wolności i uwalniania od czynszów; tę ostatnią czynność uważał za donioślejszą w skutkach, niż gorączkowe pró-

by, przedsiębrane przez zapalonych a małorozważnych demokratów.

Artykuły Mickiewicza toneły wśród powodzi rozróżnionych opinij, nie wywierając wpływu zamierzonego przez autora; robiły mu natomiast niechętnych, którzy za złe mu brali wdawanie się w politykę. Żył on osamotniony w bardzo szczupłym kółku przyjaciół, do których między innymi należał teraz Bohdan Zaleski. Nie znosząc gwaru, urządził się, jak powiadał, po wiejsku; jadał w domu o południu i rzadko na miasto wychodził. Czytał mało, a pisał gorączkowo. Hałaśliwych zebrzań unikał i braci wychodźców bardzo niepochlebnie oceniał. „Jedni mnie nienawidzą—pisał raz do przyjaciela—drudzy krzywo na mnie patrzą, doktrynerzy mają za waryata: wszyscy głupi solennie, krzykliwi i niedołężni.“ Rad był gdzie się wyrwać z Paryża, chciał się zbliżyć do swoich przyjaciół bawiących w Saksonii, to znów na Wschód uciekać, ażeby uniknąć „przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów, zapóźnych żalów, potępieńczych swarów,“ chociaż rozumiał dobrze powód tak bolesnych objawów. Nakoniec, na wieść, że Stefana Garczyńskiego lekarze wysłali na serwatkową kuracyą do Bex w Szwajcaryi, Mickiewicz, poruszywszy wszelkie sprężyny celem ułatwienia sobie podróży, spieniężywszy tłumaczenie „Giaura,“ którego w tym czasie dokonał, udał się w początku lipca 1833 r. na Lozannę do miejsca pobytu swego chorego przyjaciela. Podróż ta, pomimo jednonocnej choroby w Lozannie, orzeźwiła poetę. „Widok gór i błękitnego Lemanu — pisał wtedy—przeniósł mię w dawniejsze, weselsze lata. Przyznam ci się, że politycy paryscy jeszcze głupszy i mniejsi teraz wydają się, niż przed tygodniem. Jak wielkich ludzi czas i oddalenie powiększa, tak liliputów pomniejsza i pożera.“ Zamarzył o spokojnym życiu na wsi; ale naturalnie o urzeczywistnieniu marzenia myśleć nie mógł. Garczyńskiego zastał bardzo osłabionym; w połowie lipca musiał przewieźć go do

Genewy, gdzie się też znalazła prawdziwa szarytka w sukni świeckiej, Klaudyna hr. Potocka, serdecznie zajmująca się zdrowiem biednego żołnierza-poety. We wrześniu trzeba było wyjechać do okolic cieplejszych. Podążyli do Awenionu. Mickiewicz był niemal złamany. „Złe bardzo, bardzo z nami — pisał wówczas do Domejki. — Możesz wystawić sobie biedy podróży z chorym, którego na rękę z pojazdu do mieszkania dźwigać trzeba, w kraju, gdzie oberżyści spojrzawszy mu w oczy i widząc w nich niewiele życia, przyjmować nie chcą! Jak daleko trafimy, nie wiem. Mamy jechać do Marsylii, a ztamtąd do Włoch,—zamiar popierany przez wszystkich doktorów, chociaż dodają w ucho, że chory w Marsylii albo na morzu życie zakończy. Może zostaniemy w Montpellier. Jestem tak strudzony, tak bezsenny, że dłużej pisać nie mogę... Pieniądze wszystkie, co miałem, wydałem w podróży, pięć lieues (mil francuskich) na dzień i w kraju tak drogim jak Szwajcarya!.. P. Potocka przysłała mi była pieniądze do Paryża, ale jej tu wróciłem; póki mam swoje, cudzych nie chcę...” Jakże słowa te wybornie malują trudy i kłopoty, i ciężkie położenie finansowe, i pragnienie zarazem niezależności, i przestawanie na małym — okoliczności i uczucia, które dla Mickiewicza były niejednokrotnie powodem chwil smutnych — odsłaniając nam przytém jego duszę tkliwą, szlachetną i poświęcającą się!

Garczyńskiemu niepodobna było mówić całej prawdy; myślał on o podróży do Włoch, a chcąc przejść przez pokój, cudzej potrzebował pomocy. Gdy do Awenionu przybył dawny jego towarzysz broni Pągowski, Mickiewicz udał się do Marsylii, niby dla wystarania się o pasport na dalszą podróż, aby zaspokoić życzenia chorego. Niebawem, wezwany nagłym listem, powrócił. Tęj nocy, gdy Garczyński żyć przestał (20 września), Mickiewicz do późna przy nim czuwał; znużony wreszcie poszedł spać, zostawiwszy Pągowskiego przy chorym; ten, przerażony zbyt ci-

chym snem jego, zwrócił nań baczniejszą uwagę i spostrzegł, że już nie żyje.

Oddawszy ostatnią posługę zmarłemu przyjacielowi, uczciwszy jego pamięć zwięzłym nagrobkiem łacińskim, Mickiewicz, poczęści w towarzystwie Bohdana Zaleskiego, odbył wycieczkę po Francyi południowej, starając się widokiem natury orzeźwić skołatany umysł. Do Paryża zjechał dopiero w początkach listopada i oddał się pracy nad dokończeniem poematu, który, rozpoczęty jeszcze przed rokiem, długo nie miał w pomysle twórcy ani tytułu, ani oznaczonego zakresu.

Pierwszą o tym poemacie wiadomość znajdujemy w liście do Odyńca z 8 grudnia 1832 roku: „Piszę teraz poema szlacheckie w rodzaju Hermann i Dorothea Goethego; już ukropiłem tysiąc wierszy. Podoba się bardzo szlachcie tutejszej. Duch poetycki czuję w sobie; ale tyle miałem zgryzot, tyle kłopotów i prócz tego różnych bazgrań, rozprawek, artykułów, projektów, że sam nie wiem, jak czasem mogę kilkanaście wierszy skleić.“ Poeta pieści się tym utworem, jako najmłodszem i najukochańszem dzieckiem. Pisząc go przenosi się myślą do swoich rodzinnych okolic, żyje życiem wiejskiem, oddycha świeżem powietrzem, bawi się ze swymi dawnymi znajomymi i przyjaciółmi. Zajęty artykułami dziennikarskimi, oraz prowadząc korektę poematu Garczyńskiego „Wacława dzieje“, musiał nieraz zawieszać pracę nad „poematem szlacheckim“, albo jak go jeszcze krócej tytułował „szlachcicem.“ Po dłuższej przerwie wrócił do niego na dobre dopiero w kwietniu 1833 roku; dnia 6 maja, kiedy pierwszy tom poezyj Garczyńskiego był już w druku wykończony, dowiadujemy się, że poeta trzecią pieśń „Tadeusza“ napisał. Wtedy-to zdecydował się ostatecznie na to imię dla swego najmłodszego dziecka i wtedy ujrzał, że tak łatwo z niem nie poradzi. Początkowo sądził widocznie, że poemat obrobi na mniejszą skalę; teraz zaś powiada: „Zanosi się na

długą chryję; dotąd dosyć dobrze udaje się, gdyby nie tyle przeszkód, gdyby jeden tydzień przeszłorocznęj ciszy," t. j. gdy bawił w Dreźnie i pisał III część „Dziadów.“ Napróżno wzdychał; ciszy dobić się nie mógł. Mimo to „kropił swoje poema“ i w końcu mają pieśń czwartą kończył. Jadąc do Garczyńskiego, wziął ze sobą „Tadeusza," lecz okazało się, że wśród cierpień przyjaciela tworzyć nie będzie mógł; myślał więc tylko o tem, czy znajdzie czas do przepisania czwartej pieśni; rzeczywiście tu ją skopiował. Gdy po śmierci Garczyńskiego udał się na przejażdżkę i zatrzymał się w Lyonie, Bohdan Zaleski, który za nim pędził, przechodząc koło jakiegoś hotelu, zoczył go w oknie, z papierem w ręku; po wejściu do pokoju zastał poetę codosłownie „zacierzwionego“ nad „Tadeuszem," pomimo choroby „chodzącęj mu po zębach, głowie i piersiach.“ W dniu 13 listopada za powrotem do Paryża pisał do Odyńca: „Piątą pieśń Tadeusza skończyłem; trzy jeszcze zostaje.“ Jak widzimy, nawet wówczas nie miał jeszcze zupełnego planu poematu i sądził, że całość w ośmiu księgach się zawrze. Od tej chwili praca postępowała już szybko, gdyż w lutym 1834 roku skończył „Pana Tadeusza“ całkowicie. Donosząc o tem przyjacielowi, mówił, że wiele tam marności, wiele też dobrego. Praca ukończona nie przejmowała go zadowoleniem, owszem porzucał ją, jakby ciężar jaki, a chciał iść dalej, coraz wyżej lot podnosząc. Ukończone arcydzieło nie zatrzymywało już na sobie uwagi twórcy. „Przekonywam się — pisał wtedy do Odyńca — że się nadto żyło i pracowało dla świata tylko, dla pustych pochwał i celów drobnych. Zdaje mi się, że nigdy już pióra na fraszki nie użyję. To tylko dzieło warto czegoś, z którego człowiek może poprawić się i mądrości nauczyć. Możebym i Tadeusza zaniechał, ale już był blizki końca..."

Błogosławioną była okoliczność, że myśl zaniechania „Pana Tadeusza“ nie pojawiła się wcześniej;

w przeciwnym razie bylibyśmy pozbawieni największej ozdoby poezyi naszej.

Poeta nazwał utwór swój skromnie „historią szlachecką,“ dając tćm do zrozumienia, że nie zamierzał spełniać wszystkich warunków, jakie do pojęcia epopei były i są przywiązane. Mamyż jednak zgodzić się bezwzględnie na takie określenie charakteru poematu? Mamyż, jak owocześni krytycy, zestawiać go z powieściami Waltera Scotta i tą względnie małą miarą oceniać jego wartość? Mojęm zdaniem i zdaniem większej części dzisiejszych krytyków takie dobroduszne przyjmowanie intencji poety nie mogłoby się nazwać wniknięciem w naturę utworu. Po rozważeniu wszelkich względów wyznać potrzeba: że Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“ spełnił jedno z najtrudniejszych zadań artystycznych—stworzył epopeję nowożytną z motywów czysto ludzkich, bez żadnych machin cudownych, któremi się dawne epopeje posługiwały, a nawet wogóle bez udziału tego świata duchów, który jeszcze w III części „Dziadów“ tak pierwszorzędną odgrywał rolę. Genialnie odmalował życie społeczeństwa naszego w początkach XIX stulecia w jego prywatnych i publicznych stosunkach, w jego drobnych i wielkich sprawach, z jego cierpieniami i nadziejami, z jego bytem codziennym i z chwilami podniosłego nastroju, z jego wadami i cnotami. Poeta ma gorącą dla narodu swego miłość, ale nie sądzi, żeby objawianie jćj musiało się łączyć z lżeniem jego nieprzyjaciół, albo z nadmiernem wynoszeniem jego zalet; dlatego wystawiając życie jego wielostronnie, nie zamilcza o błędach, ani też nie używa czarnych jedynie barw w odtwarzaniu żywiołów wrogich. Patrząc na objawy świata z wysokiego stanowiska, wie, że każdy znamienny żywotny rys może i powinien stać się przedmiotem artystycznego obrobienia; ztąd nie popada nigdy w jakiś ton jednostajny i patetyczny, rzewny lub żartobliwy, owszem napełnia poemat taką nieprzebraną rozmaitością wszelkich usposobień, na-

strojów i położeń, jaka jest właściwa życiu rzeczywistemu. Nie jest wyłącznym wielbicielem żadnego stanu, żadnej warstwy narodu, ani magnatów, ani szlachty, ani duchowieństwa, ani ludu wiejskiego, ale w każdym i w każdej odsłania znamienne ich właściwości, które bez uprzedzenia i nienawiści maluje. Dowodem nadzwyczaj wielkiego panowania nad sobą i nad przedmiotem, dowodem mistrzowskiego uczucia prawdy i artyzmu było, że pisząc o przeszłości, nie wniósł do niej swego ówczesnego usposobienia religijnego, swego surowego, prawie ascetycznego poglądu na codzienne czyny i sprawy ludzkie, lecz roztaczając je przed nami z epickim spokojem, nawet cienia mistycznych swoich upodobań z chwili pisania poematu nie zostawił. Na drobne wady, usterki i ułomności natury ludzkiej, na swary i całe zachowanie się szlachty zaściankowej, na zabiegi Telimeny około pozyskania męża, na zatrudnienia Zosi w ogródku i gospodarstwie domowem, rzuca poeta uśmiech ironii, ale ironii łagodnej, wyrozumiałej, jaką ma mąż dojrzały dla igraszek wieku dziecinnego, wiedząc, że inaczej być nie może, a nawet gdyby było inaczej, to możeby odmienne owe stosunki nie posiadały już dla nas tego powabu co obecne.

Bo też poeta jest realistą przedmiotowym, zarówno w pomyśle ogólnym, jak w malowaniu postaci, scen i wypadków. On nie tworzy ludzi i rzeczy z fantazyi, jak robili romantycy, jak i on sam robił w znacznej części dawniej, ale ich odtwarza z rzeczywistości. Ponieważ niema na świecie ideałów doskonałych bohaterów, niema ich i w jego poemacie, tak samo jak niema zupełnie złych; aniołowie i szatani znikają, zostają tylko ludzie. Hrabia, wychowaniec epoki sentymentalnej, pędzący życie bezcelowe, szukający wszędzie silnych wrażeń, któreby jednostajnemu jego życiu dodały choć cokolwiek interesu, sławiący konwencjonalnymi słowy piękności natury włoskiej, zachowujący zwyczaje angielskie, nie jest przecież jedynie

śmiesznym, pospolitym dziwakiem, umie się zdobyć na rzeczywiste ofiary dla kraju, lecz zarazem, nawet w tych chwilach poważniejszego nastroju, nie traci swych rysów komicznych, rozprawia sentymentalnie i po deklamatorsku, nosi się z teką rysunkową i poszukuje „punktów widzenia.“ W Telimienie również, chociaż uwydatnia jęj wszystkie wady i śmieszności, nie zatarł przecież przymiotów, bodaj trochę łagodzących złe wrażenie, nie uczynił jęj ani zalotnicą przedajną, ani spekulantką bez uczuć ludzkich, ale dobrą w gruncie Litwinką, zepsutą lekkomyślnym trybem wychowania i życia w klasach zamożniejszych, łatwością zawierania i zrywania małżeństw pod najbliższymi pozorami. Naodwrot w postaciach dodatnich nie pominął i takich cech, które nie wymuszają na nas bezwarunkowego dla nich podziwu i uszanowania, lecz pozwalają niekiedy uśmiechnąć się z nich swobodnie. Taki Sędzia np. poważny i poważany, zacny i rozumny, ma przecież bardzo naturalne wybuchy popędliwości i porywezości, znamionujące nasz narodowy charakter; dość sobie przypomnieć jego rozmowę z Tadeuszem. gdy mu grozi „bizunem na kobiercu“ w razie, jeśliby Zosi poślubić nie chciał. Najwydatniej ta cecha tworzenia artystycznego występuje w postaci Jacka. Któraż z osób poematu wznosi się wyżej nad niego i któraż jest poetyczniejszą, wznioślejszą? A przecież poeta, przedstawiając jego życie codzienne, nie pominął scen całkiem powszednich, gdy np. potrząsa dobrodusznie ogórkami bernardyńskimi, widząc psoty Tadeusza, gdy w karczmie rozmawia z bracią szlachtą tak, że my dzisiaj nie możemy się nie uśmiechnąć z tych jego gawęd o „wielkich ludziach, co od jego tabaki kichali,“ chociaż równocześnie podziwiamy jego umiejętność zastosowania się do niskiego poziomu umysłowego słuchaczy, do których przemawia. Poeta miał ten talent olbrzymi malowania ludzi dobrych zgodnie z rzeczywistością, a więc z ich ułomnościami, słabościami, wzbudzając atoli dla nich w ogólnem wra-

zeniu uczucia uszanowania, poważania, uwielbienia — i to bez żadnego naciąganego efektu, poprostu wskutek wewnętrznej prawdy i żywotności charakterów, które wystawiał.

Jak w malowaniu ludzi, tak też w odtwarzaniu stosunków, co ich wiążą lub rozdzielają, widnieje też sama przedmiotowość, ten sam realizm. Rozwija je poeta w trzech niejako stopniach, obejmujących ogół uczuć i interesów społeczeństwa: indywidualnym, towarzyskim i politycznym, każdemu wyznaczając, zgodnie z prawdą, zakres odpowiedni. W stosunkach indywidualnych najwydatniejsze miejsce zajmuje miłość. W jej przedstawieniu widać największą różnicę od dawniejszego, romantycznego. W „Panu Tadeuszu“ mamy jej trzy rodzaje: jako naiwna ukazuje się nam w miłości Zosi do tytułowego bohatera, jako zalotna w poszukiwaniach męża przez Telimenę, zwracającą się kolejno do Tadeusza, Hrabiego i Rejenta, jako gwałtowna w namiętném ukochaniu Ewy przez Jacka Soplicę. Pierwszego rodzaju Mickiewicz nigdy przedtém nie wystawiał w poezyi, drugi znajduje się do pewnego stopnia w wierszach z czasów odeskich, tylko że tam więcej jest poezyi zmysłów niż tutaj, w swobodnie i z dobroduszną ironią opowiedzianych przygodach Telimeny; trzeci wreszcie rodzaj jest realistyczném przetworzeniem namiętnych wybuchów Gustawa. Teraz miłość już nie jest dla poety ową potęgą druzgoczącą ludzkie istnienia, popychającą do samobójstwa, wyłącznym celem życia bohaterów; wchodzi ona do tego życia jako epizod, bardzo ważny wprawdzie i bardzo wpływowy, ale nie pochłaniający całego umysłu, całej duszy człowieka. Co do stosunków towarzyskich, tych poprzednio Mickiewicz prawie całkiem niewyswiał; zarysy znajdujące się w III-jej części „Dziadów“ są odbiciem chwil wyjątkowych i skreślone zostały w wyraźnym, zgóry powziętym celu odsłonięcia takich tylko stron życia społecznego, które uwydatniały tendencją poematu.

W „Panu Tadeuszu“ dopiero znajdujemy malowidło rodzajowe, odtwarzające stosunki ludzkie nietylko ze względu na wątek epiczny, ale także same w sobie, dla odzwierciedlenia tej nieskończonej różnorodności objawów, jaką daje życie. Interes i zabawa spletają się tu tak ściśle ze sobą, że niewiadomo nawet nieraz, o co właściwie ludziom idzie, o jeden czy o drugą. Spór o kawał gruntu i o zamek ciągnie się tak długo i daje pochoch do tak licznych śniadań, obiadów, polowań i przechadzek, że można twierdzić, iż strony spierające się dbają raczej o wesołe przepędzanie czasu w miłym towarzystwie, aniżeli o załatwienie sprawy. Sprawa ta jednak jest powodem kolizyi, sprowadza walkę. Poeta, nie chcąc nadawać tragicznego zabarwienia i zważając na charakter walczących, sprowadza tylko spustoszenie gospodarstwa, ażeby potem dopiero wysnuć walkę prawdziwą w starciu się dwu naprawdę wrogich żywiołów, które potracają już o trzeci, najwyższy, stopień stosunków. Towarzyskie sprawy roztoczone zostały szeroko, z całym epickim spokojem, jako obraz zwykłych, powszednich stosunków, wypełniających lata całe; gdy tymczasem sprawa polityczna stosunkowo mało zajmuje miejsca w poemacie, jako obraz silnie nateżonego uczucia, które w najwyższem napięciu długo trwać nie może, musi się zdecydować w tym lub owym kierunku, ażeby przejść następnie w fazę spokojniejszą i łagodniejszą, ażeby znów z interesami powszedniemi się skojarzyć. Ta najwyższa sprawa połączona jest z wielkimi powszechno-dziejowemi wypadkami za czasów Napoleona; co nadaje historii zaścianka litewskiego szersze, ogólniejsze znaczenie.

Przedmiotowość atoli, panująca w sposobie traktowania ludzi i stosunków, nie jest równoznaczna z bezosobowością, nie przemienia się w fotograficzność; uczucie bowiem silne, gorące, ale na wodzyzymane przenika całość i nadaje jej ten ciepły koloryt, który tak silnie na czytelnika oddziaływa. Twórca

poematu kocha kraj namiętnie a tęsknie, bo w nim najmilsze wspomnienia pozostawił, bo w nim serce zboleć znaleźćby jedynie mogło ukojenie; kocha ludzi, których maluje, bo chociaż mają wady i nie są bez winy, jego to przecież rodacy, a ponieważ ukazują mu się w oddali czasu i przestrzeni, tém większe budzą spólczucie i miłość, bo są wolni od tych drażniących przywar, które w zetknięciu blizkiem i częstém utrudniają i mącą nasze stosunki.

W malowaniu przyrody Mickiewicz równie jest mistrzem, jak w przedstawianiu ludzi. Traktuje ją także realistycznie, bez tych naciąganych i dowolnych kombinacyj, jakie u romantyków przeważały, bez tego wmawiania w zjawiska natury, że one spólczują z usposobieniami ludzi lub też z nich urągają. Przyroda występuje w poemacie sama dla siebie, a ludzie dopiero odczuwają jęj powab lub grozę. Wspominał opisy łąków, lasów i stawów, wschodu i zachodu słońca, burzy i pogodnej gwiazdzistej nocy, należąc do arcydzieł malarstwa poetyckiego.

Zarysowałem tu zaledwie estetyczny szkielet utworu; nie może on nasunąć wyobrażenia o wielkich i wiecznotrwałych pięknościach jego, bo potrzebaby było przynajmniej w dłuższym wywodzie dać poznać tę śliczną karnacyą, jaka ten szkielet pokrywa, potrzebaby było wskazać mistrzostwo języka i stylu, oraz mnóstwo oryginalnych, prawdziwych i zawsze z największym artyzmem a prawdą przeprowadzonych przenośni, ażeby choć cząstkę zalet wykonania, czytelnikom uprzytomnić. Poprzestając atoli na tém, co powiedziałem, i odsyłając do studyów specjalnych, a zwłaszcza do samego poematu, zakończę uwagę, że „Pan Tadeusz“ to najdoskonalszy wytwór geniuszu Mickiewicza i największe nasze arcydzieło poetyckie.

VIII.

Zarówno w ciągu pisania ostatnich pieśni „Pana Tadeusza“, jak i w czasie jego drukowania, żył Mickiewicz prawie wyłącznie z kilku znajomymi ziomkami, mianowicie ze Stefanem Witwickim, bardzo gorliwym katolikiem, z Antonim Goreckim, który wedle wyrażenia poety stał się wtedy świętym człowiekiem i przykładem budował wszystkich, z Bohdanem, z którym lubił prowadzić dysputy, ze Stefanem Zanem, (bratem Tomasza), z którym grywał w szachy. Całą zimę 1834 roku przechorował. Wyzdrowiawszy, pragnął zająć się jakąś prozaiczną pracą ciągłą „dla zająęcia myśli.“ Artykułów politycznych, jak w r. 1833, nie pisywał już; zniechęcił się wogóle do ówczesnych stosunków emigracyjnych, do ruchu czasopiśmienniczego, widząc, że dziennikarze rozprawiali tylko, a nie przypuszczali nawet możliwości czynu, gdy tymczasem według niego słowa powinny były natychmiast w czyn się zamieniać. Zamknawszy więc drzwi od „hałasów Europy,“ szukał ciszy i spokoju i zamarzył o szczęściu domowém.

Marzenie to bardzo rychło stało się rzeczywistością, bo w niespełna miesiąc po powzięciu zamiaru, dnia 22 lipca 1834 roku, przy świadku Ignacym Domejce i wobec małej garstki znajomych, wziął ślub z Celiną Szymanowską, która straciła była matkę i na zaproszenie poety zjechała do Paryża, gdzie mieszkali jej krewni, Wołowscy.

We dwa tygodnie potem pisał do brata swego Franciszka: „Szukałem pociechy w domowém szczęściu, póki można żyć w domu. Chociaż oboje nie mamy majątku, póki żyjąc, będziemy mieli kawał chleba. O przyszłości wiesz, że mało myślę, i wcale mi to nie truje szczęścia, że nie wiem jak długo to szczęście potrwa. Celina jest żoną, jakięj szukałem; śmiała na wszystkie przygody, przestająca na małém, zawsze

wesoła. Mieszkamy teraz na własnem gospodarstwie. Jeśliby cię los rzucił na ziemię francuską, znajdziesz u nas kochającą ciebie rodzinę, mały pokój, polski barszcz i kaszę.“ Donosząc zaś Odyńcowi o swém ożenieniu, podaje następne szczegóły: „Rozwódzić się nad terażniejszém szczęściem jeszcze zawcześnie; tyle ci tylko powiem, że od trzech tygodni nie byłem ani razu w kwaśnym humorze, a często czułem się wesoły i pusty, jakim oddawna nie byłem. Celina też powiada, że jest zupełnie szczęśliwą, i cieszy się jak dziecko. Trzy tygodnie szczęśliwe!... dobre i to na świecie... Musisz też wiedzieć i o naszém gospodarstwie. Mieszkamy daleko od środka miasta, w zaciszy, jak na wsi. Mamy tylko trzy pokoje, własne meble, wkrótce mieć będziemy fortepiano. Od rana Celina robi kawę, potem nibyto gospodaruje, kręci się, świegoce i śmieje się aż do wieczora. Po nudach pierwszych wizyt, rzadko gdzie wychodzimy. Wieczorem dawna kompania, Domejko i parę innych osób czasem zagląda do nas. Ale jeszcze moi znajomi niezupełnie przywykli do mojego nowego *mebla*, trochę żenowani. Powoli jednak wrócę do dawnego trybu życia i zacznę coś robić; bo przez cały ten czas próżnowałem i używałem tylko życia.“

Po krótkiej dobie wesołości i nawet „pustoty“, o której w liście do Odyńca wspomina Mickiewicz, zapadł on znowu w rozmyślania religijno-moralne, opanowywujące jego umysł coraz silniej. Wczytywał się w dzieła mistyków: Tomasza z Kempis, Jakóba Boehmego, Anioła Szlązaka, a szczególnie Saint-Martin'a, teozofa francuskiego z końca zeszłego stulecia. Z ich to dzieł wybierał i tłumaczył te „Zdania i uwagi“, które w r. 1836 drukiem ogłosił. Do studyowania ich zachęcał swoich przyjaciół i wielbicieli, nakłaniając do starania się o osiągnięcie doskonałości duchowej. Co parę lat temu drukiem jako ogólną wskazówkę dla „pielgrzymów“ podawał, teraz szczegółowo w listach prywatnych rozwijał, starając się mianowi-

cie młodych i zapalonych wojaków przejąć myślą poprawy moralnej. Od Mickiewicza-to odbierał późniejszy wielce żarliwy, ale i wielce jednostronny kapłan, Hieronim Kajsiewicz, w owe czasy zapalony demokrata i czciciel poety, przestrogi pełne namaszczenia religijnego.

Poznanie tych uwag da najlepsze pojęcie o nastroju naszego poety w tej dobie. „Nie nazywajcie mnie proszę nauczycielem—pisał on do Kajsiewicza i jego towarzysza;—jestto tytuł straszny i ciężki na moje barki. Serce wasze potrzebuje kochać i szuka doskonałości, więc ubieracie w doskonałości bliźnich waszych, złócąc ich i zdobiąc promieniami. Strzeżcież się tego; zachowajcie złoto i blask Bogu i Kościołowi, a dla bliźnich miejcie tylko zawsze dla wszystkich suknię miłosierdzia, aby obszyć ich nagość; uszyjcie i dla mnie tę suknię; nic więcej od was nie żądam. Napisano jest: nie nazywajcie się ani Pawłowi, ani Apelowi, ale Chrystusowi. Nie wierzcie ślepo żadnemu z ludzi i moje każde słowo sądzcie, bo dziś mogę prawdę mówić, jutro fałsz; dziś dobrze robić, jutro źle... Jeżeli które słowo z ust moich przyjęło się na sercu waszém, to słowo nie było moje, ale tylko przechowane; poznacie po tém słowo prawdy, że pada cicho i leży długo, a potem wschodzi powoli; owocem jego jest miłość i zgoda. Goethe powiedział: was ist am heiligsten? das was die Menschen verbindet. Przeciwnie, słowo fałszu, słowo ludzkie wypada z hukiem jak kula, a zostawia zaraz po sobie ranę lub śmierć... Podaję wam sposób na rozeznanie dobrych od złych, prawdziwych od fałszywych. Kiedy powezmę jaką myśl religijną lub polityczną, dochodzę, czy w tym dniu, kiedy ją powziąłem, jestem zgodny z sobą, czy nie zrobiłem czego złego, czy mową lub myślą bardzo nie zgrzeszyłem. Jeżeli rachunki sumienia źle stoją, pewnie wtenczas i w głowie zamęt. Sumienie jest to żołądek duszy. Nie myślcie, że słowo prawdy uwolni was od tentacyi, od walki; owszem, im żołnierz czuj-

niejszy i cięższy, tём częściej wódz go posyła na niebezpieczeństwa; hultajów i tchórzów zostawia w obozie, ale oni prędzej od mężnych giną. Ciężką-to jest walką życie! Doświadczycie sami rzeczy dziwné: rozkosze i przyjemności, które uciekają od nas, kiedy gonimy za niemi, skoro zaczniemy wyrzekać się ich, zacząną gonić za nami... Ludzie sławni u ludzi, są-to ludzie gardzący sławą i ludźmi, ale skuszeni nakoniec od świata. Im kto wyższy, tём łatwiej i niżej spaść może... Piszę to wam, bo wiem waszą miłość ludzi, ojczyzny, wolności; lękam się, abyście nie myśleli, że walka wewnętrzna jest stratą czasu, jest niepożyteczną światu zewnętrznemu. Od walki wewnątrz i od zwycięstwa zależy cała siła zewnętrzna. Kraj i człowiek, wewnątrz bezwładny, upada. Ludzie wewnętrzni czysto jako sternik wśród burzy rzucają się do rudla: patrzą w niebo, ruszają się mało, ledwie ręką czasem skiną, a los łódki jest w ręku ich. Drudzy biegają po pokładzie, krzyczą i mieszają tylko porządek, a cały krzyk ich jednój fali nie odwróci, jednego wiatru nie opanuje. Tylko nie myślcie, że to pisząc, mam siebie na widoku; piszę o ludziach, których nam potrzeba, których, żebyśmy mieli, toby łódka nasza nie zatonała.“

Radząc innym, sam też poeta usiłował przybliżyć się do ideału doskonałości moralnej, coraz bardziej i coraz ściślej jednocząc ją z formami kościelnymi. Dnia 19 grudnia 1834 roku, po spowiedzi i komunii, przystąpił do zawiązującego się w Paryżu stowarzyszenia pod nazwą „Braci Zjednoczonych“, które miało na celu ćwiczenie się w pobożności i pobudzanie do niej innych. Oprócz Mickiewicza, pierwotnymi założycielami tego bractwa, z którego wyrosło później zgromadzenie o.o. zmartwychwstańców, byli: Antoni Gorecki, Stefan Witwicki, Cezary Plater, Bohdan i Józef Zalescy; niebawem przyłączyli się do nich: Ignacy Domejko i Bohdan Jański, najgorętszy entuzysta patryotyczno-religijny. Czytanie, pisanie lub

tłumaczenie książek treści religijno-mistycznej, było jednem z programowych zajęć „Braci Zjednoczonych.“ I Mickiewicz wraz z innymi podjął się naturalnie uskutecznienia tego projektu, przyjaciółom nasuwał różne temata, poddawał książki do tłumaczenia, sam zaś miał przełożyć ulubione sobie dzieła, przypisywane uczniowi ś. Pawła, Dyonizemu Areopagicie.

Zamiaru jednak tego nie dokonał; potrzeba bowiem było naprzód myśleć o pracach, któreby mogły być spieniężone, gdyż dochód z rozprzedaży poezyj był i nieregularny i niewystarczający. Mickiewicz pamiętał, że ma żonę i że może mieć dzieci, że powinien dbać o zapewnienie znośnego bytu tworzącęj się rodzinie i nie sądził, ażeby mu wolno było poświęcić jęj przyszłość, dla celów propagandy religijnej. Owszem utrzymywał, że każdy działać powinien w raz obranym zakresie: księża powinni apostołować, świeccy wykonywać przepisy religii i spełniać obowiązki swego zawodu. Nie stał się on wtenczas jeszcze fanatykiem prozelityzmu: zachęcał tylko duchownych, ażeby korzystali ze sposobności zebrania bogatego żniwa duchowego w różnych stronach Europy a nawet Afryki, ale sam się od tego rodzaju pracy usuwał w tém przekonaniu, że to nie jego sfera działania. Potrzeby tymczasem życia codziennego rosły; przyszłość ze swą niepewnością posępne myśli nasuwać zaczęła. Należało zająć się pracą, któraby doraźnie większy dochód zabezpieczyć mogła.

Początkowo zwrócił się poeta do rodzaju roboty, która ani jego usposobieniu, ani nawet uzdolnieniu nie odpowiadała. Zamierzył skreślić krótką historją Polski. Rzecz ta zaprzętała go dosyć długo; rozpoczął ją w roku 1835, lecz szła mu oporem, gdyż, jak powiadał, musiał wielu rzeczy z gruntu nanowo się uczyć. A miał taki umysł, że nie zdołał nigdy napisać tego, czego na pamięć nie umiał; ta właściwość, przy pisaniu poezyj nietylko nie uciążliwa, ale nawet bardzo naturalna, w tworzeniu prozaicznem narażała go na

mnóstwo kłopotów. Przypuszczał nieraz, że wdał się w nieswoje, narzekał, że historią strasznie u nas sfałszowano. Tak jeszcze w połowie 1838 roku biedził się z tē m ciężkiē m zadaniem, przerabiał rōżne rozdziały swego dziełka, czekając szczęśliwszego czasu i natchnienia, a myślał o niē j nawet pōźniej jeszcze; koniec końców historia ta nie została przez wieszczą naszego dokończona i wyszła z druku dopiero w r. 1868, pod napisem: „Pierwsze wieki historii polskiej.“ Tu, oprōcz wstępu ogōlnego, mieszczą się dzieje kraju naszego, doprowadzone do roku 1194.

Tymczasem znany mecenas literatury, Edward hr. Raczyński, zachwycony „Panem Tadeuszem,“ z ktōrego codziē n po obiedzie jakby na wety po kilkaset wierszy zwykły był odczytywać, dowiedziawszy się, że Mickiewicz pisze historię polską, natarczywemi listami naglił go, żeby pracę przyspieszył i jemu zachował pierwszeństwo nakładu. Ucieszył się też wielce, gdy go poeta zawiadomił, że zamierza niektōre epoki dziejów ojczystych wierszem opisać. Zamiary te, w chwilowē m podbudzeniu tworzone, nie przysły do skutku, ale Raczyński nie zrażał się i zasiliał szczupłą kasę Mickiewicza przesyłkami pieniē żnemi, ktōre miały być zaliczką na projektowane prace.

I te zasiłki jednak nie wystarczały. Smutne położenie finansowe zmuszało poetę do szukania za pośrednictwem malarza Wojciecha Stattlera, znajomego z Rzymu, stosunków z panem Bochenkiem, ktōry mu przed laty proponował korzystny jakiś interes literacki; ale i te próby speliły na niczē m. Wypadało więc chwycić się innego śródka do zapewnienia bytu rodzinie. We wrześniu 1835 r. przyszła na świat córka, ktōrę j imię Maryi nadano (dzisiaj pani Gorecka), szczególna sędziwego Niemcewicza, piszącego na cześć ję j wiersze, pieszczoszka. Cōreczka ta sprawiała ojcu wielką uciechę, bo „miał komedię domową, zawsze nową i zabawną.“ Poeta zajmował się nią i bawił wielce, do tego stopnia, że kiedy ją zaczęto w pieluchach

sadzać na ziemi, kładł się obok niej, aby patrząc na niego, nauczyła się pełzać. Do trzech lat przeszło nie chciała inaczej zasnąć, jak na rękę ojca, który długimi godzinami nosić ją musiał po pokoju, gdyż nie pozwalała mu wyjść nigdzie wieczorem. To też pełen serdecznej prostoty ojciec do wybiegów uciekać się był zmuszony, gdy się chciał od „swego tyrana“ uwolnić. A więc kiedy miał wyjść wieczorem, a podejrzliwe oczki Maryni zamknąć się nie chciały, zapowiadał, że ją bierze ze sobą do znajomych. Ubierano ją zatem w kapelusik i płaszczyk, a ojciec, wynosząc swoją ulubienicę do drugiego ciemnego pokoju, opowiadał, że schodzą po schodach, że przebywają ulice, dopóki ukołysana, nie zasnęła na jego rękę. Podobno nawet napisał wiersz, opiewający nieporównane wdzięki i przymioty tej córki, ale potem pomyślawszy, że kiedyś mogłaby z tego powodu urosć w dumę, biorąc hiperbole za prawdę, podarł go i spalił.

Ta wszakże „komedia domowa“ nie mogła trwać ciągle. Bieda nieraz doskwierała poetycznemu małżeństwu. Trzeba było zrobić jakiś krok stanowczy, któryby zabezpieczając przynajmniej teraźniejszość, uchronił od dokuczliwych kłopotów codziennych. Na taki krok Mickiewicz się zdecydował. Postanowił pisać po francusku – „dla chleba“, jak sam się wyrażał. Z wprawy salonowej, z dawniejszej, petersburskiej próby, kiedy „Historyą przyszłości“ kreślił, wreszcie z kilkoletniego pobytu we Francyi, zmuszającego do posługiwania się językiem francuskim, nabył takiej znajomości i łatwości we władaniu nim, że mógł sobie rokować powodzenie. Wielu cudzoziemców zarabiało wtenczas piórem w Paryżu pokażne sumy; dlaczegóżby i on nie miał ich pozyskać. Zrazu pisywał krótkie artykuły do czasopisma „Revue des Etats du Nord“, które pomieściło rozprawkę Mickiewicza o malarstwie religijnem w Niemczech, oraz powiastkę p. n. „Tydzień miodowy sierżanta“; potem zaczął przygotowywać rzecz obszerniejszą, mającą pewne podobieństwo do

wspomnianej „Historji przyszłości:“ w r. 1837 podał swoje do dziennika „Le Globe“ wspomnienie o Aleksandrze Puszkynie, który tego właśnie roku zginął w pojedynku; nakoniec zwrócił się do twórczości dramatycznej, która najwięcej wtedy w Paryżu popłacała. W ciągu roku 1837 wygotował pięcioaktowy dramat prozą p. n. „Les Confédérés de Bar,“ a gdy ten przez literatów francuskich, którym go dał do oceny, został pochwalony, zaczął pisać drugi p. n. „Jacques Jasiński ou les deux Polognes.“ Pierwszy swój dramat oddał do teatru Porte-St-Martin i liczył na przedstawienie, jak na wielki los loteryjny; niestety! losu nie wygrał: czy to ze względu na stosunki polityczne, czy też na mały interes, jaki dla Francuzów przedstawiały dzieje Polski z wieku XVIII, utwór naszego poety został uznany za nieprzydatny na scenę. Dla nas to niepowodzenie spowodowało stratę trzech aktów dramatu, bo Mickiewicz mało się troszczył o dzieło odrzucone; dla samego autora był to cios bolesny, bo odbierał mu nadzieję doraźnego w większej ilości zarobku. Potrzeby rosły; samo jedzenie obliczał poeta na 150 franków miesięcznie. W połowie roku 1838 urodził mu się syn, Władysław. Mickiewicz pisał wtedy do serdecznego przyjaciela swego Ignacego Domejki te słowa głęboko przejmujące, ponieważ wypłynęły z pod pióra człowieka, który niełatwo się dawał pognebić troskom: „Ja zdaję się być zdrowy, wszakże niedobrze się mam na umyśle. Czuję się ciągle rozstrojony i drażliwy. Różne smutki, o których byłoby długo pisać, głębiej mi wyrdzały duszę, niż się sam spodziewałem. Nie wiem, czy to się skończy jaką chorobą, czy się przeważy; jeżeli nie wyleżę jak wąż zestarzej skóry. To pewna, że jeśli bym mógł znowu wewnątrz całkiem wyzdrowieć, skorzystałbym wielce z przeszłych smutków.“

Korzyści z tych smutków wykazały się istotnie i to niebawem. Energia rosła u Mickiewicza wraz z potrzebami. Niepowodzenie zagrzewało go do walki z trudnościami i przeszkodami. Niedarmo pisał raz

do przyjaciela: „Jestem z tych ludzi, którzy nie mogą znieść dobrego powodzenia i skoro trzy dni używają szczęścia, zaraz brykają. Owóż pono dlatego Opatrzność zawsze mię trzyma krótko, a niekiedy tak krótko, że ledwo tchu staje w piersiach.“ Wtedy właśnie przyszła nań taka chwila. Wszystkie dotychczasowe usiłowania, podjęte celem osiągnięcia jakiegoś dochodu, rozbiły się o różne szkopy: pisanie historyi nie szło, spółpracownictwo w pismach francuskich urywało się, tworzenie dramatów, wskutek nieprzyjęcia pierwszego na scenę, zostało zatamowane, natchnienie do utworów oryginalnych w języku polskim nie zjawiało się już od lat kilku. Wówczas-to okazała się istotna moc duszy naszego poety, niedająca się ocenić zwykłą miarą powszednich stosunków, lecz zrozumiała dla każdego, kto ma pojęcie o naturze gienialnej. I mierne talenty skarżą się na ciężar i przykrości zawodu nauczycielskiego; w smutne przekleństwo przeszło przekonanie o jego cierniach. Cóż dopiero mówić o usposobieniu płomiennem, nieprzywykłem do pracy systematycznej, gdy mu wypadnie zaprządz się do taczki obowiązku codziennego, obrachowanego na godziny i zmuszającego do powtarzania pewnych słów jednostajnie, wytrwale, dopóki słuchający ich nie zrozumie. Pegaz w jarzmie jest dobrym symbolem takiego stosunku. A jednak poeta nasz miał dość siły i hartu woli, ażeby dla dobra rodziny symbol ten własnem życiem rzeczywistością uczynić.

IX.

Dowiedziawszy się, że w znanęj sobie z parokrotnych przejazdów Lozannie wakuje posada literatury łacińskiej, postanowił Mickiewicz zużytkować swoją wiedzę filologiczną, którą nabył w Wilnie pod przewodnictwem sławnego Grodka i którą sam następnie był nauczycielem w Kownie. Wprawdzie upłynęło od tego czasu lat piętnaście; wprawdzie poeta nasz w ciągu tego okresu nie miał sposobności odświe-

żyć swoich nabytków dawniejszych w tej gałęzi nauki; ponieważ jednak samę rzecz znał gruntownie, sądził, że dopełnienie braków, spowodowanych jej długoletniem zaniedbaniem, przyjdzie mu z łatwością i umożliwi sumienne spełnianie przyjętych obowiązków. Z tą myślą wybrał się do Szwajcaryi w połowie października 1838 r., ażeby się na miejscu rozpatrzeć w położeniu. Znalazł tu kilku znajomych z r. 1830, wpływowych uczonych i literatów, którzy go bardzo serdecznie powitali, starając się ułatwić radami i wskazówkami usunięcie trudności, jakieby się nastęrczyć mogły, ze względu na charakter emigracyjny Mickiewicza i na wyznawaną przezeń religią katolicką, gdy akademія lozańska była protestancką. Miał wszelkie widoki otrzymania pomyślnęj odpowiedzi na uczynione podanie, w którym swe kwalifikacye przedstawiał, a zarazem oznajmiał gotowość złożenia wymaganych egzaminów, gdy nagle nadeszła z Paryża wiadomość, że żona jego dostała obłąkania.

Cios był straszny, a zmuszał do zaniechania starań o katedrę i śpieszenia do Paryża. Tu przebył kilka miesięcy pełnych niepewności i trwogi, a zarazem i biedy materyalnęj. Niczem zająć się, nic czytać, a czytając nic rozumieć nie mógł. Żony, zostającęj w domu zdrowia w Vanvres, przez długi czas nie odwiedzał, ażeby nie zrobić zbyt silnego wrażenia na umyśle osłabionym, ale pisywał do niej bardzo często listy, dowodzące, jaka tkliwość, połączona z energią i stanowczością, była w jego duszy. Dopiero w początkach maja 1839 roku przyszła Celina Mickiewiczowa do zupełnej przytomności i dopiero wtedy mógł nasz poeta znowu pomyśleć o swoim, jak mówił, „bakalarstwie.“

Zabrawszy żonę i dzieci, ruszył Mickiewicz w końcu czerwca napowrót do Szwajcaryi. Zaszły tu były wprawdzie zmiany polityczne, dość często wówczas przytrafiające się; ale i wśród nowych osób, które do steru rządu w Lozannie się dostały, znaleźli

się znajomi Mickiewicza. Posada w Lozannie szczęściem zajęta jeszcze nie była; poeta nasz był pewnym, że ją otrzyma. Przygotowywał się więc do wykładów, sprowadzał książki nowsze, dotyczące historii literatury rzymskiej i miar wierszowych; przypominał sobie lekcye Grodka i rozczulał się, uprzytomniając sobie w pamięci czasy studyów akademickich. Nakoniec 1 października dostał nominacyą na profesora tymczasowego, z pensyą roczną 2700 franków, z obowiązkiem wykładania 6 godzin tygodniowo w gimnazyum, a 2 godzin w akademii; egzamin i złożenie rozprawy odroczone zostały na koniec roku szkolnego. Wskutek podania Mickiewicza, przedstawiającego uciążliwość wielką odbywania 8 godzin, zmniejszono liczbę lekcyj gimnazyalnych do 4 na tydzień.

Rozpoczęły się wykłady. Śladów tego, co i jak robił nasz profesor na stanowisku nauczyciela gimnazyum, nie posiadamy wcale; rzecz to jednak małej wagi; lekcye gimnazyalne, z natury swojej wszędzie i zawsze mniejwięcej jednakowe, nie mogły dawać pola Mickiewiczowi do uwydatnienia swego gieniuszu. Inaczej rzecz się ma z prelekcyami akademickimi, wykładanemi wobec młodzieży dojrzałej, a poświęconemi dziejom literatury rzymskiej. Tu można i potrzeba było rozwinąć pewną samodzielność poglądu, zainteresować słuchaczy do przedmiotu i stać na wyżynach nauki, która ciąglemu ulegała rozwojowi. Z prelekcyj tych szczupła tylko doszła nas część; pierwszą i ostatnią mamy w całości, z którejsź środkowej tylko urywek. Mówione były po francusku. Mickiewicz gotował się do nich bardzo pilnie, robił notatki i wyciągi, ale nie spisywał całości, gdyż nie czytał ich z katedry, tylko wygłaszał z pamięci. Miały zatem charakter przygotowanych improwizacyj; ugrupowanie materiału obranego w nich ulegało przemianom w ciągu mówienia, z powodu nagle nieraz, błyskawicznie pojawiających się myśli w duszy mówcy. Posiadały więc urok dla młodzieży niepospolity, naprzód

jak każda żywa mowa, w której się czuje tętno całego organizmu mówcy, nie zaś martwy ślad jego wyobrażeń, powtóre jako ruch myśli, rozwijającej się wobec słuchaczy, nie zaś jako stężała w systematyczną, chłodną bryłę masa wywodów i zdań, które się już dawno od umysłu twórcy swego oddzieliły. Mickiewicz potrafił oryginalnemi zestawieniami i porównaniami, wskazaniem trwałej żywotności niektórych pomysłów, spotykanych u pisarzy rzymskich, obudzić w słuchaczach zajęcie dla dziejów literatury łacińskiej, która bywała zazwyczaj rutynicznie, oschle, wyłącznie erudycyjnie traktowana.

A nie tylko młodzież była zachwycona wykładami naszego profesora; zwierzchność akademicka okazywała mu także swoje zadowolenie, zwłaszcza od chwili, gdy znakomita autorka francuska, Georges Sand, w artykule pomieszczonym w grudniowym z r. 1839 zeszycie głośniejszej już wtedy „Revue des deux mondes“, zestawivszy twórczość Mickiewicza z twórczością Goethego i Byrona, całemu światu cywilizowanemu dała poznać, jak wysoki był polot poetycki wieszczki polskiego. Mamy wymowne tego świadectwo w odezwie zarządu akademii lozańskiej do rady wychowania publicznego, z dnia 15 lutego 1840 roku, gdzie czytamy wielce pochlebne dla profesora wyrazy uznania: „Ukazanie się jednego z pierwszych gieniuszów poetyckich naszego czasu na jednej z katedr akademii lozańskiej, blask jego sławy europejskiej, zlewający się na instytucje nasze, jest wypadkiem zbyt ważnym, zbyt zaszczytnym, ażeby go nie powitać radośnie. Od pierwszych odczytów Mickiewicza, słuchacze ujrżeli w nim wielki talent do krytyki literackiej, niezawsze będący wynikiem talentu poetyckiego, ale podtrzymywany, natchniony i rozszerzany przezeń co do obszaru ogarnianych poglądów. Znajomość życia wewnętrznego Rzymian, w związku ze sztuką i literaturą; znajomość ducha mowy łacińskiej oraz ducha poetów i mówców, którym służyła za narzędzie; za-

dziwiająca biegłość w przenikaniu ich charakteru indywidualnego, połączona ze zbadaniem ich utworów; szczęśliwe zestawienia starożytniej literatury rzymskiej z różnemi literaturami nowemi; talent słowa w języku obcym; наконец interes nowości, nadany przedmiotowi napozór wyczerpanemu i natchnienia duszy poetycznej, ożywiające dary natury i wyniki pracy:—oto w oczach słuchaczy Mickiewicza przyczyny rosnącego powodzenia wykładów, które zniewalały sobie młodzież, ściągają coraz więcej słuchaczy i zachwycają coraz bardziej tych, co mogą najlepiej o nich sądzić.“ Nie poprzestano jednak na słowach tylko; czynem stwierdzono, że Mickiewicz był nadzwyczaj pożądanym na katedrze. Rada stanu, korzystając z praw wyjątkowych, mianowała poetę naszego, bez egzaminów poprzednich, profesorem „zwyczajnym“ literatury łacińskiej, z pensją 3000 franków szwajcarskich, wyrównywających 4000 franków francuskich; była-to płaca, dawana jedynie bardzo odznaczającym się profesorom, których na katedrze zatrzymać chciało koniecznie.

Mickiewicz widział już byt rodziny zapewniony. Ale, jakby dlatego, żeby go wśród ciągłej walki pozościć, zbieg okoliczności nastroczył mu nowe zawiąkania. W tymże samym czasie, gdy Lozanna tak przywiązać go chciała do siebie, Paryż starał się go pociągnąć widokiem wyższego i bardziej wpływowego stanowiska. Ówczesny minister oświecenia we Francyi, Wiktor Cousin, głośny myśliciel, szczepiący w swoim kraju znajomość filozofii niemieckiej, przejęty ważnością, jakiej wtedy nabierała zaczęła sprawa słowiańska, z powodu znaczenia wielkomocarstwowego Rosyi za cesarza Mikołaja, powziął myśl, niewątpliwie pod wpływem uwag księcia Adama Czartoryskiego, ustanowienia w stolicy świata ucywilizowanego katedry języków i literatur słowiańskich, pierwszej w całej Europie. Z tą myślą była połączona ściśle druga: powołania na tę katedrę naszego poety, jako najslawniejszego

ze wszystkich słowiańskich i stosunkowo najlepiej Europie znanego. Zwrócono się do Mickiewicza z propozycją i naleganiem. Książę Czartoryski i krewni poety usilnie nastawiali na to, ażeby propozycją przyjął, wystawiając doniosłość katedry w Paryżu i ze względów cywilizacyjnych wogóle, i ze względów narodowych; Stefan Witwicki odradzał. Poeta musiał stoczyć walkę wewnętrzną. Posada w Lozannie była pewną; do przedmiotu wykładanego już się Mickiewicz wdrożył; prostota i serdeczność Szwajcarów, a szczególności tych, co stali na czele rządu zarówno akademii jak kantonu, przemawiała silnie do jego serca; w warunkach codziennych życia miał to co lubił: spokój, widoki pięknej natury, stosunki towarzyskie niewyszukane. Paryża zaś nie cierpiał jak piekła; gwar, wymagania wielkoświatowe, powietrze duszące i niezdrowe, konieczność podjęcia nowej a mozolnej pracy przygotowawczej, zanim się uzdolni do wykładu literatur słowiańskich, które znał częściowo tylko, obawa niepowodzenia, były to pobudki do przyjęcia propozycji zniechęcające. Ale znowuż myśl, że katedrę, mogącą wywierać wielki wpływ na umysły ogółu wykształconego, a może i rządu francuskiego, zajmie jakaś osobistość narodowości polskiej nieprzyjazna, która szkodzić jej będzie, była bodźcem bardzo silnym dla Mickiewicza, żeby względy spokoju i dobrobytu osobistego złożyć w ofierze sprawie ogólniejszej. Długo wahał się z przesłaniem odpowiedzi stanowczej, ale nareszcie przeważała uwaga na możliwy pożytek dla sprawy narodowej. Dodać też potrzeba, że i miłość ojcowska wywarła pewien wpływ na postanowienie Mickiewicza; lękał się, żeby córka jego przez pobyt w Szwajcaryi nie nabyła szpetnego a pospolitego tam wola.

Ponieważ wieści o powołaniu poety do Paryża zaniepokoiły zarząd akademii lozańskiej, starano się wszelkimi sposobami przechylić na stronę swego zakładu decyzją Mickiewicza, wpływano za pośrednictwem prasy i prywatnie, d. 26 czerwca 1840 urządzi-

no uroczystą instalacją naszego wieszczą na profesora zwyczajnego i przemawiano do niego słowami niemal błagalnymi: „Od kilku miesięcy — powiedział rektor Monnard w swój mowie zwróconej do Mickiewicza — pragnienie zatrzymania ciebie i niepokój utraty rozwinęły w głębi dusz naszych cały dramat nadziei i obaw. Nie wiedziałeś o nim może, chyba że go poznałeś po gotowości, z jaką akademія zażądała powołania pana, po światłym pośpiechu, z jakim rada stanu zwróciła się do pana, używając wszelkich środków, jakie tylko prawo przewiduje i na jakie pozwala, wreszcie po tój radości, z jaką młodzież ucząca się przyjęła wiadomość o tym podwójnym fakcie, uwieńczonym wkrótce skutkiem pomyślnym — przyjęciem posady przez pana... Zatrzymaj na naszej ziemi, szczęśliwój skutkiem wolności, swój namiot podróźny, smagany burzą; niech rodzina twoja znajdzie pod niebem kantonu Vaud spokój i szczęście. Bądź bratem naszym.“ Mickiewicz w odpowiedzi wyraził swoją wdzięczność i przywiązanie do szlachetnych Szwajcarów, ale zarazem dodał, że on nie od samego siebie zależy, że jeśli się zdarza, iż los nieprzemyśli całej plemiona ludzkie przenosi w dalekie od ulubionój im ziemi strony, tём bardziej człowiek pojedynczy znaleźć się może w wyjątkowém położeniu, które mu nie pozwala iść za życzeniem własném. Przygotowywał tym sposobem życzliwych sobie przedstawicieli akademii i młodzież do możliwego w przyszłości rozstania się. W sierpniu przesłał Cousinowi na jego list naglący odpowiedź, stanowczo przyjmując ofiarowaną sobie posadę; potём odbył wycieczkę po Szwajcaryi, a wróciwszy z nięj, zrzekł się katedry w Lozannie i doniósł radzie stanu o przyjęciu katedry w Paryżu, motywując krok swój tём, że uważał sobie za obowiązek przyjąć stanowisko, ofiarowane przez rząd narodu przyjaznego Polakom, które rodacy jego uważają za pożyteczne w interesie sprawy narodowój. W pierwszych dniach października opuścił Szwajcaryę.

Pobyt w Lozannie należał do stosunkowo dość szczęśliwych lat w życiu naszego poety; sam on powiada, że wspominałby go „jak raj“, gdyby nie parokrotna choroba żony i dzieci. Naturalnie, smutków w nim nie brakowało; sama zamiana swobodnego dotychczas rozporządzania czasem i natchnieniem na ciężki obowiązek profesora, nie mogła się przyczyniać do budzenia wesołego nastroju. To też w tych kilku pięknych pieśniach, które powstały w Lozannie („Nad wodą wielką i czystą,“ „Połały się łzy me,“ „Gdy tu mój trup,“ „Do samotności,“ „Te rozkwitłe świeżo drzewa,“ „Kochanek duchów“), brzmi cicha ale głęboka i przejmująca nuta melancholii, jakiej nigdy przedtém w utworach Mickiewicza nie było; atoli równocześnie powstał także wiersz, niezbyt piękny pod względem formy, lecz podniosły treścią, wskazujący nam, że w poczuciu obowiązku i w miłości szukał poeta pokrzepienia, otuchy i ukojenia w cierpieniach i zawodach, zasadę miłości stawiając jako najpotężniejszy czynnik wszelkiego dobra. Ze spełnienia obowiązku ojca rodziny spływał nań spokój i stosunkowe przynajmniej zadowolenie, które mu pozwalały Lozannę „jak raj“ wspominać.

Zdawało się, że przejazd do Paryża będzie tylko zmianą miejsca i zewnętrznych wogóle okoliczności, ale nie wpłynie zasadniczo na dalsze życie poety.

Stało się jednak inaczej, chociaż nie natychmiast.

Różne formalności urzędowe, z instalacją cudzoziemca na posadzie nowej w kolegium francuskiem związane, oraz potrzeba przygotowania kursu literatur słowiańskich, do którego nie miał żadnych przed sobą wzorów Mickiewicz, nie dozwoliły rozpocząć wykładów zaraz po przybyciu do Paryża. Dopiero dnia 22 grudnia 1840 r. odbyła się pierwsza lekcya, przy ogromnym napływie słuchaczy, pomiędzy którymi znajdowali się i najznakomitsi przedstawiciele literatury francuskiej. Lekcya ta wywołała ogólne za-

dowolenie; rozpisywały się o niej dzienniki francuskie z wielkimi pochwałami, a rodacy w dzień urodzin i imienin Mickiewicza wydali na cześć jego wilią na 60 mniej więcej osób, nazajutrz zaś Eustachy Januszkiewicz, znany księgarz-wydawca, urządził składkową wieczerzę, również z zamiarem złożenia hołdu poecie-profesorowi. Na tej wieczerzy 25 grudnia znakomity poeta Juliusz Słowacki przemową swą poetycką pobudził w Mickiewiczu natchnienie i wywołał improwizacyą o powołaniu i zadaniu wieszczą narodowego, wypowiedzianą z taką siłą wzruszającą, iż wszyscy rozrzewnieni i rozgorączkowani padli na kolana przed mistrzem uczucia i słowa, którego twarz w owej chwili była „jak anielska“, spokojna, piękna, jasna... Po drugiej lekcyi, Januszkiewicz wyprawił w dzień Nowego roku 1841 drugą ucztę składkową, na której Juliusz Słowacki wręczył mu piękny, rzeźbiony puchar. Mickiewicz improwizował i teraz; mówił o przyszłości kraju, lepszey niż terażniejszość. Ale ta improwizacya nie wywarła już takiego wrażenia jak pierwsza; znaleźli się przeciwnicy zapalenia wyrażen użytych na określenie formy przyszości Polski; uczucie zgody i miłości, skupiające biesiadników poprzednio, prysło. Było to jakby hasłem przykrości, które czekały Mickiewicza ze strony spółrodaków.

Wykłady szły swoim trybem. Mickiewicz wyповідаł je z pamięci, tak samo jak w Lozannie; charakter ich był też podobny do lozańskich; nie odznaczały się one ani erudycyą, ani systematycznością, nie wyczerpywały przedmiotu, ale obfitowały w genialne rzuty myśli, rozświetlające wielkie wypadki dziejowe i tłumaczące cudzoziemcom właściwości narodów słowiańskich, zarówno w ich życiu, jak w twórczości poetyckiej. Profesorowi brakło nieraz potrzebnych książek, a to powodowało nierównomierny sposób traktowania różnych literatur i różnych epok; nie wszystkie też piśmiennictwa słowiańskie były mu równie dobrze znane, a ztąd niezawsze mógł podać trafną charakte-

rystykę wszystkich ważniejszych objawów literackich; ale te braki, które zresztą dla większości słuchających wcale brakami nie były, wynagradzał świetnym wykładem tych rzeczy, które znał dokładnie, oraz ogólnemi poglądami i zestawieniami losów słowiańszczyzny z losami Europy. W 41 lekcyach pierwszego kursu wyłożył dzieje piśmiennictw słowiańskich, aż do połowy wieku XVII.

Słuchacze Francuzi byli w zupełności zadowoleni zarówno treścią jak i formą wykładów świetnego improwizatora; Polacy natomiast robili im przeróżne, częstokroć całkiem nieuzasadnione zarzuty, zarówno prywatnie, jak w czasopismach emigracyjnych i poznańskich. Nie było dostatecznej harmonii pomiędzy wychodźcami, którzy uważali katedrę literatury słowiańskiej za jeden ze środków popierania sprawy narodowej, a Mickiewiczem, który z obowiązku uwzględniania twórczości wszystkich Słowian wywiązywać się musiał. Już dowodów uznania takich, jak w owym 25 dniu grudnia, profesor od rodaków nie otrzymał, a Juliusz Słowacki w „Beniowskim“ rzucił pełne goryczy wyzwanie „dawnemu bogu“ litewskiemu, utrzymując, że w nim „pęknięcie serca znać.“

Do tych goryczy publicznych przyłączyły się smutki domowe. Żona Mickiewicza po raz drugi w dawniejszą zapadła chorobę i znowu do zakładu w Vanvres odesłaną być musiała.

Wtedy-to pojawił się u poety naszego człowiek, który mu się jako zwiastun nowej ery religijnej przedstawił, żonę jego uzdrowił i w wir mistycznych rojeń i działalności za sobą go pociągnął. Był to rówieśnik Mickiewicza, równie Litwin jak on, marzyciel religijny, Andrzej Towiański.

X.

Jak widzieliśmy, w nastroju duchowym Mickiewicza od drugiego pobytu w Rzymie skłonność do misty-

cyzmu wzrastała ciągle, a jakkolwiek albo twórczość poetycka jak w „Panu Tadeuszu“, albo też konieczność zajęcia się losem rodziny, jak w usiłowaniach przeróżnych, dążących do zapewnienia sobie stałego utrzymania, hamowały w nim wyraźniejsze jej objawy; to przecież nurtowała ona w sercu poety głęboko i przy nadarzonej sposobności wybuchała gwałtownie. W formach swoich skłonność ta nie odstępowała od katolicyzmu; z każdym nawet rokiem silniej się z nim łączyła; ale jak u wszystkich prawie mistyków, tak i u Mickiewicza nie krążyła ona w dziedzinie dogmatów, lecz w sferze praktyki, i to na tle patriotycznem. Marzenie o udoskonaleniu ludzi, o ich reformie wewnętrznej, o ich przetworzeniu, a dalej, jako wynik tej przemiany, zastosowanie ścisłych zasad moralności do polityki, do wszelkich stosunków łączących z sobą narody, a więc i polepszenie doli własnego, było główną myślą, zajmującą Mickiewicza, czy to kiedy pisał III część „Dziadów“, czy „Księgi Narodu i Pielgrzymstwa“, czy rady dla Kajsiewicza, czy kiedy łączył się z przyjaciółmi w związki „Braci Zjednoczonych“ i zamierzał tłumaczyć dzieła przejęte dążnością religijno-moralną. W przyprowadzeniu marzenia tego do skutku nie liczył nic na rozum ludzi, tylko na ich uczucie i wiarę, bo za rękojmię prawdziwości myśli i natchnień uważał nie rozum rozbiorczy, posługujący się doświadczeniem, porównywaniem i wnioskowaniem, ale intuicyą, którą poczytywał za władzę w człowieku najwyższą, nieomylną, dającą człowiekowi wprost i bezpośrednio pewność prawdy. Doznając nieraz w życiu widzeń nadzwyczaj wyraźnych i dokładnych, jakie stwarzała jego bogata, plastyczna fantazya, przepowiadając niekiedy ważne wypadki, Mickiewicz wierzył silnie w możność natchnień, czy wprost od Boga, czy od tych duchów dobrych lub złych, które, jak Konrada w III części „Dziadów“, ciągle otaczają człowieka i na każdą myśl jego czekają.

Towiański potrafił oddziaływać na ten mistyczny nastrój naszego poety. Nie mógł on pociągnąć Mickiewicza ani nauką, gdyż wykształcenie jego było za ledwie średnie, ani rozległością myśli, gdyż nie rozwinął żadnego oryginalnego poglądu, powtarzając jedynie dawne wyobrażenia o przechodzeniu dusz, o kolumnach duchów dobrych i złych, które prowadzą ludzkość wśród ustawicznej z sobą walki i dodając do nich kult Napoleona, jako męża opatrznościowego — wpłynął jedynie na jego wyobraźnię i uczucie, gdyż wystąpił z nadzwyczajną pewnością siebie jako posłaniec boży, zwiastujący nową epokę w rozwoju chrześcijaństwa i w urzędzeniu stosunków międzynarodowych, zapowiadający rychły powrót wychodźców do kraju, spełniający niejako to, co Mickiewicz za najważniejszą sprawę ludzi wogóle, a narodu swego w szczególności poczytywał, to jest przemianę wewnętrzną, moralną natury ludzkiej. Pojawienie się ze słowami tak pełnymi otuchy w chwili nadzwyczajnego przygnębienia Mickiewicza, uleczenie żony, wyjawienie pewnych w życiu jego tajemnic, które, jak sądził poeta, nikomu nie mogły być znane, umiejętność zachowania postawy nacechowanej godnością i prostotą, wzrok magnetyzujący, przemawianie słowami tajemniczymi a wypływającymi z duszy silnie w sobie skupionej i monomanią opanowanej: to były okoliczności zewnętrzne, dopomagające do utwierdzenia Mickiewicza w wierze o prawdzie posłannictwa Towiańskiego, posłannictwa, którego treść moralna — przetworzenie dusz ludzkich i szczęście ich w dziedzinie indywidualnej i narodowej — tak była zgodna z własną jego od lat wielu dążnością. Łatwo więc zrozumieć wyrażenie naszego poety, że wiara jego w słowa mistrza Andrzeja była wynikiem całego jego życia, wszystkich usposobień i prac duchowych; sam bowiem żywiąc przekonanie, że ludzi odrodzić można słowem bożem, nie potrzebował zbyt wielu dowodów, że To-

wiański odrodzenia tego dokonać zdoła, gdy z taką ufnością w swe posłannictwo występuje.

Uwierzywszy zaś w to posłannictwo, Mickiewicz stał się najgorliwszym apostołem mistrza, który właśnie potrzebował kogoś w świecie znanego, ażeby za jego pośrednictwem marzenia swoje urzeczywistnić, sam bowiem do propagandy czynnej wśród liczniejszych zebrań nie był uzdolniony, umiejąc jedynie w ścisłym, poufnym kółku wpływ wywierać. Upojony radością, że zjawił się człowiek, którego, jak się pocię zdawało, on sam w III części „Dziadów“ przepowiedział, gorliwie jął zyskiwać wyznawców wśród emigracyi, zwoływać zewsząd przyjaciół, ażeby porzuciwszy swe zajęcia, przybywali do Paryża i stali się pomocnikami w sprawie pogodzenia emigracyi, spełnienia najdroższych jej nadziei. Dnia 27 września 1841 roku odbyło się pierwsze publiczne wystąpienie Towiańskiego w kościele Notre Dame, dokąd Polacy wezwani zostali drukowanemi ogłoszeniami. Przyjąwszy komuniją wobec zebranych, przemówił mistrz jako przysłany od Boga dla oznajmienia braciom, iż wkrótce wszystkie cierpienia narodu i wszystkie cierpienia ludzkości ustaną pod panowaniem nowej epoki chrześcijańskiej, będącej zastosowaniem nauk ewangelii do wielkich spraw państwa i społeczeństwa. Wrażenie wywarte tą mową było bardzo słabe; zwolenników nowego apostoła liczono zaledwie na jednostki, pomimo całego zapалу, z jakim starał się o nich Mickiewicz. Towiański raz jeszcze spróbował publicznego wystąpienia w kościele ś. Seweryna, ale gdy to nawet ciekawych nie ściągnęło, a policya paryska zwróciła już nań swe oko, zaniechał zebrań gromadnych i poprzestał na konferencyach prywatnych w domu Mickiewicza, na których potępiwszy, jak i nasz poeta, rozumowanie, pragnął jedynie wpływać uczuciem, obudzić w wyznawcach bezwarunkową wiarę w swe słowa i ćwiczyć ich w wydobywaniu z siebie „czystego tonu“, czyli zupełnego poddania się du-

chowi bożemu, mającemu spłynąć na każdego, kto z głęboką ufnością i miłością a zaparciem się egoizmu będzie się oń starał i kogo naturalnie łaska boża poświęci.

Potrzeba było gieniuszu Mickiewicza, ażeby skłonić pewną część wychodźców do uwierzenia w potrzebę takich ćwiczeń pobożnych, a co ważniejsza, do utrzymania ich przez znaczny przeciąg czasu wśród wysokiego nastroju duchowego, zwłaszcza że pierwotne obietnice o rychłym powrocie do kraju coraz bardziej w mglistą dal się usuwały. Często też ugiął się pod brzemieniem tego zadania i wołał do mistrza o pomoc, ale ten, jako marzyciel o chłodnym temperamentie, wcale nie odczuwając targan wewnętrznych tak potężnego i ognistego ducha, jakim był nasz poeta, pocieszał go mdłemi i niejasnemi ogólnikami, pobudzając tylko ciągle do robienia nieokreślonych w swęj istocie wysiłków duchowych.

Na odczytach w kolegium francuskiem Mickiewicz podczas drugiego kursu nie występował jeszcze wyraźnie z propagandą nowęj epoki w rozwinięciu ewangelii, ale przygotowywał umysły do jęj przyjęcia, przez systematyczne wskazywanie w dziejach i literaturze Słowian, szczególnież Polski i Rosyi, wysokiego znaczenia zapalu i ducha ofiary, oraz przez potępienie materyalizmu i rozumu samolubnego. W maju 1842 r., korzystając ze sposobności, że mówił o poezyi legionistów, podnosił nader doniosłe znaczenie Napoleona, jako zwiastuna nowęj epoki, która ma być „tęm względem czasów naszych, częm było chrześcijaństwo względem pogaństwa,“ a w której naród polski stanie na czele. Niebawem w czerwcu dał nazwę temu nowemu dążeniu, mianował je mesyanizmem, biorąc ten wyraz z dzieł filozofa-matematyka Hoene-Wronskiego, oraz zapowiedział, że z Francyi wyjdzie siła wstrząsająca posadami staręj Europy.

Podczas wakacyj r. 1842 musiał Mickiewicz staczać walki z księżmi polskimi, dawniej jego wielbi-

cielami, których on ku pobożności i udoskonaleniu nawracał. Hieronim Kajsiewicz, świeżo właśnie wyświęcony, został teraz jednym z najzaciętszych przeciwników dążeń mesyanicznych poety; starcie się między nim a Mickiewiczem było ostre i niewymownie przykre. Napróżno towiańczycy, chcąc dać dowód, że z kościołem nie zrywają, przystępowali do spowiedzi i komunii; księża wrogo przeciw nim występowali. Dopiero gdy łagodny i zacny arcybiskup paryski Affre, po widzeniu się z Mickiewiczem, który w słowach fanatycznego uniesienia pełnych wykazywał mu zamarcie ducha poświęcenia w duchowieństwie—radził księżom polskim wyrozumiałość i cierpliwość—zaniechali na czas jakiś gwałtownych wystąpień.

Mickiewicz zaś, jakby w zachowaniu się arcybiskupa widział ciche zgodzenie się na rozpowszechnianie nowej nauki, zaczął ją wyklądać na lekcjach literatury słowiańskiej w trzecim kursie, dopatrując idei mesyanicznój w „Nieboskiej komedyi“ Krasińskiego, w „Duchu od stepu“ Zaleskiego i w paru innych utworach poezji polskiej. Starał się przytém pozyskać dla tej idei swoich towarzyszków - profesorów w kolegium francuskiem, mianowicie zaś Micheleta i Quineta, którzy ze swego uczuciowo-poetycznego nastroju najbardziej zdawali się usposobieni do wzięcia udziału w sprawie, mającój odrodzenie ludzkości na widoku. Łudził się Mickiewicz, że ich pozyska. Wistocie obaj ci profesorowie kochali Mickiewicza jako człowieka, wielbili jako poetę pełnego zapału; dopóki mówił o przeżyciu się form starego kościoła i jezuityzmu, nie mieli nic przeciwko temu; gdy wielbił Francją, jako kraj zdolny do czynów bohaterskich i będący świecznikiem Europy, radowali się szczerze; ale od tego częściowego uznania dla poglądów naszego wiejszeza daleko było do wiary w ich całość, a témbardziej do wiary w posłannictwo Towiańskiego. Trochę lepiej wiodło się ze spółziomkami. Na jednem z posiedzeń Towarzystwa historyczno-literackiego, założonego na

emigracyi, którego Mickiewicz był prezesem, zdołał zjednać dla mesyanizmu 44 wyznawców; z pomiędzy poetów przyłączyli się do towiańczyków Juliusz Słowacki i Seweryn Goszczyński. Na tych jednak zdobyczach zatrzymało się powodzenie mesyanizmu. Wszelkie próby przemówienia do przekonania tak wybitnej na wychodźstwie osobistości, jak Adam książę Czartoryski, rozbiły się o ścisły jego katolicyzm; a w łonie Towarzystwa historyczno-literackiego powstawały niechęci względem prezesa, który gromił członków za ducha partyi,—niechęci, które niebawem miały się w wyraźną opozycyą zamienić.

Stało się to w roku 1844. Mickiewicz wówczas zamienił swój kurs w kolegium francuskiem na wykład mesyanizmu, rozbierał ciemne i mętne pisemko Towiańskiego „Biesiada,” podawał je za najwznioślejszy utwór współczesnej literatury polskiej, a wreszcie 19 marca wezwał na lekcyi obecnych towiańczyków, ażeby zaświadczyli istnienie nowego objawienia, ażeby wypowiedzieli wyraźnie, iż znają i uznają mistrza. Wezwani złożyli to świadectwo. Tak dokonało się publiczne ujawnienie, wobec mnóstwa słuchaczy, faktu, że profesor kolegium francuskiego, ostro krytykujący kościół urzędowy i politykę urzędową, jest apostołem nauki Towiańskiego, którego rząd francuski przed dwoma laty z Francyi wydalił. Zwróciło to uwagę ministerium oświecenia, które gdy Mickiewicz na lekcyi z 28 maja wzniósł toast na cześć Napoleona, zaproponowało mu, ażeby się do dymisyi podał, albo zażądał dłuższego urlopu, na co zgodzić się musiał. Z drugiej strony Polacy-katolicy ostro teraz i publicznie, w druku, wystąpili przeciwko Mickiewiczowi, jako szerzycielowi nauki przeciwniej dogmatom kościoła. Towarzystwo historyczno-literackie w znacznej swej części oświadczyło się przeciw swemu prezesowi, tak, iż Mickiewicz musiał zrzec się urzędu.

Tym sposobem już od drugiej połowy r. 1844 apostoł mesyanizmu nie posiadał środków publicznego

rozszerzania nowéj nauki, a więc usilniej jeszcze starać się musiał o pozyskanie jakiegoś potężnego sprzymierzeńca, któryby znaczeniem i wpływem swoim mógł istotnie dać ciało mesyanicznym marzeniom. Już dawniej zwracano się w tym celu do Rotszylda, teraz ponowiono odezwę, ale zdaje się, że ona zamierzonego skutku nie odniosła. Równocześnie prawie mistrz Andrzej ułożył pismo do cesarza Mikołaja, w którem wzywał go, ażeby uznał nowe objawienie. Mickiewicz poparł na zgromadzeniu towiańczyków myśl wysłania tego pisma. Nastąpiło zamieszanie. Niektórzy członkowie, pod wodzą Juliusza Słowackiego, oderwali się od koła, któremu Mickiewicz przewodniczył; inni osłabli w swój względem niego ufności. Towiański winę niepowodzenia tego kroku złożył na Mickiewicza. Dla usprawiedliwienia się musiał nasz poeta w drugiej połowie r. 1845 pojechać do Szwajcaryi, gdzie go studenci lozańscy gorąco powitali. Mistrz jednak nie przypuścił go do oglądania swego oblicza i porozumiewał się z nim za pośrednictwem swój rodziny. Stosunki naprężyły się; Towiański z goryczą mówił, że woła boża odparta została przez brata Adama. Tak przeszedł ciężki i dla narodu naszego i dla Mickiewicza rok 1846. Towiański całkowicie już zaniechał pierwotnego motywu wystąpienia swego i zaprzestał mówić o powrocie wychodźstwa do kraju; zawarł się natomiast w całkiem ogólnéj dziedzinie udoskonalenia moralnego. Mickiewicz nie mógł się wyrzec tak łatwo nadziei, zapomocą której pozyskał niewątpliwie znaczniejszą część wyznawców; ochłódł też w swój ufności względem mistrza.

W pamiętnym liście z 12 maja 1847 roku pisał te słowa, w których brzmiał utajony ton bolesnego zawodu: „Trudno nam wrócić do tego zaufania, do téj szczerości, z jakąśmy się zeszli przed laty; a bez niej niema płomienia, niema czynu. I nie wrócimy tam, aż każdy z nas poczuje, co przewinił, wewnątrz siebie

to odwoła i ducha braciom przyniesie wolnego od sądów, od wyroków i podejrzeń.“

Towiański i Mickiewicz rozeszli się odtąd, lubo nie rozstali. Towiański pograżał się w marzeniach, zadowolony hołdami szczupłego kółka; Mickiewicz, zawsze dążący do czynu, nie zaniedbał żadnej okoliczności, która zdawała się do urzeczywistnienia idei odrodzenia narodu i ludzkości prowadzić.

Gdy we Włoszech r. 1848 rozpoczęły się ruchy narodowe, Mickiewicz 21 stycznia pośpieszył do Rzymu, ażeby u papieża Piusa IX, który początki rządów swoich zbawiennymi reformami zaznaczył, uzyskać posłuchanie i nakłonić go do wzięcia inicjatywy w odrodzeniu stosunków politycznych i rozplamieniu dusz ideą miłości i poświęcenia. Gwałtowny ton mowy Mickiewicza zraził łagodnego papieża; o uznaniu nauki nie mogło być mowy; co do idei zaś politycznych, nie myślał ich Pius IX rozbierać, a tém mniej pójść za niemi. Chłodne to zachowanie się papieża uwydatniło się szczególnie podczas drugiego posłuchania, w którym kilka razy prosił poetę o zniżenie głosu.

Nie osiągnąwszy jednego celu, zajął się Mickiewicz innym.

Jak tylko wybuchła w Paryżu rewolucya w lutym, powziął myśl wskrzeszenia dawnych legionów polskich i zwrócił się z nią do możnych panów, ale ci z lękiem od współudziału się usunęli. Wówczas, nie porzucając samego zamiaru, postanowił skutecznie go choćby na drobną skalę, powołując młodzież, bawiącą w Rzymie na studyach artystycznych. Tu odezwał się odgłos w sercach. Zebrała się garstka 14 ochotników, z którymi 10 kwietnia opuścił Rzym i morzem pojechał do Liwurna, ztąd koleją żelazną do Empoli, a następnie piechotą do Florencyi, gdzie oprócz entuzjastycznego przyjęcia, znalazł także zasilek pieniężny. Dnia 8 maja przybył ten zarodek przyszłego legionu do Medyolanu i tu w przeciągu miesiąca przetworzył się

na zastęp, który pod dowództwem Mikołaja Kamieńskiego mógł wyjść do boju z wojskami austriackimi, dostawszy rozkaz zajęcia części pogranicza od Tyrolu.

Wówczas Mickiewicz, doprowadziwszy do skutku choć w tej formie tylko myślswoję, odjechał do Paryża, ażeby usilnem staraniem zwiększyć liczbę ochotników i utworzyć drugą legią. Przy pomocy pieniężnej Ksawerego Branickiego zdołał pod koniec lipca i w początkach sierpnia wysłać do Włoch 4 oddziały, liczące po sto lub po kilkadziesiąt ludzi, pod dowództwem Michała Chodźki, Maurycego Haukego, J. Klukowskiego i innych.

Oprócz spraw legionowych, miał wówczas Mickiewicz na myśli powrót na katedrę w kolegium francuskiem, ale rząd rzeczypospolitej nie dozwolił na to. Z Krakowa zaproponowano mu objęcie katedry historii literatury polskiej; poeta nasz zgodził się, ale nie można było marzyć o zatwierdzeniu go na posadzie przez rząd austriacki, przeciwko któremu tworzył legiony.

Wynik głosowania powszechnego we Francyi z dnia 10 grudnia, powołujący na prezydenta rzeczypospolitej Ludwika Napoleona, elektryzująco podziałał na Mickiewicza. Czcząc bohatera wieku, miał nasz poeta i dla jego rodziny serdeczne uznanie, był z nią w stosunkach przed rokiem 1848 i wówczas już przepowiedział jej dostanie się do rządu. Teraz sądził, że Ludwik Napoleon spełni jego nadzieje odrodzenia Europy. Chcąc w tym kierunku współdziałać, założył w połowie marca 1849 r. dziennik polityczny p. t. „La Tribune des peuples“ (Trybuna ludów), poświęcony sprawie wolności i solidarności wszystkich narodów, a szczególnie tych, które swą niezależność utraciły. Sam wiele pisał do dziennika tego, nie wiążąc się z żadnem stronnictwem francuskiem, ale powstając gwałtownie przeciw konserwatystom i legitymistom, a słowami uznania darząc rewolucjonistów i socyalistów. Wyznanie jego wiary politycznej z owe-

go czasu można scharakteryzować jako socjalizm mistyczny, mający na widoku przedewszystkiem i głównie poprawę wewnętrzną człowieka, kwestye zaś materialnego bytu usuwający z pierwszego planu. Ze szczególnym naciskiem dążył do tego, ażeby lud, nie zważając na arystokracją i wyższą hierarchią, wybierał swoich przedstawicieli zpośród ludzi ściśle związanych z życiem wiejskiem.

„Trybuna“ istniała niedługo. Z dniem 16 października 1849 opuścił ją Mickiewicz, przestał zajmować się gorączkowo sprawami politycznemi i zamknął się w obręb życia domowego, otoczony szczupłym kółkiem wiernych mu towiańczyków. Nadzieje obudzone ruchem r. 1848 rozwiewać się zaczęły; siła rządowa wzrastała; Napoleon z prezydenta został cesarzem Francyi.

Mickiewicz, wzamian za katedrę w kolegium francuskiem, którą nominalnie zajmował dotychczas, otrzymał 30 października 1852 roku posadę bibliotekarza biblioteki arsenału, z mieszkaniem i 2000 franków pensyi, i był nią zadowolony, przywyklszy podczas propagandy mesyanicznój do znoszenia nie tylko niedostatku, ale nawet nędzy.

Ożywił się znowu podczas wojny krymskiej; w maju 1854 napisał notę o położeniu Rygi, jako podstawy działań wojennych na brzegach morza Bałtyckiego; po wysadzeniu Bomarsundu w powietrze przez wojska sprzymierzonych 17 sierpnia tegoż roku, wyśpiewał odę łacińską na cześć Ludwika Napoleona. Utraciwszy 5 marca 1855 roku żonę, stłumił boleść, zajmując się jeszcze gorliwiej sprawami ogólnemi. Wypracował memoriał o utworzeniu legionu polskiego na Wschodzie, a następnie wyrobiwszy sobie u rządu francuskiego zasiłek, 11 września opuścił Paryż, by się udać do Konstantynopola, przyjrzeć się pułkom kozaków otomańskich, formowanym przez Michała Czajkowskiego, i wziąć udział czynny w wojnie.

W pierwszych dniach października wybrał się do Burgas, gdzie te pułki się znajdowały, żył tu życiem obozowem, które polubił, i roił o utworzeniu legionu z Izraelitów.

Z wycieczki tej powróciwszy do Konstantynopola, zajmował się wprowadzeniem w czyn swego planu; miał nawet dobre pod tym względem nadzieje; lecz niebawem nagle się rozchorował. Dnia 26 listopada o godzinie dziewiątej wieczorem, z zupełną przytomnością umysłu, ze wspomnieniem pułku kozaków, w którym wolałby być, jak mówił, pisarzem, niż kanclerzem instytutu francuskiego, rozstał się z tym światem. Ciało zabalsamowane przewieziono 30 grudnia uroczyście, przy licznym zbiegu ludzi najrozmaitszej narodowości, na parostatek, który zawiózł zwłoki do Francyi. Dnia 21 stycznia 1856 złożono je na cmentarzu w Montmorency, obok zwłok żony.

Takie były dzieje największego gieniuszu poetyckiego, jaki wydała Polska. Jako człowiek odznaczał się on nieskazitelnym, podniosłym i hartownym charakterem; jako obywatel kochał kraj namiętnie i zawsze interes ogółu przenosił nad sprawy osobiste i rodzinne; jako poeta najlepiej odczuł i wyśpiewał naturę ziemi naszej, nasze usposobienia, poglądy, przekonania, uczucia, cierpienia. Nie to, co przemijające i zmienne, ale to, co wiecznotrwałe, co ma żywotne swe korzenie w gruncie narodowym i ludzkim, co budzi i budzić będzie na wieki przyspieszone bicie serca, stanowiło przedmiot jego natchnień. On stworzył nowożytną naszą literaturę, powołując całe szeregi piszących do pracy w nadanym przez siebie kierunku; on nas wobec świata ucywilizowanego najdostępniej w zakresie twórczości poetyckiej zalecił; on kochał i cierpiał za miliony i dlatego miliony nie tylko uwielbieniem, lecz miłością ku niemu płoną.

Warszawa, 19 lutego 1888 r.

Piotr Chmielowski.

BALADY I ROMANSE.

PIERWIOSNEK. *)

(*Primula veris*).

Z niebieskich najrańszą piosnek
Ledwie zadzwonił skowronek,
Najrańszy kwiatek, pierwiosnek,
Błysnął ze złotych obłonek.

JA.

Zawczasie, kwiatku, zawczasie!
Jeszcze północ mrozem dmucha,
Z gór białe nie zeszły pleśnie,
Dąbrowa jeszcze nie sucha.

Przymruż złociste światelka,
Ukryj się pod matki rąbek,
Nim cię zgubi szronu ząbek,
Lub chłodnej rosy perełka.

KWIATEK.

Dni nasze jak dni motylka:
Życiem wschód, śmiercią południe;
Lepsza w kwietniu jedna chwilka,
Niż w jesieni całe grudnie.

*) Ponieważ czas napisania balad i romansów w niektórych jedynie szczegółach jest niewątpliwy, umieszczamy je więc, aż do „Dudarza“ włącznie, w takim porządku, w jakim podał je sam poeta w r. 1822.

Czy dla bogów szukasz datku,
Czy dla druha lub kochanki,
Upleć wianek z mego kwiatku,
Wianek to będzie nad wianki.

JA.

W podlęż trawce, w dzikim lasku
Urosłeś, o kwiatku luby!
Mało wzrostu, mało blasku,
Cóż ci daje tyle chluby?

Ni to kolory jutrzeńki,
Ni zawoje tulipana,
Ni liliowe sukienki,
Ni róży pierś malowana.

Uplatam ciebie do wianka;
Lecz zkąd-że ufności tyle?
Przyjaciele i kochanka
Czy cię powitają mile?

KWIATEK.

Powitają przyjaciele
Mie, wiosny młodej aniołka;
Przyjaźń ma blasku niewiele
I cień lubi, jak me ziołka.

Czym kochanki godzien rączek?
Powiedz, niebieska Marylko!
Za pierwszy młodości pączek
Zyskam pierwszą—ach! łzę tylko...

ROMANTYCZNOŚĆ.

Me thinks i see...

— Where?

In my mind's eyes.

Shakespeare.

Zdaje mi się, że widzę... Gdzie?

Przed oczami mojej duszy.

Słuchaj, dziewczeczko!

— Ona nie słucha.

To dzień biały! to miasteczko!

Przy tobie niema żywego ducha;

Co tam wkoło siebie chwytasz?

Kogo wołasz, z kim się witasz?

— Ona nie słucha.

To jak martwa opoka
Nie zwróci w stronę oka,
To strzela wkoło oczyma,
To się łzami zaleje,
Coś niby chwyta, coś niby trzyma,
Rozplacze się i zaśmieje.

„Tyżeś to w nocy? to ty, Jasieńku!
Ach! i po śmierci kocha!
Tutaj, tutaj, pomaleńku!
Czasem usłyszysz macocha!

„Niech sobie słyszy—już niema ciebie!
Już po twoim pogrzebie!
Ty już umarłeś? Ach! ja się boję!
Czego się boję mego Jasieńka?
Ach, to on! lecia twoje! oczki twoje!
Twoja biała sukienka!

„I sam ty biały jak chusta,
Zimny—jakie zimne dłonie!
Tutaj połóż, tu na łonie,
Przyciśnij mnie—do ust usta!

„Ach, jak tam zimno musi być w grobie!
Umarłeś! tak, dwa lata!
Weź mnie, ja umrę przy tobie,
Nie lubię świata!

„Źle mnie w złych ludzi tłumie,
Placzę, a oni szydzą;
Mówię—nikt nie rozumie;
Widzę—oni nie widzą.

„Śród dnia przyjdź kiedy... To może we śnie?
Nie, nie... trzymam ciebie w ręku.
Gdzie znikasz, gdzie, mój Jasieńku!
Jeszcze wcześniej, jeszcze wcześniej!

„Mój Boże! kur się odzywa,
Zorza błyska w okienku.
Gdzie znikłeś! ach! stój, Jasieńku!
Ja nieszczęśliwa!“

Tak się dziewczyna z kochankiem pieści,
Bieży za nim, krzyczy, pada...
Na ten upadek, na głos boleści,
Skupia się ludzi gromada.

„Mówcie pacierze!—krzyczy prostota,
Tu jego dusza być musi.
Jasio być musi przy swęj Karusi,
On ją kochał za żywota!“

I ja to słyszę i ja tak wierzę,
Płaczę i mówię pacierze.
„Słuchaj, dziewczeko!—krzyknij wśród zgielku
Starzec i na lud zawoła:
Ufajcie memu oku i szkiełku,
Nic tu nie widzę dokoła.

„Duchy karczemnej tworem gawiedzi,
W głupstwa wywarzone kuźni,
Dziewczyna duby smalone bredzi,
A gmin rozumowi bluźni.“

„Dziewczyna czuje, odpowiadał skromnie,
A gawieź wierzy głęboko;
Czucie i wiara silniej mówi do mnie,
Niż mędrca szkiełko i oko.

„Martwe znasz prawdy, nieznane dla ludu,
Widzisz świat w proszku, w każdej gwiazd iskerce;
Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu!
Miej serce i patrzaj w serce!“

ŚWITEŻ.

(Do Michała Wereszczaki).

Ktokolwiek będziesz w nowogrodzkiej stronie,
Do Płuzyn ciemnego boru
Wjechawszy, pomnij zatrzymać twe konie,
Byś się przypatrzył jezioru.

Świtez tam jasne rozprzestrzenia łona,
 W wielkiego kształcie obwodu,
 Gęstą po bokach puszczą oczerniona,
 A gładka jak szyba lodu.

Jeżeli nocną przybliżysz się doba
 I zwrócisz ku wodom lice,
 Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą
 I dwa obaczysz księżyce.

Niepewny, czyli szklana z pod twej stopy
 Pod niebo idzie równina,
 Czyli też niebo swoje szklane stropy
 Aż do nóg twoich ugina;

Gdy oko brzegów przeciwnych nie sięga,
 Dna nie odróżnia od szczytu,
 Zdajesz się wisieć w środku niebokręga,
 W jakiejś otchłani błękitu.

Tak w noc, pogodna jeśli służy pora,
 Wzrok się przyjemnie uludzi,
 Lecz żeby w nocy jechać do jeziora,
 Trzeba być najśmielszym z ludzi.

Bo jakie szatan wyprawia tam harce!
 Jakie się larwy szamocą!
 Drzę cały, kiedy bają o tem starce
 I strach wspominać przed nocą.

Nieraz śród wody gwar, jakoby w mieście,
 Ogień i dym bucha gęsty,
 I zgiełk walczących, i wrzaski niewieście;
 I dzwonów gwałt, i zbrój chrzęsty.

Nagle dym spada, hałas się uśmierza,
 Na brzegach tylko szum jodły,
 W wodach gadanie cichego pacierza
 I dziewic żałośnie modły.

Co to ma znaczyć? różni różnie plotą,
 Cóż, kiedy nie był nikt na dnie;
 Biegają wieści pomiędzy prostotą,
 Lecz któż z nich prawdę odgadnie?

Pan na Płużynach, którego pradziady
 Były Świtezi dziedzice,
 Zdawna przemyślał i zasięgał rady,
 Jak te zbadać tajemnice.

Kazał przybory w blizkiem robić mieście
 I wielkie sypał wydatki;
 Związano niewód głęboki stóp dwieście,
 Budują czółny i statki.

Ja ostrzegałem, że w tak wielkiem dziele
 Dobrze, kto z Bogiem poczyną;
 Dano więc na mszę w niejednym kościele
 I ksiądz przyjechał z Cyryna.

Stanął na brzegu, ubrał się w ornaty,
 Przeżegnał, pracę pokropił;
 Pan daje hasło: odbijają baty,
 Niewód się z szumem zatopił.

Topi się; pławki nadół z sobą spycha,
 Tak przepaść wody głęboka;
 Prężą się liny, niewód idzie zcicha,
 Pewnie nie złowią ni oka.

Na brzeg oboje wyjęto już skrzydło,
Ciagną ostatek więcierzy.
Powiem-że, jakie złowiono straszydło?
Choć powiem, nikt nie uwierzy.

Powiem jednakże. Nie straszydło wcale:
Żywa kobieta w niewodzie!
Twarz miała jasną, usta jak korale,
Włos biały, skąpany w wodzie.

Do brzegu dąży, a gdy jedni z trwogi
Na miejscu stanęli głazem,
Drudzy zwracają ku ucieczce nogi,
Łagodnym rzecze wyrazem:

„Młodzieńcy, wiecie, że tutaj bezkarnie
Dotąd nikt statku nie spuści;
Każdego śmiałka jezioro zagarnie
Do nieprzebrnionych czeluści.

„I ty zuchwały i twoja gromada
Wrazbyście poszli w głębinie,
Lecz że to kraj był twojego pradziada,
Że w tobie nasza krew płynie,

„Choć godna kary jest ciekawość pusta,
Lecz żeście z Bogiem poczęli,
Bóg wam przez moje opowiada usta
Dzieje tej cudnej topieli.

„Na miejscach, które dziś piaskiem zaniosło,
Gdzie car i trzcina zarasta,
Po których teraz wasze biega wiosło,
Stał okrąg pięknego miasta.

„Świteż i w sławne orężem ramion,
I w kraśne twarze bogata,
Niegdyś od książąt Tuhanów rządzona,
Kwitnęła przez długie lata.

„Nie ćmił widoku ten ostep ponury,
Przez żyzne wskrós okolice
Widać ztąd było nowogrodzkie mury,
Litwy naówczas stolicę.

„Raz, niespodzianie, obległ tam Mendoga
Potężnëm wojskiem car z Rusi;
Na całą Litwę wielka padła trwoga,
Że Mendog poddać się musi.

„Nim ściągnął wojsko z odległej granicy,
Do ojca mego napisze:
Tuhaniel w tobie obrona stolicy,
Śpiesz, zwołaj twe towarzyszel

„Skoro przeczytał Tuhan list książęcy
I wydał rozkaz do wojny,
Stanęło zaraz mężów pięć tysięcy,
A każdy konny i zbrojny.

„Uderzą w trąby, rusza młódź. już w bramie
Błyska Tuhana proporzec,
Lecz Tuhan stanie, i ręce załamię,
I znowu jedzie na dworzec.

„I mówi do mnie: Ja-ż własnych mieszkańców
Dla obcej zgubię odsieczy?
Wszak wiesz, że Świteż nie ma innych szanów,
Prócz naszych piersi i mieczy.

„Jeśli rozdzielię szczupłe wojsko moje,
Krewnemu nie dam obrony;
A jeśli wszyscy pociągniem na boje,
Jak będą córzy i żony?“

„Ojczy, odpowiem, lękaszy się niewczyśnie,
Idź, kędy sława cię woła!
Bóg nas obroni; dziś nad miastem we śnie
Widziałam jego anioła.

„Okrążył Świtez mieczy błyskawicą
I nakrył złotem pióry,
I rzekł mi: póki męże zagranicą,
Ja bronię żony i córzy.

„Usłuchał Tuhan i za wojskiem goni,
Lecz gdy noc spadła ponura,
Słuchać gwar zdala, szczęk i tentent koni
I zewsząd straszny wrzask: ura!

„Zagrzmiały tarany, padły bram ostatki,
Zewsząd pocisków grad leci,
Biegą na dworzec starce, nędzne matki,
Dziewice i drobne dzieci.

„Gwałtu! wołają, zamykajcie bramę!
Tuż, tuż za nami Ruś wali!
Ach! zgińmy lepiej, zabijmy się same,
Śmierć nas od hańby ocali.

„Natychmiast wściekłość bierze miejsce strachu;
Miecz bogactwa na stosy,
Przynoszą żagwie i płomień do gmachu
I krzyczą strasznymi głosy:

„Przeklęty będzie, kto się nie dobije!...
 Broniałam, lecz próżny opór:
 Klęczą, na progach wyciągają szyje,
 A drugie przynoszą topór.

„Gotowa zbrodnia. — Czyli wezwać hordy
 I podłe przyjąć kajdany,
 Czy bezbożnemi wytepić się mordy?
 Panie, zawołam, nad Pany!

„Jeśli nie mogę ujść nieprzyjaciela,
 O śmierć błagamy u Ciebie,
 Niechaj nas lepiej twój piorun wystrzela,
 Lub żywych ziemia pogrzebie!

„Wtém jakaś białość nagle mię otoczy,
 „Dzień zda się spędzać noc ciemną;
 Spuszczam ku ziemi przerażone oczy,
 Już ziemi niema podemną!

„Takeśmy uszły zhańbienia i rzezi.
 Widzisz to ziele dokoła?
 To są małżonki i córki Świtezi,
 Które Bóg przemienił w zioła.

„Białawem kwieciem, jak białe motylki,
 Unoszą się nad topielą;
 List ich zielony, jak jodłowe szpilki,
 Kiedy je śniegi pobielą.

„Za życia cnoty niewinnęj obrazy,
 Jęj barwę mają po zgonie;
 W ukryciu żyją i nie cierpią skazy,
 Śmiertelne nie tkną ich dłonie.

„Doświadczył tego car i ruska zgraja,
Gdy piękne ujrzawszy kwiecie,
Ten rwie i szyszak stalony umaja,
Ten wianki na skronie plecie.

„Kto tylko ściągnął do głębiny ramię,
Tak straszna jest kwiatów władza,
Że go natychmiast choroba wyłamie
I śmierć gwałtowna ugadza.

„Choć czas te dzieje wymazał z pamięci,
Pozostał sam odgłos kary,
Dotąd w swych baśniach prostota go święci
I kwiaty nazywa c a r y.“

To mówiąc, pani zwolna się oddała;
Topią się statki i sieci,
Szum słyhać w puszczy, poburzona fala
Z łoskotem na brzegi leci.

Jezioro do dna pękło nakształt rowu,
Lecz próżno za nią wzrok goni:
Wpadła i falą nakryła się znowu,
I więcej nie słyhać o niej.

ŚWITEZIANKA.

Jakież to chłopiec piękny i młody,
Jaka to obok dziewica,
Brzegami sinėj Świtezi wody
Idą przy świetle księżyca?

Ona mu z kosza daje maliny,
A on jęj kwiatki do wianka;
Pewnie kochankiem jęst tęj dziewczyny,
Pewnie to jęgo kochanka.

Każdą noc prawie, o jednęj porze,
Pod tym się widzą modrzewiem.
Młody jęst strzelcem w tutejszym borze,
Kto jęst dziewczyna? ja nie wiem.

Zkąd przyszła? darmo śledzić kto pragnię;
Gdzie uszła? nikt jęj nie zbada.
Jak mokry jaskier wschodzi na bagnię,
Jak ognik nocny przepada.

„Powiedz mi, piękna, luba dziewczyno,
Na co nam te tajemnice?
Jaką przybiegłaś do mnie drożyną?
Gdzie dom twój, gdzie są rodzice?

„Minęło lato, żółkniały liścia
I dżdżysta nadchodzi pora;
Zawsze mam czekać twojęgo przyścia
Na dzikich brzegach jeziora?

„Zawszeż po kniejach, jak sarna płocha,
Jak upiór, błądzisz w noc ciemną?
Zostań się lepiej z tym, kto cię kocha,
Zostań się, o luba, ze mną!

„Chateczka moja ztąd niedaleka,
Pośrodku gęstęj leszczyny;
Jęst tam dostatkiem owoców, mleka,
Jęst tam dostatkiem zwierzyny.“

„Stój, stój—odpowie—hardy młokosie,
Pomnę, co ojciec rzekł stary:
Słowicze wdzięki w mężczyzny głosie,
A w sercu—lisie zamiary.

„Więcej się waszej obludy boję,
Niż w zmienne ufam zapaly;
Możebym prośby przyjęła twoje,
Ale czy będziesz mnie stały?“

Chłopiec przyklęknął, chwycił w dłoń piasku,
Piekielne wzywał potęgi,
Klął się przy świętym księżycu blasku,
Lecz czy dochowa przysięgi?

„Dochowaj, strzelcze, to moja rada,
Bo kto przysięgę naruszy,
Ach biada jemu, za życia biada!
I biada jego złej duszy!“

To mówiąc, dziewczka więcej nie czeka,
Wieniec włożyła na skronie
I, pożegnawszy strzelca zdaleka,
Na zwykłe uchodzi błonie.

Próżno się za nią strzelec pomyka,
Rączył wybiegom nie sprostał;
Znikła, jak lekki powiew wietrzyka,
A on sam jeden pozostał.

Sam został, dziką powraca drogą,
Ziemia uchyla się grzazka,
Cisza wokoło, tylko pod nogą
Zwiędła szeleszcze gałązka

Idzie nad wodą, błędny krok niesie,
Błędniemi strzela oczyma;
Wtém wiatr zaszumiał po gęstym lesie,
Woda się burzy i wzdyma.

Burzy się, wzdyma, pękają tonie,
O niesłychane zjawiska!
Ponad srebrzyste Świtezi błonie
Dziewicza piękność wytryska.

Jęj twarz, jak róży bladęj zawoje.
Skropione jutrzeńki łezką;
Jako mgła lekka, tak lekkie stroje
Obwiałą postać niebieską.

„Chłopcze mój piękny, chłopcze mój młody!
Zanuci czule dziewica,
Poco wokoło Świtezi wody
Błędzisz przy świetle księżycy?

„Poco żałujesz dzikiej wietrznicy,
Która cię zwabia w te knieje,
Zawraca głowę, rzuca w tęsknicy
I może jeszcze się śmieje?

„Daj się namówić czułym wyrazem:
Porzuć wdychania i żale,
Do mnie tu, do mnie! tu będziemy razem
Po wodnym płasnąć kryształę,

„Czy zechcesz niby jaskółka chybka
Oblicze tylko wód muskać,
Czy zdrów jak rybka, wesół jak rybka,
Cały dzień ze mną się pluskać,

A na noc w łożu srebrnej topieli,
Pod namiotami zwierciadeł,
Na miękkiej wodnych lilijek bieli,
Śród boskich usnąć widziadeł.“

Wtém z zasłon błysną piersi łabędzie;
Strzelec w ziemię patrzy skromnie,
Dziewica w lekkim zbliża się pędzie
I „Do mnie!—woła—pójdź do mnie!“

I na wiatr lotne rzuciwszy stopy,
Jak tęcza śmiga w krąg wielki,
To znowu siekąc wodne zatopy,
Srebrnemi pryska kropelki.

Podbiega strzelec i staje w biegu,
I chciałby skoczyć, i nie chce;
Wtém modra fala, prysnąwszy z brzegu,
Zlekka mu stopy załechce.

I tak go łechce i tak go znęca,
Tak się w nim serce rozplywa,
Jak gdy tajemnie rękę młodzieńca
Ściśnie kochanka wstydliva.

Zapomniał strzelec o swęj dziewczynię,
Przysięgą pogardził świętą,
Na zgubę oślep bieży w głębinie,
Nową zwabiony ponętą.

Bieży i patrzy, patrzy i bieży,
Niesie go wodne przestworze;
Już zdala suchych odbiegł wybrzeży,
Na średniem igra jeziorze.

I już dłoń śnieżną w swój ciśnie dłoni,
W pięknych licach topi oczy,
Ustami usta różane goni
I skoczne okręgi toczy.

Wtém wietrzyk świsnął, obłoczek pryska,
Co ją w łudzącym krył blasku,
Poznaje strzelec dziewczynę zblizka,
Ach, to dziewczyna z pod lasku!

„A gdzie przysięga? gdzie moja rada?
Wszak kto przysięgę naruszy,
Ach biada jemu, za życia biada!
I biada jego złej duszy!

„Nie tobie igrać przez srebrne tonie,
Lub nurkiem pluskać w głąb jasną;
Surowa ziemia ciało pochłonie,
Oczy twe żwirem zagasną.

„A dusza przy tём świadomém drzewie
Niech lat doczeka tysiąca;
Wiecznie piekielne cierpiąc zarzewie,
Nie ma czём zgasić gorąca.“

Słyszy to strzelec, błędny krok niesie,
Błędniemi rzuca oczyma;
A wicher szumi po gęstym lesie,
Woda się burzy i wzdyma.

Burzy się, wzdyma i wre aż do dna,
Kręconym nurtem pochwycą,
Roztwiera paszczę otchłan podwodna,
Ginie z młodzieńcem dziewica.

Woda się dotąd burzy i pieni;
Dotąd przy świetle księżycy
Snuje się para znikomych cieni:
Jest to z młodzieńcem dziewica.

Ona po srebrném płasza jeziorze,
On pod tym jęczy modrzewiem.
Kto jest młodzieniec? Strzelcem był w borze.
A kto dziewczyna? ja nie wiem.

Płuzyny, 12 sierpnia 1821 r.

R Y B K A.

(Ze śpiewu gminnego).

Od dworu, z pod lasa, z wioski
Smutna wybiega dziewica;
Rozpuściła na wiatr włoski
I łzami skropiła lica.

Przybiega na koniec łączki,
Gdzie w jezioro wpada rzeka,
Załamuje białe rączki
I tak żałośnie narzeka:

„O wyl co mieszkacie w wodzie,
Siostry moje, Świtezianki,
Słuchajcie w ciężkiej przygodzie
Głosu zdradzonej kochanki.

„Kochałam pana tak szczerzel
On mię przysięgał zaślubić;
Dziś księżnę za żonę bierze,
Krysię ubogą chce zgubić.

„Niechże sobie żyją młodzi,
Niech się z nią obłudnik pieści,
Niech tylko tu nie przychodzi,
Urągać się z mych boleści!

„Dla opuszczonej kochanki
Cóż pozostało na świecie?
Przyjmijcie mię, Świtezianki;
Lecz moje dziecię—ach, dziecię!”

To mówiąc, rzewnie zapłacze,
Rączkami oczy zasłoni,
I z brzegu do wody skacze,
I w bystrzej nurza się toni.

Wtém z lasu, gdzie się dwór bieli,
Tysiączne świecą kagańce;
Zjeżdżają goście weseli,
Muzyka, hałas i tańce.

Lecz mimo tego hałasu,
Płacz dziecięcia słychać w lesie;
Wierny sługa wyszedł z lasu
I dziecię na rękę niesie.

Ku wodzie obraca kroki,
Gdzie łoza, gęsto spleciona,
Wzdłuż wykręconej zatoki
Okryła rzeki ramiona.

Tam staje w ciemnym zakątku,
Płacze i woła: „Niestety!
Ach któż da piersi dzieciątku?
Ach! gdzie ty, Krysiu, ach, gdzie ty?”

„Tu jestem, w rzece u spodu,
Cichy mu głos odpowiada,
Tutaj drzę cała od chłodu,
A żwir mnie oczki wyjada.

„Przez żwir, przez ostre kamuszki,
Fale mnie gwałtowne niosą;
Pokarm mój: koralki, muszki,
A pijam zimną rosą.“

Lecz sługa, jak na początku,
Tak wszystko woła: „Niestety!
Ach, któż da piersi dzieciątku?
Ach! gdzie ty, Krysiu, ach, gdzie ty?

Wtém się coś zlekka potraci
Śród kryształowój przezroczy,
Woda się zlekka zamąci,
Rybka nad wodę podskoczy.

I jak skałka płaskim bokiem,
Gdy z lekkich rąk chłopca pierzchnie,
Tak nasza rybka podskokiem
Mokre całuje powierzchnie.

Złotemi plamki nadobna,
Kraśne ma po bokach piórka,
Główka jak naparstek drobna,
Oczko drobne jak paciórka.

Wtém rybią łuskę odwinie,
Spojrzy dziewicy oczyma;
Z głowy jasny włos wypłynie,
Szyjka cieniuchna się wzdyma.

Na licach różana krasa,
Piersi jak jabłuszka mleczne;
Rybią ma pletwę do pasa,
Płynie pod chrósty nadrzeczna.

I dziecię bierze do ręki,
U łona białego tuli.
„Luli, woła, mój maleńki,
Luli, mój maleńki, luli.“

Gdy dziecię płakać przestało,
Zawiesza kosz na gałęzi,
I znowu ściska swe ciało
I główkę nadobną zwęzi.

Znowu ją łuski powleką,
Od boków wyskoczą skrzelki,
Plusła, i tylko nad rzeką
Kipiące pękły bąbelki.

Tak co wieczora, co ranka,
Gdy sługa stanie w zakątku,
Wraz wypływa Świtezianka,
Żeby dać piersi dzieciątku.

Za cóż jednego wieczora
Nikt nie przychodzi na smugi?
Już zwykła przemija pora:
Nie widać z dziecięciem sługi.

Nie może on przyjsć tą stroną,
Musi zaczekać troszeczkę,
Bo właśnie teraz pan z żoną
Poszli przechadzką nad rzeczkę.

Wrócił się, czekał zdaleka,
Za gęstym usiadłszy krzakiem;
Lecz próżno czeka i czeka,
Nikt nie powracał tym szlakiem.

Wstaje i dłoń w trąbkę zwinął,
I patrzył przez palców szparę,
Ale i dzień już przeminął
I mroki padają szare.

Czekał długo po zachodzie,
A gdy noc gwiazdy zapala,
Zbliża się zlekka ku wodzie
I śledzi oczyma zdala.

Przebóg, cudy, czy moc piekła?
Uderza go widok nowy:
Gdzie pierwiej rzeczulka ciekła,
Tam suchy piasek i rowy.

Na brzegach porozrzucana
Wala się odzież bez ładu;
Ani pani, ani pana
Nie widać nigdzie nń śladu.

Tylko z zatoki połową
Sterczał wielki głazu kawał
I dziwną kształtu budową
Dwa ludzkie ciała udawał.

Zdumiewa się wierny sługa,
Rozpierzchłych myśli nie złowił;
Przeszła godzina, i druga,
Nim wreszcie słówko przemówił.

„Krysiu, o Krysiu!“ zawoła:
Echo mu „Krysiu“ odpowie;
Lecz próżno patrzy dokoła,
Nikt nie pokazał się w rowie.

Patrzy na rów i na głazy,
Otrze pot na licu zbladłem
I kiwnie głową trzy razy,
Jakby chciał mówić: już zgadłem.

Dzieciątko na ręce bierze,
Śmieje się dzikim uśmiechem
I odmawiając pacierze,
Wraca do domu z pośpiechem.

POWRÓT TATY.

„Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie, wszystkie razem
Za miasto, pod słup, na wzgórek;
Tam przed cudownym klękniście obrazem,
Pobożnie zmówcie paciõrek.

„Tato nie wraca; ranki i wieczory
We łzach go czekam i trwodze;
Rozlały rzeki, pełne zwierza bory
I pełno zbójców na drodze.“

Słyszając to dziatki, biegą wszystkie razem
Za miasto, pod słup, na wzgórek;
Tam przed cudownym klękają obrazem
I zaczynają paciõrek.

Całają ziemię, potem: w imię Ojca,
Syna i Ducha świętego,
Bądź pochwalona przenajświętsza Trójca,
Teraz i czasu wszelkiego.

Potem: Ojcze nasz, i Zdrowaś, i Wierzę,
Dziesięcioro i koronki,
A kiedy całe zmówili pacierze,
Wyjmą książeczkę z kieszonki.

I litanią do Najświętszej Matki
Starszy brat śpiewa, a z bratem:
„Najświętsza Matko, przyśpiewują dziatki,
Zmiłuj się, zmiłuj nad tatami!”

Wtém słychać turkot. Wozy jadą drogą
I wóz znajomy na przedzie;
Skoczyły dzieci i krzyczą, jak mogą:
„Tato, ach, tato nasz jedzie!”

Obaczył kupiec, łzy radośne leje,
Z wozu na ziemię wylata:
„Ha, jak się macie, co się u was dzieje?
Czyście tęskniły do tata?”

„Mama czy zdrowa? ciotunia? domowi?
A ot—rodzynki w koszyku.”
Ten sobie mówi, a ten sobie mówi,
Pełno radości i krzyku.

„Ruszajcie!—kupiec na służki zawoła,
Ja z dziećmi pójdę ku miastu.”
Idzie... aż zbójcy obskoczą dokoła,
A zbójców było dwunastu.

Brody ich długie, kręcone wąsiska,
Wzrok dziki, suknia plugawa;
Noże za pasem, miecz u boku błyska,
W ręku ogromna buława.

Krzyknęły dziatki, do ojca przypadły,
Tulą się pod płaszcz na łonie;
Truchleją sługi, struchlał pan wybladły,
Drżące ku zbójcom wzniosł dłonie:

„Ach! bierzcie wozy, ach, bierzcie dostatek.
Tylko puszczajcie nas zdrowo;
Nie róbcie małych sierotami dziątek
I młodej małżonki wdową!“

Nie słucha zgraja. Ten już wóz wyprzęga,
Zabiera konie; a drugi
„Pieniędzy!“ krzyczy i buławą sięga,
Ów z mieczem wpada na sługi.

Wtém: „Stójcie, stójcie!“ krzyknie starszy zbójca
I spędza bandę precz z drogi,
A wypuściwszy i dzieci i ojca,
„Idźcie, rzekł, dalej bez trwogi.“

Kupiec dziękuje, a zbójca odpowie:
„Nie dziękuj; wyznam ci szczerze,
Pierwszybyś pałkę strzaskał na twój głowie,
Gdyby nie dziątek pacierze.

„Dziatki sprawiły, że uchodzisz cało,
Darzą cię życiem i zdrowiem;
Im więc podziękuj za to, co się stało,
A jak się stało, opowiem.

„Zdawna już słysząc o przejeździe kupca,
I ja, i moje kamraty,
Tutaj za miastem, przy wzgórku u słupca,
Zasiadaliśmy na czaty.

„Dzisiaj nadchodzę, patrzę między chrósty:
Modlą się dziatki do Boga;
Słucham: z początku porwał mię śmiech pusty,
A potem litość i trwoga.

„Słucham: ojczyste przyszły na myśl strony,
Buława upadła z ręki;
Ach! ja mam żonę, i u mojej żony
Jest synek taki maleńki.

„Kupcze! jedź w miasto; ja do lasu muszę.
Wy, dziatki, na ten pagórek
Biegajcie sobie i za moję duszę
Zmówcie też czasem paciółek.“

KURHANEK MARYLI.

(Myśl ze śpiewu litewskiego).

CUDZY CZŁOWIEK.

Tam u Niemnowej odnogi,
Tam u zielonej rozłogi,
Co to za piękny kurhanek?
Spodem uwieńczon, jak w wianek,
W maliny, ciernie i głogi;
Boki ma strojne murawą,

Głowę ukwieconą w kwiaty,
A na niej czeremchy drzewo,
A od niej idą trzy drogi:
Jedna droga na prawo,
Druga droga do chaty,
Trzecia droga na lewo.
Ja tędy płynę z wiciną,
Pytam się ciebie, dziewczyno,
Co to za piękny kurhanek?

DZIEWCZYNA.

W całej wsi pytaj się, bracie,
A cała wieś powie tobie:
Maryla żyła w tej chacie,
A teraz leży w tym grobie.
Na prawej stronie te śladki. .
Ubite nogą pastuszka,
To jest drożyna jej matki,
A ztąd przychodzi jej družka.
Lecz oto błysnął poranek,
Przyjdą oni na kurhanek;
Ukryj się tu za stos łomu,
Sam ich posłuchasz niedoli,
Własne twe oczy zobaczą.
Patrz w prawo... idzie kochanek;
Patrz, matka idzie z domu;
Patrz w lewo—przyjaciółka.
Wszyscy idą powoli

I niosą ziółka

I płaczą.

JAS.

Marylo! o tej porze!
Jeszcześmy się nie widzieli,

Jeszcześmy się nie ścisnęli.

Marylo! zaszło zorze!

Tu czeka twój kochanek.

Czy ty przespałaś ranek,

Czyś na mnie zagniewana?

Ach, Marylo kochana!

Gdzież się ty dotąd kryjesz?

Nie, nie przespałaś ranka,

Nie gniewasz się na Janka;

Lecz nie żyjesz, nie żyjesz!

Więzi cię ten kurhanek.

Nie ujrzysz już kochanka,

Nie ujrzy cię kochanek!

Dawniej, kiedy spać szedłem, tem słodziłem chwile,
Że skoro się obudzę, obaczę Marylę,

I dawniej spałem mile!

Teraz tutaj spać będę od ludzi daleki,

Może ją we śnie ujrzę, gdy zamknę powieki;

Może zamknę na wieki!

Byłem ja gospodarny, gdy byłem szczęśliwy;

Chwalili mię sąsiedzi,

Chwalił mię ojciec siwy.

Teraz się ojciec biedzi,

A ja ni ludziom, ni Bogu!

Niech ziarno w polu przepadnie,

Niech ginie siano ze stogu,

Niech sąsiad kopy rozkradnie,

Niech trzodę wyduszą wilki!

Nie masz, nie masz Marylki!

Daj mi ojciec chaty,

Daj mi sprzęt bogaty,



Bym wziął w dom gospodynię,
Namawiali mię swaty.

Niemasz, niemasz Maryli!
Swaty nie namówili:
Nie mogę, nie, nie mogę!
Wiem, ojczę, co uczynię,
Pójdę w daleką drogę,
Więcej mię nie znajdziecie,
Choćbyście i szukali.
Nie będę już na świecie!
Przystanę do Moskali,
Żeby mię wraz zabili.

Niemasz, niemasz Maryli!

MATKA.

Czemuż nie wstałam zrana?
Już w polu pełno ludzi.
Nie masz cię, nie masz, kochana
Marylo! któż mię obudzi?!
Płakałam przez noc całą,
Zasnęłam, kiedy dniało.

Mój Szymon gdzieś już w polu,
Wyprzedził on świtania,
Nie budził mię, mojego litując się bolu,
Poszedł z kosą bez śniadania.
Koś ty dzień cały, koś sobie,
Ja tutaj leżę na grobie.
Czegoż mam iść do domu?
Kto nas na obiad zawoła?
Kto z nami siądzie u stoła?
Niemasz, ach, niemasz komu!

Pókiśmy mieli ciebie,
W domu było jak w niebie.

U nas i wieczorynki,
Z całej wsi chłopcy, dziewczki,
Najweselsze zażynki,
Najhuczniejsze dosiewki,
Niemasz cię! w domu pustyniel
Każdy kto idzie, minie.
Zawiasy rdzewieją w sieni,
Mchem się dziedziniec zieleni;
Bóg nas opuścił, ludzie opuścili,
Niemasz, niemasz Maryli!

PRZYJACIÓŁKA.

Tutaj, bywało, z ranku
Nad wodą sobie stoim,
Ja o twoim kochanku,
Ty mi mówisz o moim.

Już więcej z sobą nie będziem mówili!

Niemasz, niemasz Maryli!
Któż mnie zwierzy się szczerze,
Komuż się ja powierzę?

Ach! gdy z tobą, kochanie,
Smutku i szczęścia nie dzielę,
Smutek smutkiem zostanie,
Weselem nie jest wesele!

* * *

Słyszysz to cudzy człowiek,
Wzdycha i łzy mu płyną;
Westchnął, otarł łzy z powiek
I dalej poszedł z wiciną.

DO PRZYJACIÓŁ.

P syłając im baladę „To lubię.“

Bije raz, dwa, trzy... już północna pora;
Głuche wokoło zacisze,
Wiatr tylko szumi po murach klasztoru
I p ów szczekanie gdzieś słyszę.

Świeca w lichtarzu dopala się na dnie,
Raz w głębi tłumi ogniska,
Znowu się wzmoże i znowu opadnie,
Błyska, zagasa i błyska.

Straszno!—Nie była straszną ta godzina,
Gdy były nieba łaskawsze;
Ileż mi słodkich chwilek przypomina!
Przecż-to już znikło nazawsze?

Teraz ja szczęścia szukam—ot w tój księdze.
Księga znudziła, porzucam;
Znowu ku lubym przedmiotom myśl pędzę,
To marzę, to się ocucam.

Czasem, gdy słodkie złudzi zachwycenie,
Kochankę widzę lub braci;
Zrywam się, patrzę: aż tylko po ścienie
Biega cień własnej postaci.

Ot lepiej pióro wezmę i śród ciszy,
Gdy się bez ładu myśl płacze,
Zacznę coś pisać dla mych towarzyszy,
Zacznę, bo nie wiem czy skończę.

Może też pamięć o minionéj wiosnie
Zimowy wierszyk umili;
Chcę coś okropnie, coś pisać miłośnie,
O strachach i o Maryli!

Kto pragnie pędzłem swe rozślawić imię,
Niech jęj maluje portrety;
Wieszcz w nieśmiertelnym niech opiewa rymie
Serca, rozumu zalety.

Mnie choć to wszystko w umyśle przytomne,
Pociechy szukam, nie sławy.
Lepiej wam powiem, jeżeli przypomnę,
Jakie z nią miałem zabawy.

Maryla słodkie miłości wyrazy
Dzieliła skąpo w rachubie;
Choć jęj kto k o c h a m mówił po sto razy,
Nie rzekła nawet i l u b i ę.

Za to więc w Rucie, pod północną chwilę,
Kiedy się wszyscy spać kładą,
Ja, na dobranoc żegnając Marylę,
Taką straszyłem baladą.

Kowno, dnia 27 grudnia 1820 r.

TO LUBIĘ.

Spojrzyj, Marylo, gdzie się kończą gaje,
W prawo łóz gęsty zarostek,
W lewo się piękna dolina podaje,
Przodem rzeczulka i mostek.

Tuż stara cerkiew; w niej puszczyk i sowy,
Obok dzwonnicy zrąb zgniły,
A za dzwonnica chróśniak malinowy,
A w tym chróśniaku mogiły.

Czy tam bies siedział, czy dusza zaklęta,
Że o północnej godzinie
Nikt, jak najstarszy człowiek zapamięta,
Miejsce tych bez trwogi nie minie.

Bo skoro północ nawlecze zasłony,
Cerkiew się z trzaskiem odmyka,
W pustej zrąbnicy dzwonią same dzwony,
W chróstach coś huczy i ksyka.

Czasami płomyk okaże się blady,
Czasem grom trzaska po gromie,
Same się z mogił ruszają pokłady
I larwy stają widomie.

Raz trup po drodze bez głowy się toczy,
To znowu głowa bez ciała,
Roztwiera gębę i wytrzeszcza oczy,
W gębie i w oczach żar pała.

Albo wilk bieży—pragniesz go odegnać,
Aż orlęm skrzydłem wilk macha;
Dość: „zgiń, przepadnij“ wyrzec i przeżegnać,
Wilk zniknie, wrzeszcząc: cha, cha, cha!

Każdy podróżny oglądał te zgrozy
I każdy musiał kłać drogę:
Ten złamał dyszel, ten wywrócił wozy,
Innemu zwichnął koń nogę.

Ja, chociaż, pomnę, nieraz Andrzej stary
Zaklinał, nieraz przestrzegał,
Śmiałem się z diabłów, nie wierzyłem w czary,
Tamtędym jeździł i biegał.

Raz, gdy do Ruty jadę w czas noclegu,
Na moście z końmi wóz staje;
Próżno woźnica przynagła do biegu,
Hej! krzyczy, biczem zadaje.

Stoją, a potem skoczą z całąj mocy,
Dyszel przy samėj pękl szrubie;
Zostać na polu samemu i w nocy,
T o l u b i ę, rzekłem, t o l u b i ę!

Ledwiem dokończył, aż straszna martwica
Wyływa z blizkich wód toni;
Białe ję szaty, jak śnieg białe lica,
Ognisty wieniec na skroni.

Chciałem uciekać, padłem zalekniony,
Włos dębem stanął na głowie;
Krzyknę: Niech będzie Chrystus pochwalony!
„Na wieki wieków—odpowie.

„Ktokolwiek jesteś, pocziwy człowieku,
Coś mię zachował od męki,
Dożyj ty szczęścia i późnego wieku
I pokój tobie, i dzięki.

„Widzisz przed sobą obraz grzeszněj duszy;
Wkrótce się niebem pochlubię,
Boś ty czyścowěj zbawił mię katuszy
Tęm jednëm słówkiem: T o l u b i ę.

„Dopóki gwiazdy zejda i dopóki
We wsi kur pierwszy zapieje,
Opowiem tobie, a ty dla nauki
Opowiedz innym me dzieje.

„Onego czasu żyłam ja na świecie,
Marylą zwana przed laty.
Ojciec mój, pierwszy urzędnik w powiecie,
Możny, pocziwy, bogaty.

„Za życia pragnął sprawić mi wesele,
A żem dostatnia i młoda,
Zbiegło się zewsząd zalotników wiele,
Posag wabił i uroda.

„Mnóstwo ich marniej pochlebiało dumie
I to mi było do smaku,
Że kiedy w licznym kłaniano się tłumie,
Tłumem gardziłam bez braku.

„Przybył i Józio; dwudziestą miał wiosnę,
Młody, cnotliwy, nieśmiały;
Obce dla niego wyrazy miłosne,
Choć czuł miłosne zapęły.

„Lecz próżno nędzny w oczach prawie znika,
Próżno i dzień i noc płacze,
W boleściach jego dla mnie radość dzika,
Śmiech obudzały rozpacz.

„Ja pójdę!“—mówił ze łzami.—„Idź sobie!“
Poszedł i umarł z miłości.
Tu, nad rzeczulką, w tym zielonym grobie,
Złożone jego są kości.

„Odtąd mi życie stało się niełube,
Późne uczułam wyrzuty,
Lecz ani sposób wynagrodzić zgubę,
Ani czas został pokuty.

„Raz, gdy się w północ z rodzicami bawię,
Wzmaga się hałas, szum, świsty,
Przyleciał Józio, w straszliwej postawie,
Jak potępieniec ognisty.

„Porwał, udusił gęszczą dymnych kłębow,
W czyścowe rzucił potoki,
Gdzie pośród jęku i zgrzytania zębów
Takie słyszałam wyroki:

— „Wiedziałaś, że się spodobało Panu
Z męża ród tworzyć niewieści,
Na osłodzenie mężom złego stanu,
Na rozkosz, nie na boleści.

„Ty, jakbyś w piersiach miała serce z glazu,
Ani cię jęki ubodły,
Nikt nie uprosił słodkiego wyrazu
Przez łzy, cierpienia i modły.

„Za taką srogość długie, długie lata
Dręcz się w czyścowej zagubie,
Póki mąż jaki z tamecznego świata
Nie powie na cię choć: l u b i ę.

„Prosił i Józio niegdyś o to słowo,
Gorzkie łzy lał, nieszczęśliwy;
Proś-że ty teraz, nie łzą, nie namową,
Ale przez strachy i dziwy.“

„Rzekł. Mnie natychmiast porwały złe duchy.
Odtąd już setny rok minie,
W dzień męczą, na noc zdejmują łańcuchy,
Rzucam ogniste głębinie.

„I w cerkwi albo na Józia mogile,
Niebu i ziemi obrzydła,
Muszę podróżnych trwożyć w nocne chwile,
Różne udając straszydła.

„Idących w błota zawiodę lub w gaje,
Jadącym konia uskubię;
A każdy naklnie, nafuka, nałaje;
Tyś pierwszy wyrzekł: t o l u b i ę!

„Za to ci spadnie wyroków zasłona,
Przyszłość z pod ciemnych wskażę chmur,
Ach! i ty poznasz Marylę... lecz ona...“
Wtém, na nieszczęście, zapiał kur.

Skinęła tylko, widać radość z oczek,
Mieni się w parę cieniuchną;
Ginie, jak ginie bladawy obłoczek,
Kiedy zefiry nań dmuchną.

Patrzę, aż cały wóz stoi na łące.
Siadam, powoli strach mija;
Proszę za dusze w czyścu bolejące
Zmówić trzy Zdrowaś Marya.

PANI TWARDOWSKA.

Jedzą, piją, lulki palą,
Tańce, hulanka, swawola;
Ledwie karczmy nie rozwałą,
Cha, cha, chi chi, hejże, hola!

Twardowski siadł w końcu stoła,
Podparł się w boki jak basza:
Hulaj dusza! hulaj! woła,
Śmiesz, tumani, przestrasza.

Żołnierzowi, co grał zucha,
Wszystkich łaje i potraça,
Świsnął szablą koło ucha,
Już z żołnierza masz zająca.

Na patrona z trybunału,
Co milczkiem wypróżniał rondel,
Zadzwoił kioską pomału:
Z patrona robi się kondel.

Szewcu w nos wyciął trzy szczutki,
Do łba przymknął trzy rureczki,
Cmoknął: cmok—i gdańskiej wódki
Wytoczył ze łba pół beczki.

Wtém, gdy wódkę pił z kielicha,
Kielich zaświstał, zazgrzytał;
Patrzy na dno... „Co u licha!
Pocoś tu, kumie, zawitał?“

Diablik to był w wódce na dnie,
Istny Niemiec, sztuczka kusa;
Sklonił się gościom układnie,
Zdjął kapelusz i dał susa.

Z kielicha aż na podłogę
Pada, rośnie na dwa łokcie,
Nos jak haczyk, kurzą nogę
I krogulcze ma paznogie.

„A, Twardowski? witam bracie!”
To mówiąc, bieży obcesem,
„Cóż-to? czyliż mię nie znacie?
Jestem Mefistofelesem!

„Wszak ze mnąś na Łysěj-górze
Robił o duszę zapisy,
Cyrograf na byczěj skórze
Podpisałeś ty i bisy

„Miały słuchać twego rymu:
Ty, jak dwa lata przebiegą,
Miałeś pojechać do Rzymu,
By cię tam porwać jak swego.

„Już i siedem lat uciekło,
Cyrograf nadal nie służy;
Ty, czarami dręcząc piekło,
Ani myślisz o podróży.

„Ale zemsta, choć leniwa,
Nagnała cię w nasze sieci;
Ta karczma R z y m się nazywa,
Kładę areszt na waszeci.”

Twardowski ku drzwiom się kwapił
Na takie dictum acerbum,
Diabeł za kontusz ułapił:
„A gdzie jest nobile verbum?”

Co tu począć? Kusa rada,
Przyjdzie już nałożyć głowę...
Twardowski na concept wpada
I zadaje trudność nową.

„Patrz w kontrakt, Mefistofilu,
Tam warunki takie stoją:
Po latach tylu a tylu,
Gdy przyjdiesz brać duszę moją,

„Będę miał prawo trzy razy
Zaprządz cię do roboty,
A ty najtwardsze rozkazy
Musisz spełnić co do joty.

„Patrz, oto jest karczmy godło:
Koń malowany na płótnie;
Ja chcę mu wskoczyć na siodło,
A koń niech z kopyta utnie.

„Skręć mi przytęm biczek z piasku,
Żebym miał czem konia chłostać,
I wymuruj gmach w tym lasku,
Bym miał gdzie na popas zostać.

„Gmach będzie z ziarenek orzecha,
Wysoki pod szczyt Krępaku,
Z bród żydowskich ma być strzecha,
Pobita nasieniem z maku.

„Patrz, oto na miarę świeczek,
Cał gruby, długi trzy cale:
W każde z makowych ziareczek
Wbij mi takie trzy bretnale.“

Mefistofil duchem skoczy,
Konia czyści, karmi, poi,
Potem bicz z piasku utoczy
I już w gotowości stoi.

Twardowski dosiadł biegusa,
Probuje podskoków, zwrotów,
Stępa, galopuje, kłusa,
Patrzy, aż i gmach już gotów.

„No! wygrałeś, panie bisie,
Lecz druga rzecz nieskończona;
Trzeba skąpać się w tej misie,
A to jest woda święcona.“

Diabeł kurczy się i krztusi,
Aż zimny pot na nim bije,
Lecz pan każe, sługa musi,
Skąpał się biedak po szyję.

Wyleciał potem jak z procy,
Otrząsł się, dbrum, parsknął raźnie:
„Teraz jużes w naszej mocy,
Najgorętszą-m odbył łaźnię.“

„Jeszcze jedno, będzie kwita,
Zaraz pęknie moc czartowska.
Patrzaj, oto jest kobieta,
Moja żoneczka, Twardowska.“

„Ja na rok u belzebuba
Przyjmę za ciebie mieszkanie,
Niech przez ten rok moja luba
Z tobą, jak z mężem, zostanie.

„Przysięż jój miłość, szacunek
I posłuszeństwo bez granic,
Złamiesz choć jeden warunek,
Już cała ugoda za nic.“

Diabeł do niego pół ucha,
Pół oka zwrócił do samki;
Niby patrzy, niby słucha,
Tymczasem już blisko klamki.

Gdy mu Twardowski dokucza,
Od drzwi, od okien odpycha,
Czmychnąwszy dziurką od klucza,
Dotąd jak czmycha tak czmycha.

T U K A J,

ALBO PRÓBY PRZYJAŹNI.

(We czterech częściach).

I.

„Ja umieram.—Ja nie płaczę.
I wy chcejcie ulżyć sobie;
Prędeż, później legniem w grobie,
Nie wrócą na świat rozpaczę.
Byłem panem mnogich włości,
Sławny potęgą i zbiorem;

Zamki me stały otworem
Dla przyjaciół i dla gości.
O potęgo! o człowieku!
Wielkie zamki, wielkie imię!
Wielkie nic! Wielkość, czyczy dymie!
Ja umieram w kwiecie wieku.
Gdy za mądrości widziałem
Goniąc, zbiegam kraje cudze;
Gdy wzrok nad księgami trudzę,
Skarbnice nauk posiadam.
O nauki! o człowieku!
Wielka mądrość, wielkie imię!
Wielkie nic! Rozum, czyczy dymie!
Ja umieram w kwiecie wieku.
Strzegłem ustaw świętej wiary
W ducha i serca prostocie,
Hojnie nagradzałem cnocie,
Kościołom niosłem ofary.
O pobożności! człowieku! *)
Święta wiaro, święte imię!
Święte nic! Cnoto, czyczy dymie!
Ja umieram w kwiecie wieku.
Twórco, jakże igrasz srodze!
Kiedy mi dasz wiek niedługi,
Cóż, że mi dasz wierne sługi?
Czémże za wierność nagrodzę?
Dasz kochankę kochankowi,
Śmierć truje ślubów słodycze.
I tylu przyjaciół liczę...
Bądźcie zdrowi, bądźcie zdrowi!“

*) Za te bluźnierstwa znajdzie czytelnik ukaranie w następnych baładach (P. poety).

Tak na domowników ręku
Tukaj, pośród skarg i jęku,
Pożegnawszy świat na wieki,
Gasnące zamknął powieki.

Wtém grom łamie szczyty dachu,
Zadrżały zamkowe ściany.
Jakowyś starzec nieznany
Wlatuje na środek gmachu.
Siwy włos okrył mu skronie,
Twarz marszczkami rozorana,
Broda długa za kolana,
Na kosturze wsparte dłonie.
„Tukaju!“ Porwał z pościeli
I wraz za sobą iść każe.
Już wierzchnie sale minęli,
Minęli wały i strażę.
Idą—ciemno, deszczyk kropi,
A srebrzysta twarz miesiąca
To grubawe mgły roztrąca,
To się znowu we mgle topi.
Idą ponad trzęskie kępy,
Mijają bagna, głębynie,
Hnilicy ciemnej ostępy,
Kołdyczewa *) nurty sinie,
Gdzie puszcza zarosła wkoło,
Spodem czarna, z wierzchu płowa,
Żwirami nasute czoło
Wynosi góra Żarnowa,
Tam szli.—Starzec klął na grobie.

*) Nazwisko jeziora (P. p.)

Rozwarł usta, okiem błysnął,
Podniósł w górę ręce obie,
Trzykroć krzyknął, trzykroć świsnął.
„Tukaju, patrz, oto ścieżka!
Za ścieżką chatka na bagnie,
W chatce mędrzec Polel mieszka,
Mędrzec mędrca wspomódz pragnie.
Znana twa nauka, cnota,
Znam, że Bóg węzły lubemi
Przywiązawszy cię do ziemi,
Długiego nie da żywota.
Ale rzucaj przestrach płony,
Mych sposobów uznaj dzielność;
Żyj dla sług, przyjaciół, żony,
Lata, wieki, nieśmiertelność.
Ja pierwszy ziemskiemu oku
Śmiem do niej pokazać drogę;
Lecz, podług ustaw wyroku,
Dwom tylko pokazać mogę.
Wybierz drugiego człowieka,
Człowieka doznanej wiary,
Któremubys w każdej probie
Tak zaufał, jak sam sobie.
Trafisz—nieśmiertelność czeka;
Chybisz—śmierć i wieczne kary! ‘
—„Starcze! twe zjawienia wieszczę
Ciemna zasłona powleka.
Powiedz.“—„Powiadam ci jeszcze:
Wybierz drugiego człowieka,
Radź się twój głowy i serca,
Idzie o ciało i duszę!
Wierny albo przeniewierca,

Nieśmiertelność lub katusze!...
Czy mógłbyś zwierzyć się słudze?...“

Tukaj nic nie odpowiada,
Bo któż zgadnie myśli cudze?
Bo zbyt częsta w sługach zdrada.
— „Może kochance lub żonie?“
— „Tak—“ wtém uciał, patrzy smutnie;
— „Tak—“—rzecze i znowu utnie.
Myśli, sam się z sobą biedzi,
— „Tak jest, kochance... tak, żoniel!“
I wierzy, i strach nań pada,
I wątpi, i wstydem płonie;
Myśli, sam się z sobą biedzi,
Umyślił, już w odpowiedzi,
Już... i nic nie odpowiada.
— „Umrzyj więc! ty śmiałeś żądać?
Daj pokój żądaniom dzikim!
Ty nie masz ufności w nikim,
Wartoż dłużej świat oglądać?“
On myśli.— „Nikogoż z wielu?
Sługi, żony, przyjaciela!...“
On myśli. — Tu, w mgnieniu oka,
Czerni się niebios sklepienie,
Słychać grzmienie, ziemi drżenie,
Kipią bagna, lasy gorą,
Niknie w płomieniach opoka,
I doliny i jezioro.
Śród gromów, świstu i szczęku,
Czy to zły duch, czy moc boża,
Tukaj znalazł się śród łoża,
Na swych domowników ręką.

Głos tylko zagrzemiał zdaleka:
„Nie masz drugiego człowieka,
Któremubys, w każddej probie,
Tak zaufał, jak sam sobie.“

II.

„Ja mam, ja mam przyjaciela!“
Konający Tukaj woła.
Wraz uchodzi bladość z czoła,
Iskrą zdrowia oko strzela;
Tukaj, wydarty mogile,
Wstaje, dziwią się doktory;
Wstaje, chodzi o swęj sile,
Jakby nigdy nie był chory.
A wtęm, na poduszce z boku,
Ujrzy z wolęj skóry karty,
Gdzie tajemnice wyroku
Przeklęte spisały czarty.
Tukaj z ciekawością chwyta,
Siada, podparł się i czyta:

„Kiedy miesiąc na młodziu,
Idź za górę do gaiku,
Znajdziesz kamień, z pod kamienia
Białego urwij korzenia.
Kiedy będziesz blizki śmierci,
Kaź ciało posiec na ćwierci,
W wodzie zgotować korzonki,
Pocięte namaścić członki.
Znowu się duch z ciałem zrośnie,
W młodocianęj wstaniesz wiośnie

I możesz, skutkiem tych leków,
Umierać, wstawać wiek wieków.“

Dalej tam były przestrogi:
Jak siekać głowę, jak nogi;
W jakiej wodzie smażyć trunek,
Po jakiej brać zioła szczypcie;
Ale na końcu, w post-skrypcie,
Taki dodano warunek:

„Jeśli użyty ktoś drugi
Do namaszczałnej posługi,
Zwiedzion przez nasze fortele,
Innemu pokaże ziele,
Lub w oznaczonej godzinie
Twego ciała nie namaści:
Wtenczas skutek zioła zginie,
Wtenczas piekło czeka waści.
Jeśli na to się ośmielisz,
Dla znaku, że zaszła zgoda,
Nasz poseł Mefistofelisz
Do wymiany traktat poda.
Ostrzeżliśmy o fortelach,
Strzeż się; potem próżny kweres.
Dan w Erebie, w szabas rano.
Własną ręką podpisano:
Tak ma stać się. Lucyferes,
A za zgodność: Hadramelach.“

Tukaj trochę się zagniewał,
Warunku się nie spodziewał.
Brodę na rękę podpiera,

Potarł czoło, skrzywił nosa,
 Na kontrakt spojrzął z ukosa;
 Tabaczki dwa razy zażył,
 To na ziemię spuszcza oczy,
 To po stolowaniu toczy.
 Wziął pergamin, w rękę zważył,
 Znowu nań zezem poziera,
 Znowu czytał i odczytał,
 Znowu zważył, znowu zmierzył,
 Kułakiem o stół uderzył,
 Westchnął, mruczał, zębem zgrzytał,
 Ręce nad czoło zakłada...
 Skoczył raptem i w zapędzie
 Machnął ręką: „Niech tak będzie!“
 Znowu umilkł, znowu siada,
 Znowu myśli, znowu wstaje,
 Znowu chodzi, znowu siada.
 Niech go za to nikt nie łaje,
 Bo z diabłami rzecz nielada.

Myśli: albo wieczne życie,
 Albo wiecznie diabłu dusza.
 Nic nie mówi, myśli skrycie,
 Tylko trochę wargą rusza.

Nadszedł już czas odpowiedzi.
 Tukaj oddala się z tłumu
 I do pracowni rozumu
 Zamknąwszy się, jeden siedzi.
 I tam swój traktat raz jeszcze,
 Nim stempel przyjęcia zyska,
 W surowej uwagi kleszcze

Bierze i porządnie ściska.
Tam myśl rozmaita ścieka
W jedne podobieństwa tygle;
Tam jedną myśl niedościgle
Różnicy nożykiem sieka;
Sieka, topi nakształt wosku,
Aż wycisnął ekstrakt wniosku.
Obejrzawszy wniosek ściśle,
Tak rzekł, po długim namyśle:
„Jakieżkolwiek te fortele,
O których słyszałem zgóry,
Czy ich niewiele, czy wiele,
Trojakięj będą natury.
Chcąc kogo przywieść do zdrady,
Trzeba siły, albo rady;
Albo podarunkiem skusić,
Albo strwożyć, albo zmusić.
Toż samo, krótszemi słowy,
Będzie sylogizm takowy:
Trojaka do zguby droga,
Ciekawość, łakomstwo, trwoga.
Więc kto w tym trojakim względzie
Twardęj nie ulegnie próbie,
Takiemu już można będzie
Ufać, jak samemu sobie.“

Tukaj, kontent z wynalazku,
Szuka atramentu, piasku,
Idzie kreślić pismo grzechu,
Ale idzie bez pośpiechu.
Już ciemno, pisać niewczesnie,
W atramencie jakieś pleśnie,

Dwie świece musiał zapalać
I dwa kałamarze nalać.
Coś mu zabolalo w łokciu;
Wziął pióro, na piórze włos
I bardzo spisany nosek;
Otrząsł, przyciął na paznociu.
Po długim względzie, rozględzie,
Wreszcie pisze: niech tak będzie
Chciał dołożyć i nazwisko,
Lecz nim pierwsze T napisał,
Myślał pół godziny blisko,
Głową i piórem kołysał
I nic więcej nie napisał,
Tylko do pierwszej litery
Dodał małe kropki... cztery.

Gdy już napisano widzi,
Jeszcze patrzy, jeszcze bada;
Niechaj z tego nikt nie szydzi,
Bo z diabłami rzecz nielada.

Lecz jakże się musiał zdumieć,
Gdy głoska b w słowie b e d z i e
Zaczęła brzęczeć i szumieć,
I wzdymać wszystkie krawędzie.
Kręci się, beczy, podrasta,
Jak na drożdżach kawał ciasta.
Dolna litery połowa
Wykurcza się w brzuch i żebra,
U zwierchniej wypukła głowa,
Nakształt ogromnego cebra.
Szyjka jak u osy wązka,

Nosek orła, bródka kozła,
A z jednój go strony końska,
Z drugiej kurza łapka wiozła;
Pogląda okiem wołowem,
Skrzydła naksztalt młyńskich wiosel,
Był to diabeł, jednem słowem,
Był to Mefistofel poseł.

Jeszcze Tukaj nie mógł wiedzieć,
Czy żegnać, czy prosić siedzieć,
Kiedy przyskoczył zuchwalec,
Porwał za maleńki palec,
Zasadził nożyk pod skórka
I umoczył we krwi piórko,
Piórko wścibił, ścisnął w rękę,
Ręką wodzi pomaleńku,
Gdy już U, K, A, J minął,
Zrobiło się całkiem T u k a j.
Diabeł świsnął, czmychnął, zginął,
Teraz-że z nim ładu szukaj! *)

L I L I E.

(Z pieśni gminnej).

Zbrodnia to niesłychana:
Pani zabija pana,
Zabiwszy, grzebie w gaju,
Na łączce, przy ruczaju,

*) W pierwszém wydaniu, z r. 1822, znajduje się dopisek:
„Dalsze balady o Tukaju w następnych tomikach.“ Ale Mickie-
wicz nigdy dalszego ciągu nie napisał. Tukaja dokończył A. E.
Odyniec.

Grób lilią zasiewa,
Zasiewając, tak śpiewa:
„Rośnij, kwiecie, wysoko,
Jak pan leży głęboko;
Jak pan leży głęboko,
Tak ty rośnij wysoko.“

Potem cała skrwawiona,
Męża zbójczyni żona,
Bieży przez łąki, przez knieje
I górą, i dołem, i górą.
Zmrok pada, wietrzyk wieje;
Ciemno, wietrzno, ponuro.
Wrona gdzieniegdzie kracze
I puhają puhacze.

Bieży wdół do strumyka,
Gdzie stary rośnie buk,
Do chatki pustelnika:
Stuk stuk, stuk stuk.

„Kto tam?“ Spadła zaporą,
Wychodzi starzec, świeci;
Pani, nakształt upiora,
Z krzykiem do chatki leci.
„Ha! ha!“--zsiniałe usta,
Oczy przewraca w słup,
Drżąca, zbladła jak chusta;
„Ha, mąż! ha, trup!“

„Niewiasto! Pan Bóg z tobą!
Co ciebie tutaj niesie

Wieczorną słotną dobą?
Co robisz sama w lesie?“

— „Tu za lasem, za stawem,
Błyszczą mych zamków ściany,
Mąż z królem Bolesławem
Poszedł na Kijowiany.
Lato za latem bieży,
Niemasz go z bojowiska,
Ja młoda wśród młodzieży,
A droga cnoty ślizka!
Nie dochowałam wiary,
Ach! biada mojej głowie!
Król srogie głosi kary,
Powrócili mężowie.

„Ha! ha! mąż się nie dowiel
Oto krew! oto nóż!
Po nim już, po nim już!
Starcze! wyznałam szczerze.
Ty głoś świętymi usty,
Jakie mówić pacierze,
Gdzie mam iść na odpusty.
Ach, pójdę aż do piekła,
Zniosę bicze, pochodnie,
Byleby moje zbrodnie
Wieczysta noc powlekła.“

— „Niewiastol!—rzecze stary,
Więc ci nie żal rozboju,
Ale tylko strach kary?
Idź-że sobie w pokoju,

Rzuć bojaźń, rozjaśń lica,
Wieczna twa tajemnica;
Bo takie sądy boże,
Iż co ty robisz skrycie,
Mąż tylko wydać może,
A mąż twój stracił życie.“

Pani, z wyroku rada,
Jak wpadła, tak wypada.
Bieży nocą do domu,
Nic nie mówiąc nikomu.
Stoją dzieci przed bramą.
Mamo—wołają—mamo!
A gdzie został nasz tato?“
„Nieboszczyk? co? wasz tato?“
— Nie wie co mówić na to—
„Został w lesie za dworem,
Powróci dziś wieczorem.“

Czekają wieczór dzieci,
Czekają drugi, trzeci,
Czekają tydzień cały,
Nareszcie zapomniały.

Pani zapomnieć trudno,
Nie wygnać z myśli grzechu.
Zawsze na sercu nudno,
Nigdy na ustach śmiechu,
Nigdy snu na źrenicy.
Bo często w nocnej porze
Coś stuka się na dworze,
Coś chodzi po świetlicy.

„Dzieci—woła—to ja to,
To ja, dzieci, wasz tato!”

Noc przeszła, zasnąć trudno,
Nie wygnać z myśli grzechu.
Zawsze na sercu nudno,
Nigdy na ustach śmiechu.

„Idź, Hanko, przez dziedziniec,
Słyszę tentent na moście
I kurzy się gościniec,
Czy nie jadą tu goście?
Idź na gościniec i w las,
Czy kto nie jedzie do nas?”

—„Jadą, jadą w tę stronę,
Tuman na drodze wielki,
Rżą, rżą koniki wrone,
Ostre błyszczą szabelki.
Jadą, jadą panowie,
Nieboszczyka bratowie!

—„A witajże! czy zdrowa?
Witajże nam, bratowa!
Gdzie brat?”—„Nieboszczyk brat
Już pożegnał ten świat.”

—„Kiedy?”—„Dawno, rok minął,
Umarł, na wojnie zginął.”
—„To kłamstwo, bądź spokojna,
Już skończyła się wojna;
Brat zdrowy i ochoczy,
Ujrzysz go na twe oczy.”

Pani ze strachu zbladła,
Zemdląła i upadła.
Oczy przewraca w słup,
Z trwogą dokoła rzuca,
„Gdzie on? gdzie mąż? gdzie trup?“
Powoli się ocuca,
Mdląła niby z radości
I pytała u gości:
„Gdzie mąż, gdzie me kochanie?
Kiedy przedemną stanie?“

— „Powracał razem z nami,
Lecz przodem chciał pośpieszyć,
Nas przyjąć z rycerzami
I twoje łzy pocieszyć.
Dziś, jutro pewnie będzie,
Pewnie kędyś w oblędzie
Ubite minął szlaki.
Zaczekajmy dzień jaki,
Poślemy szukać wszędzie,
Dziś, jutro pewnie będzie.“

Posłali wszędzie sługi,
Czekali dzień i drugi;
Gdy nic nie doczekali,
Z płaczem chcą jechać dalej.

Zachodzi drogę pani:
„Bracia moi kochani,
Jesień zła do podróży,
Wiatry, słoty i deszcze,
Wszak czekaliście dłużej,
Czekajcie trochę jeszcze.“

Czekają. Przeszła zima,
Brata niéma i niéma.
Czekają; myślą sobie:
Może powróci z wiosną?
A on już leży w grobie,
A nad nim kwiatki rosna,
A rosna tak wysoko,
Jak on leży głęboko.
I wiosnę przeczekali,
I już nie jadą dalej.

Do smaku im gospoda,
Bo gospodyni młoda.
Że chcą jechać udają,
A tymczasem czekają,
Czekają aż do lata,
Zapominają brata.

Do smaku im gospoda
I gospodyni młoda.
Jak dwaj u niej gościli,
Tak ją dwaj polubili.
Obu nadzieja łechce,
Obadwaj zdjęci trwogą;
Żyć bez niej żaden nie chce,
Żyć z nią obaj nie mogą.
Wreszcie, na jedno zdani,
Idą razem do pani.

„Słuchaj, pani bratowo,
Przyjm dobrze nasze słowo.
My tu próżno siedzimy,
Brata nie zobaczymy.

Ty jeszcze jesteś młoda,
Młodości twojej szkoda.
Nie wiąż dla siebie świata,
Wybierz brata za brata.“

To rzekli i stanęli.
Gniew ich i zazdrość piecze,
Ten to ów okiem strzeli,
Ten to ów słówko rzecze;
Usta sine przycięli,
W rękę ściskają miecze.

Pani ich widzi w gniewie,
Co mówić, sama nie wie,
Prosi o chwilkę czasu,
Bieży zaraz do lasu,
Bieży wdół do strumyka,
Gdzie stary rośnie buk,
Do chatki pustelnika,
Stuk stuk, stuk stuk.
Całą mu rzecz wyklada,
Pyta się, co za rada?

— „Ach, jak pogodzić braci?
Chcą mojej ręki oba,
Ten i ten się podoba,
Lecz kto weźmie? kto straci?
Ja mam maleńkie dziatki
I wioski, i dostatki.
Dostatek się zmitręza,
Gdy zostałam bez męża.
Lecz ach! nie dla mnie szczęście!

Nie dla mnie już zameźcie!
Boża nademną kara,
Ściga mię nocna mara.
Zaledwie przymknę oczy,
Traf, traf, klamka odskoczy;
Budzę się: widzę, słyszę,
Jak idzie i jak dysze,
Jak dysze i jak tupa...
Ach, widzę, słyszę trupa!
Skrzyp, skrzyp i już nad łożem,
Skrwawionym sięga nożem
I iskry z gęby sypie,
I ciągnie mnie, i szczypie.
Ach, dosyć, dosyć strachu,
Nie siedzieć mi w tym gmachu,
Nie dla mnie świat i szczęście,
Nie dla mnie już zameźcie!“

— „Córko!—rzecze jej stary,
Niemasz zbrodni bez kary;
Lecz jeśli szczerą skrucha,
Zbrodniarzów Pan Bóg słucha.
Znam ja tajnie wyroku,
Miłą ci rzecz obwieszczę;
Choć mąż zginął od roku,
Ja go wskrzeszę dziś jeszcze.“

— „Co, co? jak, jak? mój ojczel
Nie czas już, ach, nie czas!
To żelazo zaboje
Na wieki dzieli nas!
Ach znam, że warta kary

I zniosę wszelkie kary,
Byle się pozbyć mary,
Zrzekę się mego zbioru
I pójdę do klasztoru,
I pójdę w ciemny las.
Nie, nie wskrzeszaj, mój ojczy!
Nie czas już, ach nie czas!
To żelazo zabójcze
Na wieki dzieli nas!“

Starzec westchnął głęboko
I łzami zalał oko,
Oblicze skrył w zasłonie,
Drżące załamał dłonie:
— „Idź za mąż, póki pora,
Nie lękaj się upiora.
Martwy się nie ocuci,
Twarda wieczności brama;
I mąż twój nie powróci,
Chyba zawołasz sama.

— „Lecz jak pogodzić braci?
Kto weźmie, a kto straci?“
— „Najlepsza będzie droga,
Zdać się na los i Boga.
Niechaj-że z ranną rosą
Pójdą i kwiecie zniosą,
Niech każdy weźmie kwiecie
I wianek tobie splecie,
I niechaj doda znaki,
Żeby poznać, czyj jaki,
I pójdzie w kościół boży,
I na ołtarzu złoży:

Czyj pierwszy weźmiesz wianek,
Ten mąż twój, ten kochanek.“

Pani, z przestrogi rada,
Już do małżeństwa skora,
Nie boi się upiora;
Bo w myśli swęj układa,
Nigdy w żadnej potrzebie
Nie wołać go do siebie.
I z tych układów rada,
Jak wpadła, tak wypada.
Bieży prosto do domu,
Nic nie mówiąc nikomu,
Bieży przez łąki, przez gaje,
I bieży, i staje,
I staje, i myśli, i słucha,
Zda się, że ją ktoś goni
I że coś szepce do niej.
Wokoło ciemność głucha;
Echo powtarza wciąż:
„To ja, twój mąż, twój mąż!“

I staje, i myśli, i słucha,
Słucha, zrywa się, bieży,
Włos się na głowie jeży,
Wtył obejrzyć się lęka,
Coś wciąż po krzakach stęka,
Echo powtarza wciąż:
„To ja, twój mąż, twój mąż!“

Lecz zbliża się niedziela,
Zbliża się czas wesela.
Zaledwie słońce wschodzi,
Wybiegają dwaj młodzi.

Pani, wśród dziewic grona
Do ślubu prowadzona,
Wystąpi wśród kościoła
I bierze pierwszy wianek,
Obnosi go dokoła:
„Oto w wieńcu lilije,
Ach, czyjeż to są, czyje?
Kto mój mąż, kto kochanek?“

Wybiega starszy brat.
Radość na licach płonie,
Skacze i klaszcze w dłonie:
— „Tyś moja, mój to kwiat!
Między lilii kręgi
Upłotłem wstążek zwój,
To znak, to moje wstęgi!
To mój, to mój, to mój!“

— „Kłamstwo! — drugi zawoła,
Wyjdźcie tylko z kościoła,
Miejsce widzieć możecie,
Kędy rwałem to kwiecie.
Rwałem na łączce w gaju,
Na grobie przy ruczaju,
Okażę grób i źródło:
To mój, to mój, to mój!“

Kłóć się żli młodzieńce,
Ten mówi, ten zaprzecza;
Dobyli z pochew miecza.
Wszczyna się srogi bój,
Szarpia do siebie wieńce:
„To mój, to mój, to mój!“

Wtém drzwi kościoła trzasły,
 Wiatr zawiał, świece zgasły;
 Wchodzi osoba w bieli,
 Znany chód, znana zbroja.
 Staje... wszyscy zadrzeli...
 Staje, patrzy ukosem,
 Podziemnym woła głosem:
 „Mój wieniec i ty moja!
 Kwiat na mym rwany grobie.
 Mnie, księżu, stulą wiąż!
 Zła żono, biada tobie,
 To ja, twój mąż, twój mąż!
 Żli bracia! biada obu!
 Z mego rwaliście grobu,
 Zawieście krwawy bój.
 To ja, twój mąż, wasz brat,
 Wy moi, wieniec mój!
 Dalej na tamten świat!“

Wstrzęsła się cerkwi posada,
 Z zrębu wysuwa się zrąb,
 Sklep trzeszczy, głąb zapada,
 Cerkiew zapada w głąb.
 Ziemia ją z wierzchu kryje,
 Na niej rosną lilije,
 A rosną tak wysoko,
 Jak pan leżał głęboko.

DUDARZ.

(Myśl z pieśni gminnej).

Jakiż to dziadek, jak gołąb siwy,
Z siwą aż do pasa brodą?
Dwaj go chłopczyki pod rękę wiodą,
Wiodą mimo naszej niwy.

Starzec na lirze brząka i nuci;
Chłopcy dmą w dудeczki z piórek.
Zawołam starca, niech się zawróci
I przyjdzie pod ten pagórek.

„Zawróć się, starcze, tu na igrzysko,
Tu się po siewbie weselim;
Co nam dał Pan Bóg, tём się podzielim,
I do wsi na noc ztąd blisko.“

Posłuchał, przyszedł, skłonił się nisko
I usiadł sobie pod miedzą;
Przy nim po bokach chłopczyki siedzą,
Patrząc na wiejskie igrzysko.

Tu brzmia piszczałki, biją bębenki,
Płoną stosy suchych drewek;
Piją staruszki, skaczą panienki,
Obchodząc święto dosiewek.

Milczą piszczałki, głuchną bębenki,
Porzuca ogień gromadka;
Biegą staruszki, biegą panienki,
Biegą do dudarza dziadka.

„Witaj, dudarzu! witamy radzi,
W wesolej przychodzisz dobie;
Pewnie zdaleka Pan Bóg prowadzi?
Pogrzej się i spocznij sobie.“

Wiodą gdzie ogień, gdzie stół z murawy,
Sadzą dudarza pośrodku:
„Może pozwolisz na trochę strawy,
Albo na szklaneczkę miodku?

„Widzim i lirę, widzim piszczałki,
Zagraj co nam samotrzeci;
Napełnim za to tłomok, kobiałki
I będziemy wdzięczni waszeci.“

— „No, stójcież cicho—rzekł do gromadki,
Cicho — powtarza — w dłoń klaska.
Jeżeli chcecie, zagram wam, dziatki.
A cóż wam zagrać?“— „Co łaska!“

Wziął w ręce lirę i szklanę sporą,
Miodem pierś starą zagrzewa,
Mrugnął na chłopców, ci dudki biorą,
Brząknął, nastroił i śpiewa:

„Idę ja Niemnem, jak Niemen długi,
Od wioseczki do wioseczki,
Z borku do borku, z smugów na smugi,
Śpiewając moje piosneczki.

„Wszyscy się zbiegli, wszyscy słuchali,
Ale nikt mię nie rozumie;
Ja łązy ocieram, westchnienia tłumię
I idę dalej a dalej!

„Kto mię zrozumie, ten się uzali
I w białe uderzy dłonie,
Uroni łezkę—i ja uronię,
Ale już nie pójdę dalej.“

A wtém grać przestał. Nim znowu zacznie,
Przelotem spojrział po błoni;
Lecz w jedną stronę spoziera bacznie,
Któż tam stoi na ustroniu?

Stała pasterka i plotła wieniec,
To uplecie, to rozplecie;
A obok przy niej stoi młodzieniec
I splecione przyjął kwiecie.

Spokojność duszy z jej widać czoła,
Ku ziemi spuszczone oko;
Nie była smutna ani wesoła,
Tylko coś myśli głęboko.

Jak puszkciem chwieje trawka zielona,
Choć wiatr przestanie oddychać,
Tak się na piersiach chwieje zasłona,
Chociaż westchnienia nie słysząc.

Wtém z piersi listek żółkły odepnie,
Listek nieznanego drzewa;
Spojrzy nań, rzuci i zcicha szepnie,
Jakby się na listek gniewa.

Odwraca głowę, odeszła nieco,
Podniosła w niebo źrenice;
Nagle na oczach łezki zaświecą
I róż wystąpił na lice.

A dudarz mileczy, brząka powoli,
A wzrok utopił w pasterce,
Utopił w licu, lecz wzrok sokoli
Zdał się przedzierać aż w serce.

Znowu wziął lirę i spory dzbanek,
Miodem pierś starą zagrzewa,
Skinął na chłopców, ci do multanek,
Brząknął, nastroił i śpiewa:

„Komu ślubny splatasz wieniec
Z róż, lilii i tymianka?
Ach, jak szczęśliwy młodzieniec,
Komu ślubny splatasz wieniec!

„Pewnie dla twego kochanka?
Wydają łyzy i rumieniec.
Komu ślubny splatasz wieniec
Z róż, lilii i tymianka?

„Jednemu oddajesz wieniec
Z róż, lilii i tymianka;
Kocha cię drugi młodzieniec,
Ty jednemu oddasz wieniec.

„Zostawże łyzy i rumieniec
Dla nieszczęsnego kochanka,
Gdy szczęśliwy bierze wieniec
Z róż, lilii i tymianka.“ *)

*) Te tryolety wyjęte są z poezyj Tomasza Zana. (P. p.)

Na to szmer powstał, różne pogłoski
Pomiędzy ciżbą przytomną,
Tę piosnkę śpiewał ktoś z naszêj wioski,
Lecz kto i kiedy, nie pomną.

Starzec ucisza, podnosi rękę:
„Słuchajcie dzieci, zawoła,
Powiem od kogo mam tę piosenkę,
Może on był z tego siola.

„Kiedym, wędrując przez kraje cudze,
Królewiec zwiedził przechodem,
Wtenczas przyplłynął z Litwy na strudze
Pasterz jakiś z tych stron rodem.

„Smutny był bardzo, ale przyczyny
Smutku nie mówił nikomu;
Odbił się potêm od swêj drużyny
I nie powrócił do domu.

„Często widziałem, czy świecą zorza,
Czyli księżyc w pełnym blasku,
Jak on po błoniach albo u morza
Po nadbrzeżnym błdził piasku.

„Pośród skał nieraz, podobny skale,
Na deszczu, wietrze i chłodzie,
Odludny dumał, wiatrom swe żale,
A łąy powierzając wodzie.

„Szedłem ku niemu; spozierał smutnie,
Ale odemnie nie stronił;
Ja-m, nic nie mówiąc, nastroił lutnię,
Zaśpiewał, w struny zadzwonił.

„Łzy mu się rzucą, lecz skinął czołem,
 Że się to granie podoba;
 Ścisnął za rękę, ja go ścisnąłem
 I zapłakaliśmy oba.

„Poznaliśmy się lepiej nawzajem
 I byliśmy przyjaciela.
 On zawsze milczał swoim zwyczajem
 I ja mówiłem niewiele.

„Potem, gdy troską strawiony długą
 Już nie mógł rady dać sobie,
 Ja towarzyszem, ja byłem sługą,
 Ja-m go pilnował w chorobie.

„Nędzny, w mych oczach gasnął powoli.
 Raz mię przywołał do łóża:
 „Czuję — rzekł — blizki koniec niedoli,
 Niech się spełni wola boża.

„Zgrzeszyłem tylko, że moje lata
 Tak się nadaremnie starły;
 Ale bez żalu schodzę ze świata,
 Dawno już na nim umarły.

„Kiedy mię skał tych dzikich zakątek
 Ukrył przed gminu obliczem,
 Odtąd już dla mnie świat ten był niczem,
 Żyłem na świecie pamiątek.

„Ty, coś mi wiernym został do grobu,
 Kończył, ściskając za rękę,
 Nagrodzić tobie nie mam sposobu,
 Wszakże to, co mam, poświęcę.

„Znasz piosnkę, którą-m po tyle razy
Śpiewał, płacząc nad mym losem;
Pomnisz zapewne wszystkie wyrazy
I wiesz, jakim śpiewać głosem.

„Mam jeszcze z bladych włosów zawiązkę
I zeschły cyprysu listek;
Naucz się piosnki, weź tę gałązkę,
To mój na ziemi skarb wszystek.

„Idź, może znajdziesz na brzegach Niemna
Tę, której już nie obaczę;
Może jęj piosnka będzie przyjemna,
Może nad listkiem zapłacze,

„Nagrodzi starca, do domu przyjmie,
Powiedz...“ Wtém oko ściemniało,
A w ustach Panny Najświętszėj imię
Wpół-wymówione zostało.

„Silił się jeszcze i w samym skonie
Napróžno coś wyrzec żądał;
Wskazał ku sercu i ku tēj stronie,
Na którą żyjąc poglądał.“

Tu przerwał dudarz i szukał okiem,
Dostając listek z papierka,
Lecz już nie była między natłokiem
Ta, której szukał, pasterka.

Zdaleka tylko poznał sukienkę,
Bo w chustce skryła twarz boską;
Jakiś młodzieniec wiódł ją pod rękę,
Już ich nie widać za wioską.

Przybiegła zgraja gdzie starzec siedział:
„Co to jest?“ wszyscy pytają.
On nic nie wiedział, może i wiedział,
Ale nie mówił przed zgrają.

UCIECZKA.

On wojuje—rok upłynął,
On nie wraca—może zginął.
Panno, szkoda młodych lat,
Od księżęcia jedzie swat.

Księżę ucztuje we dworze,
A panna płacze w komorze.

Jêj źrenice, błyskawice,
Dziś jak dwie mętne krynice;
Jêj lica, pełnia księżycy,
Dziś nikną jak księżyc w nowiu.
Biada wdziękom, biada zdrowiu!

Matka troszczy się i biedzi;
Księżę dał na zapowiedzi.

Swadźba jedzie, szumnie, tłumnie.
„Nie powiozą do ołtarza,
Powiozą mnie do cmentarza,
A pościelą chyba w trumnie!
Ja umrę, gdy on nie żyje,
Ciebie, matko, żal zabijel“

Ksiądz w konfesyonale siedzi:
„Czas, o córko, do spowiedzi.“

Przyszła kuma, wiedźma stara:
„Wypędź księdza, wypędź klechę!
Bóg i wiara—sen i mara!
Kuma w biedzie ma pociechę,
Kuma stara umie wiele,
Ma kwiat paproć i car ziele,
A ty masz kochanka dary.
Przyszłam zrobić możne czary.

„Włosy jego w węża splącz,
Dwie obrączki razem złącz,
Z lewej ręki krwi usącz;
A na węża będziem kłać,
W dwie obrączki będziem dąć:
Musi przyjść i ciebie wziąć.“

Panna grzeszy—jeździec śpieszy;
Klęto ducha—klątwy słucha;
Już odemknął zimny gmach:
Panno! panno! czy nie strach?

Ucichł, usnął dzwon zamkowy;
Panna czuwa. Na zegarze
Bije północ: milczą straże,
Panna słyszy dźwięk podkowy...
Brytan, jakby głosu nie miał,
Zawył zcicha i oniemiał.

Skrzypnęły dolne podwoje,
Stąpa ktoś w przysionkach długich

I otwiera się drzwi troje,
Troje drzwi jedne po drugich.
Wchodzi jeździec cały w bieli
I usiada na pościeli.

Słodko, prędko czas ucieka.
Wtém koń zarżał, jęła sowa,
Zegar wybił. „Bywaj zdrował
Koń mój zarżał, koń mój czeka;
Albo wstawaj, na koń siądz
I na wieki moją bądź!”

Miesiąc świeci; jeździec leci
Po zaroślach i po krzaczach:
Panno, panno, czy nie strach?

Rumak palem jak wiatr niesie,
Niesie lasem; głucho w lesie.
Tu i owdzie wystraszona
W suchej jodle kracze wrona,
Po łozach wilcze źrenice
Migają się jako świece.

„W cwał, mój koniu, koniu, w cwał!
Miesiąc nadół schodzi z chmur,
A nim zejdzie miesiąc z chmur,
Mamy sadzić dziesięć skał,
Dziesięć rzek i dziewięć gór.
Za godzinę pieje kur.“

„Gdzie mnie wieszysz?“ — „Gdzie? Do domu!
Dom mój na górze Mendoga;

W dzień otwarta wszystkim droga,
W nocy jeździm pokryjomu.“

—„Czy masz zamek?“—„Tak jest, zamek
I zamczysty, choć bez klamek...”“

—„Mój kochanku, konia wstrzymaj,
Ledwie dosiedzę na lęku.“

—„Moja luba, siodła imaj
Prawą ręką... Co masz w rękę?
Czy to worek do roboty?“

—„Nie, to jest Ołtarzyk złoty...”“

—„Nie czas wstrzymać! Pogoń bieży,
Słyszysz pogoń? tętnią błonia;
Tuż przed koniem przepaść leży;
Rzucaj książkę, puszczam konia!...”“

Koń, jak gdyby zbył ciężaru,
Przemknął dziesięć sążni jaru.

Lecą bagnem przez manowiec.
Pusto wkoło. Błędny ognek
Tuż przed nimi, jak przewodnik,
Od grobowca na grobowiec
Przelatuje: gdzie przeleci,
Ślad błękitny za nim świeci,
A tym śladem jeździec leci.

—„Mój kochanku, co za droga!
Tu nie znać śladu człowieka.“

—„Dobra droga, kiedy trwoga;
Krzywo jedzie, kto ucieka!

Śladów nie masz do mych włości,
Bo nie wpuszczam pieszych gości.
Bogatego wiozą cugi,
Ubogiego niosą sługi.

„W cwał, mój koniu, koniu, w cwał!
Błyska zorza z wschodnich stron,
Za godzinę bije dzwon;
Nim uderzy ranny dzwon,
Mamy sadzić parę skał,
Parę rzek i parę gór;
Za godzinę drugi kur!“

— „Mój kochanku, wstrzymaj wodze!
Koń się lęka, bokiem sadzi,
Pełno skał i drzew na drodze,
Koń o drzewo mię zawadzi.“

— „Moja luba, jakie sznurki,
Jakie wiszą tam kieszonki?“

— „Mój kochanku, to paciórki,
To szkaplerze i koronki!...“

— „Sznur przeklęty! Sznur znienacka
Rumakowi miga w oczy!
Patrz, jak zadrżał, bokiem skoczy...
Moja luba, rzuć te cacka!“

Koń, jak gdyby pozbył trwogi,
Ubiegł prosto pięć mil drogi.

— „Co to za cmentarz, mój miły?“

— „To mur, co mych zamków strzeże.“

— „A te krzyże, te mogiły?”

— „To nie krzyże, to są wieże.

Mur przeskoczym, przejdziem progi,

Tu na wieki koniec drogi.

„Stój, mój koniu, koniu, stój!

Przebyłeś, nim zapiął kur,

Tyle rzek, i skał, i gór,

A tuś zadrżał, koniu mój?

Wiem ja, koniu, czego drżysz:

Mnie i tobie boli krzyż “

— „Czegoś stanął, mój kochanku?

Zimna rosa mię splukała,

Zimno wieje wiatr poranku,

Okryj płaszczem, bo drzę cała.”

— „Moja luba, przytul skronie,

Na twych piersiach głowę złożę;

Głowa moja ogniem płonie

I kamienie ogrzać może...

„Jaki masz tam ćwiek ze stali?”

— „To krzyżyk, co matka dała.”

— „Ten krzyżyk ostry jak strzała,

Twarz mi rani, skronie pali!

Precz mi z tym ćwiekiem ze stali!”

Krzyż na ziemię padł i zniknął.

Jeździec pannę wpoły ścisnął,

Z oczu i ust ogniem błysnął;

Rumak ludzkim śmiechem ryknął;

Przeskoczyli cwałem mury,
Biją dzwony, pieją kury.
Nim ksiądz przyszedł na mszę ranną,
Zniknął koń z jedźcem i panną.

Na cmentarzu cisza była.
Stoją krzyże, głązy leżą;
Jedna bez krzyża mogiła
I ziemia ruszona świeżo.

Ksiądz nad grobem długo stał
I mszę za dwie dusze miał.

Około 1820.

RENEGAT.

(Balada turecka).

I.

Co się niedawno stało w Iranie,
Opowiem światu całemu:
Na kaszemirskim usiadł dywanie
Basza pośrodku haremu.

Pieją Greczynki, pieją Czerkieski,
Płaszają branki Kirgisa;
U tych w źrenicach szafir niebieski,
U tamtych cienie Eblisa.

Basza nie widzi, basza nie słucha;
Turban zawiesił nad okiem,
Drzemie i dymy ciągnąc z cybucha,
Okrył się wonnym obłokiem.

Wtém u wrót szczęścia hałas się wzmaga,
Rozstały się sług rzędy;
Nieznana brankę wiódł Kyzlar-aga,
Skłonił się i rzekł: „Efendy!

„Którego jasność takięj jest mocy
Między gwiazdami dywanu,
Jak śród brylantów na szatach nocy
Ognisko Aldeboranu!

„Racz ku mnie błysnąć, gwiazdo dywanu!
Bom dobrych nowin tłumaczem:
Oto służebny wiatr z Lechistanu
Darzy cię nowym haraczem.

„Padyszach nie ma takięj krzewiny
W sadzie rozkoszy w Stambule;
Ona jest rodem z zimnëj krainy,
Którą wspominasz tak czule.“

Tu gazę, co jęj wdzięki przygasza,
Odślonił;—cały dwór klasnął;
Spojrzał raz na nią trzytulny basza,
Wypuścił cybuch i zasnął.

Chyli się na bok, turban mu spada,
Biegą przebudzić—o dziwy!
Usta zsiniałe, twarz śmiercią blada,
Basza renegat nieżywy!

II.

„O dziwy! zgroza!—wołają janczary
I mędrce w prawie ćwiczeni,
Tę Nazaretkę, za okropne czary,
Zakopiem w stosie kamieni.

„Owoż to Hassan, ów renegat basza,
Sroższy nad lwa i tygrysa,
Co go nie tknęła żadna dziewa nasza,
Ni Dżurdżystanu hurysa;

„On, gdy hanowi na srebrny półmisek
Rzucił łeb księcia Iflaku,
Wdzięczny mu Hagan dziesięć odalisek
Z własnego przysłał orszaku.

„Wszystkiemi wzgardził! Teraz go zabija
Postać lękliwej gazeli;
Jako motyla łada modra żmija
Promieniem oczu zastrzeli.

„Niechże tę żmiję bej na pastwę czerni
Z warownej straży przywiedzie!
Już od godziny zebrali się wierni
I kady z miasta już jedzie...”

Przyjechał kady, zbierają kamienie;
Czekają—próżna nadzieja!
Bej nie przychodzi, odbite więzienie:
Ani dziewicy ni beja!...

CZATY.

Balada ukraińska.

Z ogrodowej altany wojewoda zdyszany
Bieży w zamek z wściekłością i trwogą.
Odchyliwszy zasłony, spojrzał w łóżę swej żony,
Pojrzał, zadrżał, nie znalazł nikogo.

Wzrok opuścił ku ziemi i rękami drżącemi
Siwe wąsy pokręca i duma.
Wzrok od łóża odwrócił, w tył wyloty zarzucił
I zawołał kozaka Nauma.

„Hej, kozaku, ty chamiel! czemu w sadzie przy bramie
Niema nocą ni psa, ni pacholka?...
Weź mi torbę borsuczą i janczarkę hajduczą,
I mą strzelbę gwintówkę zdejm z kołka.“

Wzięli bronie, wypadli, do ogrodu się wkradli,
Kędy szpaler altanę obrasta.
Na darniowem siedzeniu coś bieleje się w cieniu:
To siedziała w białiznie niewiasta.

Jedną ręką swe oczy kryła w puklach warkoczy
I pierś kryła pod rąbek białizny;
Drugą ręką od łona odpychała ramiona
Kłęczącego u kolan mężczyzny.

Ten, ściskając kolana, mówił do niej: „Kochana!
Więc już wszystko, jam wszystko utracił?
Nawet twoje westchnienia, nawet ręki ściśnienia,
Wojewoda już zgóry zapłacił?

„Ja, choć z takim zapalem tyle lat cię kochałem,
Będę kochał i jęczał daleki;
On nie kochał, nie jęczał, tylko trzosem zabrzęczał,
Tyś mu wszystko sprzedała na wieki!

„Co wieczora on będzie, tonąc w puchy łabędzie,
Stary łeb na twém łonie kołysał,
I z twych ustek różanych, i z twych liców rumianych
Mnie wzbronione słodczye wysysał!

„Ja na wiernym koniku, przy księżycu promyku,
Biegę tutaj, przez chłody i słoty,
Bym cię witał westchnieniem i pożegnał życzeniem
Dobręj nocy i długiej pieśzcoty!...”

Ona jeszcze nie słucha; on jęj szepce do ucha
Nowe skargi, czy nowe zaklęcia;
Aż wzruszona, zemdlona, opuściła ramiona
I schyliła się w jego objęcia.

Wojewoda z kozakiem przyklęknęli za krzakiem
I dobyli z za pasa naboje;
I odcięli zębami i przybili szteflami
Prochu garść i grankulek we dwoje.

„Panie! kozak powiada, jakiś bies mię napada,
Ja nie mogę zastrzelić tój dziewczki;
Gdym półkurcze odwodził, zimny dreszcz mię przecho-
I stoczyła się łza do panewki.“ [dził

„Ciszěj, plemię hajducze, ja cię płakać nauczę!
Masz tu z prochem leszczyńskim sakiewkę;
Podsyp zapal, a żywo zczyść paznogciem krzesiwo,
Potém palnij w twój łeb, lub w tę dziewczkę.

„Wyżej, w prawo, pomału, czekaj mego wystrzału:
Pierwej musi w łeb dostać pan młody.“

Kozak odwiódł, wycelił, nie czekając wystrzelił
I ugodził w sam łeb—wojewody.

Około 1820.

TRZECH BUDRYSÓW.

(Balada litewska).

Stary Budrys trzech synów, tęgich jak sam Litwinów,
Na dziedziniec przyzywa i rzecze:

„Wyprowadźcie rumaki i narządźcie kulbaki,
A wyostrzcie i groty i miecze.

„Bo mówiono mi w Wilnie, że otrąbią niemylnie
Trzy wyprawy na świata trzy strony:

Olgięd ruskie posady, Skirgiełł Lachy sąsiady,
A ksiądz Kiejstut napadnie Teutony.

„Wyście krzepcy i zdrowi, jedźcie służyć krajowi,
Niech litewskie prowadzą was bogi!
Tego roku nie jadę, lecz jadącym dam radę:
Trzej jesteście i macie trzy drogi.

„Jeden z waszych biedz musi za Olgiędem ku Rusi,
Po nad Ilmen, pod mur Nowogrodu;
Tam sobole ogony i srebrzyste zasłony
I u kupców tam dziengi jak lodu.

„Niech zaciągnie się drugi w księdza Kiejstuta cugi,
Niechaj tępi Krzyżaki psubraty;

Tam bursztynu jak piasku, sukna cudnego blasku
I kapłańskie w brylantach ornaty.

„Za Skirgiełłem niech trzeci po za Niemen przeleci;
Nędzne znajdzie tam sprzęty domowe,
Ale za to wybierze dobre szable, puklerze
I mnie ztamtąd przywiezie synowę.

„Bo nad wszystkich ziem branki milsze Laszki ko-
Wesołutkie jak młode koteczki. [chanki,
Lice bielsze od mleka, z czarną rzęsą powieka,
Oczy błyszczą się jak dwie gwiazdeczki. *)

„Ztamtąd ja przed pół wiekiem, gdym był młodym czło-
Laszkę sobie przywiozłem za żonę, [wiekiem,
A choć ona już w grobie, jeszcze dotąd ją sobie
Przypominam, gdy spojrzę w tę stronę.“

Taką dawszy przestrogę, błogosławił na drogę.
Oni wsiedli, broń wzięli, pobiegli.
Idzie jesień i zima, synów niema i niema;
Budrys myślał, że w boju polegli.

Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.

*) W Albumie Piotra Moszyńskiego znajduje się też i ba-
lada Trzech Budrysów. Oprócz kilku drobnych odmian, czy-
tamy tam następną, w wielu wydaniach opuszczoną strofę:

„Piersi twarde jak gruszki, a tak małe ich nóżki,
Że za trzewik dziewczynie swawolnój
Często służy kwiat pewny, zwany trepkim królewny,
Kwiat nie większy od lilii polnój.“

„Ej to kubeł, w tym kubie nowogrodzkie są ruble!“
— „Nie, mój ojczy, to Laszka synowa!“

Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.
„Pewnie z Niemiec, mój synu, wiesz kubie burszty-
— „Nie, mój ojczy, to Laszka synowa.“ nu?“

Po śnieżystej zamieci, do wsi jedzie mąż trzeci;
Burka pełna, zdobyczy tam wiele,
Lecz nim zdobycz pokazał, stary Budrys już kazał
Prosić gości na trzecie wesele.

Około 1828.

OBJAŚNIENIA.

Str. 14. Świtezianka.

Jest wieść, że na brzegach Świtezi pokazuja się
ondiny czyli nimfy wodne, które gmin nazywa Ś w i -
t e z i a n k a m i.

Str. 28. Kurhanek - pagórek.

Str. 34. To lubię.

Ta balada jest tłumaczeniem wiejskiej pieśni.
(Jakkolwiek zawiera opinie fałszywe i z nauką o czyściu
niezgodne, nie śmieliśmy nic odmieniać, aby tem wy-
raźniej zachować charakter gminny i dać poznać zabo-
bonne mniemania ludu naszego. Najbliżniejsze zaś
jest zakończenie tej pieśni, przez śpiewanie Anioł
Pański). *)

*) Ustęp objęty (. . .) znajduje się w nocie do wydania
wileńskiego z roku 1822.

Str. 74. Ucieczka.

Ta powieść znajoma jest ludom wszystkich krajów chrześcijańskich. Poeci rozmaicie ją przerabiali; Bürger ułożył z niej sławną swoją *Lenore*. Nie znając piosnki gminnej niemieckiej, nie można wiedzieć, o ile Bürger rzecz i styl odmienił. Niniejszą baladę ułożyłem podług piosnki, którą niegdyś słyszałem w Litwie śpiewaną po polsku. Treść i układ zachowałem wiernie, ale wierszy gminnych ledwie kilka zostało mi się w pamięci i te służyły mi za wzór stylu.

Str. 75. Ma kwiat paproć i car ziele.

Zioła używane do gusłów w Litwie.

Str. 76. Dom mój na górze Mendoga.

Góra Mendoga pod Nowogródkiem, obrócona na cmentarz; ztąd w tamtych okolicach Litwy: „pójść na Mendogową górę“ znaczy umrzeć.

Str. 81. Odślonik;—cały dwór klasnął.

Wyrażenie europejskie. W duchu wschodnim należałoby powiedzieć: cały dwór włożył do ust otwartych milczenia palec podziwu.

Str. 85. A ksiądz Kiejstut napadnie Tentony.

Ksiądz po staremu, zamiast: ksiązę.

SONETY.

SONETY EROTYCZNE. *)

Quand' era in parte altr' uom da quel, ch'io sono.
Petrarcą

I.

PRZYPOMNIENIE.

Lauro! czyliż te piękne wieków naszych lata
Jeszcze się kiedy twojêj malują pamięci,
Kiedyśmy sami tylko i sobą zajęci,
Dbać nie chcieli o resztę obcego nam świata?

Chłodnik, co się zielonym jaśminem wypłata,
Strumień, co z miłym szmerem po łące się kręci;
Tam nas często, wzajemne tłumaczących chęci,
Późnêj nocy miłośćna osłoniła szata.

A księżyc, zpod bladego wyjrzawszy obłoku,
Śnieżne piersi i złote rozświecał pierścienie,
Boskiego wdziękom twoim przydając uroku.

*) Sonet „Przypomnienie“ wyszedł po raz pierwszy z druku w r. 1822; sonet „Poezyo, gdzie cudny pędzel twojêj ręki“ napisany był prawdopodobnie w początkach r. 1827; wszystkie inne, zarówno erotyczne jak krymskie, wyszły z druku po raz pierwszy w r. 1826; czas ich napisania przypada w mniejszêj części na lata 1822 — 1824, w większêj na r. 1825 i początek 1826-go.

Wtenczas serca porywa słodkie zachwycenie,
Usta się spotykają, oko ginie w oku,
Łza ze łzą i z westchnieniem miesza się westchnienie!

II.

DO LAURY.

Ledwie cię zobaczył, jużem się zapłonił,
W nieznanej oku dawniej znajomości pytał
I z twych jagód wzajemny rumieniec wykwitał,
Jak z róży, której piersi zaranek odsłonił.

Ledwieś piosnkę zaczęła, jużem łzy uronił;
Twój głos wnikał do serca i za duszę chwytał;
Zdało się, że ją anioł po imieniu witał
I w zegar niebios chwilę zbawienia zadzwonił.

O luba! niech twe oczy przyznać się nie boją!
Jeśli cię męm spojrzeniem, jeśli głosem wzruszę,
Nie dbam, że los i ludzie przeciwko nam stoją,

Że uciekać i kochać bez nadziei muszę!
Niech ślub ziemski innego darzy ręką twoją,
Tylko wyznaj, że Bóg mi poślubił twą duszę.

III.

Mówię z sobą, z drugimi płaczę się w rozmowie;
Serce bije gwałtownie, oddechem nie władnę,
Iskry czuję w żrenicach, a na twarzy bladnę;
Niejeden z obcych głośno pyta o me zdrowie,

Albo o mym rozumie coś na ucho powie.
Tak cały dzień przemęczę. Gdy na łożę padnę,
W nadziei, że snem chwilę cierpieniom ukradnę,
Serce ogniste mary zapala w mój głowie.

Zrywam się, biegnę, składam na pamięć wyrazy,
Którymi mam złorzeczyć okrucieństwu twemu,
Składane, zapomniane po milion razy.

Ale gdy ciebie ujrzę, nie pojmuję czemu,
Znowu jestem spokojny, zimniejszy nad głązy,
Aby goreć nanowo—milczeć podawnemu.

IV.

Nieuczona twa postać, niewymyślne słowa,
Ani lice, ni oko nad inne nie błyska,
A każdy rad cię ujrzeć, rad posłyszeć zblizka,
Choć w ubraniu pasterki, widno, żeś królowa.

Wczoraj brzmiały i pieśni i głośna rozmowa;
Pytano się o twoich rówiennic nazwiska,
Ten im pochwały sypie, inny żarty ciska:
Ty weszłaś, każdy święte milczenie zachowa.

Tak wśród uczty, gdy śpiewak do chóru wyzywał,
Gdy koła tańczące wiły się po sali,
Nagle staną i zmilkną; każdy zapytywał,

Nikt nie wiedział dlaczego w zadumieniu stali.
„Ja wiem, rzecze poeta—anioł przelatywał.“
Uczcili wszyscy gościa; niewszyscy poznali.

V.

WIDZENIE SIĘ W GAJU.

„Tyżeś-to i tak późno?“—„Błądną miałem drogę
Śród lasów, przy niepewnym księżycu promyku.
Tęskniłaś? myślisz o mnie?“—„Luby niewdzięczniku!
Pytaj się, czy ja myśleć o czém inném mogę!“

—„Pozwól uścisnąć dłonie, ucałować nogę.
Ty drżysz! czego?“—„Ja nie wiem. Błądząc po gaiku,
Lękam się szmeru liścia, nocnych ptaków krzyku;
Ach! musimy być winni, kiedy czuję trwogę!“

—„Spójrzij mi w oczy, w czoło: nigdy z takim czołem
Nie idzie zbrodnia, trwoga nie patrzy tak śmieie.
Przebóg! jesteśmy-ż winni, że siedzimy społem?“

„Wszak siedzę tak daleko, mówię tak niewiele
I zabawiam się z tobą, mój ziemski aniele,
Jak gdybyś już niebieskim stała się aniołem.“

VI.

Potępi nas świętoszek, rozpustnik wyśmieję,
Że chociaż samotnemi otoczeni ściany,
Chociaż ona tak młoda, ja tak zakochany,
Przecież ja oczy spuszcza, a ona łązy leje.

Ja bronię się ponętom; ona i nadzieje
Chce odstraszyć, co chwila brząkając kajdany,
Któremi ręce związał nam los opłakany.
Nie wiemy sami, co się w sercach naszych dzieje.

Jest-że to ból lub rozkosz? Gdy czuję ściśnienia
Twych dłoni, kiedy z ustek zachwyce płomienia...
Luba! czyż mogę temu dać imię cierpienia?

Ale kiedy się łzami nasze lica zroszą,
Gdy się ostatki życia w westchnieniach unoszą...
Luba! czyliż to mogę nazywać rozkoszą?

VII.

RANEK I WIECZÓR.

Słońce błyszczy na wschodzie w chmur ognistych wianku
A na zachodzie księżyc blade lice mroczy;
Róża za słońcem pączki rozwinięte toczy,
Fijołek klęczy, zgięty pod kroplami ranku.

Laura błysnęła w oknie. Ukląknęłam na ganku;
Ona, muskając sploty swych złotych warkoczy:
„Czemu—rzekła—tak rano smutne macie oczy,
I miesiąc, i fijołek, i ty, mój kochanku?“

W wieczór przyszedłem nowym bawić się widokiem.
Wraca księżyc—twarz jego pełna i rumiana,
Fijołek podniósł listki otrzeźwione mrokiem.

Znowu stanęła w oknie moja ukochana,
W piękniejszym jeszcze stroju i z weselszemu okiem.
Znowu u nóg jej klęczę—tak smutny jak zrana.

VIII.

DO NIEMNA.

Niemnie, domowa rzeko moja! Gdzie są wody,
Które niegdyś czerpałem w niemowlęce dłonie,
Na których potem w dzikie pływałem ustronie,
Sercu niespokojnemu szukając ochłody?

Tu Laura, patrząc z chlubą na cień swęj urody,
Lubiła włos zaplatać i zakwiecać skronie;
Tu obraz jęj malowny w srebrnej fali łonie
Łzami nieraz mąciłem, zapaleniec młody!

Niemnie, domowa rzeko! gdzież są tamte źródła,
A z niemi tyle szczęścia, nadziei tak wiele?
Kędy jest miłe latek dziecinnych wesele?

Gdzie miłsze burzliwego wieku niepokoje?
Kędy jest Laura moja? gdzie są przyjaciele?...
Wszystko przeszło... a czemuż nie przejdą łzy moje?

IX.

BŁOGOSŁAWIENSTWO.

(Z Petrarki).

Błogosławiony rok ów, miesiąc i niedziela,
I dzień ów, i dnia częśćka, i owa godzina,
I chwila, i to miejsce, gdzie moja dziewczyna
Uczucia mi natchnęła, choć ich nie podziela.

Błogosławione oczki blasku i wesela,
Zkąd amorek wygląda i łuczek napina;
Błogosławiony łuczek, strzałki i chłopczyna,
Co do mnie wówczas strzelił, ach! i dotąd strzela.

Błogosławię ci pierwsza piosnko nieuczona,
Którą odbiły lasy domowe i rzeki,
Którą potem ojczysta powtarzała strona.

Błogosławię ci pióro, którem w czas daleki
Wślawiałem ją, i moja pierś błogosławiona,
W której Laura mieszkała i mieszka na wieki!

X.

(Z PETRARKI)

Senuccio i'vo'che sappi.

Chcecie wiedzieć co cierpię, równiennicy moi?

Odmaluję najwierniej ile pióro zdoła.

Mary ja dotąd, pośród pamiątek kościoła,

Myślą gonię i duch mój o przeszłości roi.

Tu zwykła igrać, owdzie zamyślona stoi,

Tam z niechęcią twarz kryła, tu mię okiem woła,

Tu gniewna, tam posepna, tu znowu wesola,

Tu swe lica w łagodność, tu w powagę stroi.

Tam piosenkę nuciła, tu mi dłoń ścisnęła,

Tu usiadła, tam naszęj rozmowy początek,

Ztąd biegła, tu na piasku imię moje kręśli,

Tam słówko powiedziała, tu zcicha westchnęła,

Tam się zarumieniła.—Ach, śród tych pamiątek

Wiecznie miota się serce i płaczą się myśli!

XI.

STRZELEC.

Widziałem jak dzień cały, pośród letniej spieki,
Błąkał się strzelec młody. Stał nad strumieniem,
Długo poglądał wkoło i rzecze z westchnieniem:
„Chcę ją widzieć, nim kraj ten opuszczę na wieki.

„Chcę widzieć niewidziany.“ Wtém leci z za rzeki
Konna łowczyni, strojua Dyany odzieniem;
Wstrzymuje konia, staje, zwraca się wejrzeniem,
Zapewne jechał za nią towarzysz daleki.

Strzelec cofnął się, zadrżał i oczy Kaima
Zataczając po drodze, gorzko się uśmiechał,
Drżącą ręką broń nabił, dąsa się i zżyma...

Odszedł nieco, jakoby swęj myśli zaniechał.
Wtém dojrzał mgłę kurzawy, wzniesioną broń trzyma,
Bierze na cel; mgła bliżej, lecz nikt nie nadjechał.

XII. *)

Poezyo! gdzie cudny pędzel twojój ręki?
Gdy chcę malować, za cóż myśli i natchnienia
Wyglądają z wyrazów, jak z za krat więzienia,
Kryjących i szpecących tak ubogie wdzięki?

Poezyo! gdzie twoje melodyjne dźwięki?
Śpiewam—ona mojego nie usłyszy pienia,

*) Z Albumu Piotra Moszyńskiego.

Jako słowik, król śpiewu, nie słyszy strumienia,
Który w podziemnej głębi rozwodzi swe jęki.

Nietylko dźwięk i kolor—aniołowie myśli,
Lecz i pióro, roboczy niewolnik poety,
Na cudzej ziemi nie zna praw dawnego pana

I zamiast pieśni, znaki niepojęte kręśli:
Muzyczne znaki pieśni... Lecz ta pieśń, niestety,
Nigdy jej miłym głosem nie będzie śpiewana!

XIII.

REZYGNACYA.

Nieszczęśliwy, kto próżno o wzajemność woła;
Nieszczęśliwszy jest, kogo próżne serce nudzi;
Lecz ten u mnie ze wszystkich nieszczęśliwszy ludzi,
Kto nie kocha—że kochał zapomnieć nie zdoła.

Widząc jaskrawe oczy i bezwstydną czoła,
Pamiętkami zatruwa rozkosz, co go łudzi;
A jeśli wdzięk i cnota czucie w nim obudzi,
Nie śmie z przekwitłym sercem iść do stóp anioła.

Albo drugimi gardzi, albo siebie wini;
Minie ziemiankę, z drogi ustąpi bogini,
A na obiedwie patrząc, żegna się z nadzieją.

I serce ma podobne do dawniej świątyni,
Spustoszałej niepogód i czasów koleją,
Gdzie bóstwo nie chce mieszkać, a ludzie nie śmieją.

XIV.

DO ***.

Patrzysz mi w oczy, wzdychasz? Zgubna twa prostota!
Lękaj się jadu, który w oczach żmii płonie;
Uciekaj, nim cię oddech zatruty owionie,
Jeśli nie chcesz kląć reszty twojego żywota.

Szczerość—jeszcze mi jedna pozostała cnota:
Wiedz, że niegodny ogień zapalasz w mém łonie;
Lecz umiem żyć samotny—i pocóż przy zgonie
Ma się wikłać w me losy niewinna istota?

Lubię rozkosz, lecz zwodzić nadto jestem dumny.
Tyś dziecko; mnie namiętne przepaliły bole;
Tyś szczęśliwa, twe miejsce w biesiadników kole,

Moje, gdzie są przeszłości cmentarze i trumny.
Młody bluszczu, zielone obwijaj topole,
Zostaw cierniom grobowe otaczać kolumny.

XV.

Pierwszy raz jam niewolnik z mojej rad niewoli;
Patrzę na ciebie—z czoła nie znika pogoda;
Myślę o tobie—z myśli nie znika swoboda;
Kocham ciebie, a przecież serce mi nie boli.

Nieraz brałem za szczęście chwileczkę swawoli,
Nieraz mię obłąkała wyobraźnia młoda,
Albo słówka zdradliwe i wdzięczna uroda,
Lecz wtenczas i rozkosznej zlorzeczyłem doli.

Nawet owę, gdy owę kochałem niebiankę,
Ileż łez, jaki zapach, jaka niegdyś trwoga
I żal teraz na samę imienia jęj wzmiankę!

Z tobą tylkom szczęśliwy, z tobą, moja droga!
Bogu chwała, że taką zdarzył mi kochankę,
I kochance, że uczy chwalić Pana Boga.

XVI.

Luba! ja wzdycham; pamięć niebieskiej pieszczoty
Trują mi okropnego rozmyślenia chwile.
Ach! może serce twoje, co cierpiało tyle,
Może—boję się wyrzec—pustoszą zgryzoty?

Luba! i cożeś winna, że twych ocząt groty
Tak palące, że usta śmieją się tak mile?
Zbyt ufałaś męj cnocie, zbyt swój własnej sile
I nazbyt ognia Stwórcy wlał w nasze istoty.

Przewalczyliśmy wiele i dni i tygodni,
Młodzi, zawsze samotni, zawsze z sobą w parze,
I byliśmy oboje długo siebie godni.

Teraz, ach! pójdę łzami oblewać ołtarze,
Nie będę mojej żebrać przebaczenia zbrodni,
Tylko niech mię Bóg twoją zgryzotą nie karze.

XVII.

DZIEŃDOBRY.

Dzieńdobry! Nie śmiem budzić. O, wdzięczny widoku!
Jęj duch napoły w rajskie wzleciał okolice,
Napoły został, boskie ożywiając lice,
Jak słońce napół w niebie, pół w srebrnym obłoku.

Dzieńdobry! Już westchnęła, błysnął promyk w oku.
Dzieńdobry! Już obraża światłość twe źrenice,
Naprzykrzają się ustom muchy swawolnice.
Dzieńdobry! Słońce w oknach, ja przy twoim boku.

Niosłem słodszy dzieńdobry; lecz twe senne wdzięki
Odebrały mi śmiałość! Niech się wprzódzy dowiem:
Złaskawem wstajesz sercem, zorzeźwionem zdrowiem?

Dzieńdobry! Nie pozwalasz ucałować ręki?
Każesz odejść? Odchodzę: oto masz sukienki,
Ubierz się i wyjdź prędko—dzieńdobry ci powiem.

XVIII.

D O B R A N O C.

Dobranoc! Już dziś więcej nie będziem bawili,
Niech snu anioł modremi skrzydły cię otoczy.
Dobranoc! Niech odpoczną po łzach twoje oczy;
Dobranoc! Niech się serce pokojem zasili.

Dobranoc! Z każdą ze mną przemówioną chwilą
Niech zostanie dźwięk jakiś cichy i uroczy;

Niechaj gra w twojém uchu, a gdy myśl zamroczy,
Niech się mój obraz sennym żrenicom przymili.

Dobranoc! Obróć jeszcze raz na mnie oczęta,
Pozwól lica. — Dobranoc! Chcesz na sługi klasnąć?
Daj mi pierś ucałować... Dobranoc!... zapięta...

Dobranoc! Już uciekłaś i drzwi chcesz zatrzasnąć?
Dobranoc ci przez klamkę. Niestety! zamknięta!
Powtarzając dobranoc, nie dałbym ci zasnąć.

XIX.

DOBRYWIECZÓR.

Dobrywieczór! On dla mnie najśłodszém życzeniem.
Nigdy, czy to przed nocą dzieli nas zaporą,
Czyli mię ranna znowu przywołuje pora,
Nie żegnam się, nie witam z takiem zachwyceniem,

Jak w tę chwilę, wieczornym ośmielony cieniem.
Ty nawet, milczeć rada i płonąć się skora,
Gdy usłyszysz życzenie dobrego wieczora,
Żywszém okiem, głośniejszém rozmawiasz westchnie-
[niem.

Niechaj dzieńdobry wschodzi tym, co społem żyją,
Objaśniać pracę, która ich ręce jednoczy;
Dobranoc niech szczęśliwych kochanków otoczy,

Gdy z rozkoszy kielicha trosk osłodę piją;
A tym, co się kochają i swą miłość kryją,
Dobrywieczór niech przyćmi zbyt wymowne oczy.

XX.

DO D. D.

Wizyta.

Ledwie wnijdę, słów kilka przemówię z nią samą,
Jużci dzwonek przeraża; wpada galonowy;
Za nim wizyta, za nią ukłony, rozmowy;
Ledwie wizyta z bramy, już druga za bramą.

Gdybym mógł, progi wilczą otoczyłbym jamą,
Stawiłbym lisie pastki, kolczate okowy,
A jeśli niedość bronią, uciecbym gotowy
Na tamten świat, stygową zasłonić się tamą.

O, przeklęty nudziarzu! Ja liczę minuty,
Jak zbrodniarz, co go czeka ostatnia katusza;
Ty pleciesz błahe dzieje wczorajszej reduty...

Już bierzesz rękawiczki, szukasz kapelusza:
Teraz odetchnę nieco, wstąpi we mnie dusza.
O bogi! Znowu siada, siedzi jak przykuty!

XXI.

DO WIZYTUJĄCYCH.

Pragniesz miłym być gościem? czytaj rady moje:
Niedość, wszedłszy, donosić, o czem wszyscy wiedzą,
Że dzisiaj tam walczą, ówdzie obiad jedzą,
Zboże tanie, deszcz pada, a w Grecji rozboje.

Jeśli w salonie znajdziesz bawiących się dwoje,
Zważaj, czy cię z ukłonem, z rozmową uprzedzą,
Czyli daleko jedno od drugiego siedzą,
Czy wszystko jest na miejscu, czy w porządku stroje.

Jeśli pani co wyraz zaśmiać się gotowa,
Choć usta śmiać się nie chcą: jeśli panicz z boku
Pogląda i zegarek dobywa i chowa,

I grzeczność ma na ustach, a coś złego w oku;
Wiesz jak ich trzeba witać? „Bywaj zdrów, bądź zdro-
A kiedy ich masz znowu odwiedzić?—Po roku. [wa!*

XXII.

POŻEGNANIE.

Do D. D.

Odpychasz mię?—Czym twoje serce już postradał?
Lecz jam go nigdy nie miał! Czyli broni cnota?
Lecz ty pieścisz innego! Czy że nie dam złota?
Lecz jam go wprzód nie dał, a ciebie posiadał.

I niedarmo!—Choć skarbów przed tobą-m nie składał,
Ale mi drogo każda kupiona pieszczota
Na wagę duszy mojej, pokojem żywota.
Dlaczegoż mię odpychasz? Nadaremniem badał.

Dziś odkrywam łakomstwo nowe w sercu twojem:
Pochwalnych wierszy chciałaś!—Marny pochwał dymiel!
Dla nich więc igrasz z bliźnich szczęściem i pokojem?

Nie kupić Muzy! W każdym ślizgałem się rymie.
Gdym szedł na Parnas z lauru wieńczyć cię zawojem,
I ten wiersz wraz mi stwardniał, żem wspomniął twe
[imię.

XXIII.

D A N A I D Y.

Płci piękna! Gdzie wiek złoty, gdy za polne kwiaty,
Za haftowane kłosem majowe sukienki,
Kupowano panięskie serduszka i wdzięki,
Gdy do luběj gołębia posyłano w swaty?

Dzisiaj wieki są tańsze, a droższe zapłaty.
Ta, którěj złoto daję, prosi o piosenki;
Ta, którěj serce daję, żądała mój ręki;
Ta, którą opiewałem, pyta, czym bogaty.

Danaidy! Rzucałem w bezdeń waszěj chęci
Dary, pieśni i we łzach roztopioną duszę;
Dziś, z hojnego—jam skąpy, z czulego—szyderca.

A choć mię dotąd jeszcze nadobna twarz nęci,
Choć jeszcze was opiewać i obdarzać muszę,
Lecz dawniej wszystko dałbym, dziś wszystko—prócz
[serca.

XXIV.

E K S K U Z A.

Nuciłem o miłośkach w równienników tłumie;
Jedni mię pochwalili, a drudzy szeptali:
Ten wieszcz kocha się tylko, męczy się i żali,
Nic innego nie czuje, lub śpiewać nie umie.

W dojrzałe wchodząc lata, przy starszym rozumie
Czemu serce płomykiem tak dziecinny pali?
Czyliż mu na to wieszcz głoś bogowie dali,
Aby o sobie tylko w każdej nucił dumie?

Wielkomyślna przestroga! Wnet z górnemi duchy
Alcejski chwytam bardon i strojem Ursyna
Ledwie zaczął przegrywać, aż cała drużyna

Rozpierzchła się, unosząc zadziwione słuchy.
Zrywam struny i w Letę ciskam bardon głuchy.
Taki wieszcz, jaki słuchacz. Lecz przyjdzie godzina...

OBJAŚNIENIA.

Str. 107 Alcejski chwytam bardon i strojem Ursyna...

Bardon, czyli lutnia alcejska, tak nazwana od sławnego liryka greckiego Alceusza, który urodzony w Mitylenie, żył około roku 604 przed Chrystusem. — Ursyn, przydomek Juliana Niemcewicza.

Str. 107. Zrywam struny i w Letę ciskam bardon głuchy.

Leta, rzeka zapomnienia w Elizyum, z której piły dusze zmarłych, aby zapomnieć doznanych na ziemi cierpień; a kiedy po kilku wiekach w inne wracały ciała, znowu z niej pić miały, aby wygluzować z pamięci tajemnice tamtego świata. (Mytologiczne)

SONETY KRYMSKIE.

Wer den Dichter will verstehen,
Muss in Dichters Lande gehen.
Goethe.

TOWARZYSZOM PODRÓŻY KRYMSKIEJ
AUTOR.

I.

STEPY AKERMAŃSKIE.

Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu;
Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi;
Śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi,
Omijam koralowe ostrowy burzanu.

Już mrok zapada, nigdzie drogi, ni kurhanu...
Patrzę w niebo, gwiazd szukam, przewodniczek łodzi;
Tam zdala błyszczy obłok, tam jutrozenka wschodzi;
To błyszczy Dniestr, to weszła lampa Akermanu.

Stójmy!—Jak cicho!—Słyszę ciągnące zórawie,
Którychby nie dościgły źrenice sokoła;
Słyszę, kędy się motyl kołysa na trawie,

Kędy wąż śliską piersią dotyka się ziola...
W takięj ciszy tak ucho natężam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy.—Jedźmy! nikt nie woła...

II.

CISZA MORSKA.

Na wysokości Tarkankut.

Już wstążkę pawilonu wiatr zaledwie muśnie;
Cichemi gra piersiami rozjaśniona woda,
Jak marząca o szczęściu narzeczona młoda
Zbudzi się, aby westchnąć, i wnet znowu uśnie.

Żagle, nakształt chorągwi, gdy wojnę skończono,
Drzemią na masztach nagich; okręt lekkim ruchem
Kołysa się, jak gdyby przykuty łańcuchem;
Majtek wytchnął, podróżne rozśmiało się grono.

O morze! pośród twoich wesołych żyjatek
Jest polip, co śpi na dnie, gdy się niebo chmurzy,
A na ciszę długimi wywija ramiony;

O myśli! w twojęj głębi jest hydra pamiętek,
Co śpi wpośród złych losów i namiętnej burzy,
A gdy serce spokojne, zatapia w niem szpony.

III.

ŻEGLUGA.

Szum większy, gęściej morskie snują się straszydła;
Majtek wbiegł na drabinę; gotujcie się, dzieci!

Wbiegł, rozciągnął się, zawisł w niewidzialnej sieci,
Jak pająk czatujący na skinienie sidła.

Wiatr! wiatr! Dąsa się okręt, zrywa się z wędzidła,
Przewala się, nurkuje w pienistej zamieci,
Wznosi kark, zdeptał fale i wskróś niebios leci,
Obłoki czołem sieka, wiatr chwyta pod skrzydła.

I mój duch masztu lotem buja wśród odmętu,
Wzdyma się wyobraźnia jak warkocz tych żagli.
Mimowolny krzyk łączę z wesołym orszakiem,

Wyciągam ręce, padam na piersi okrętu,
Zdaje się, że pierś moja do pędu go nagli:
Lekko mi! rzeźwo! lubo! wiem, co to być ptakiem!

IV.

B U R Z A.

Zdarto żagle, ster prysnął, ryk wód, szum zawiei,
Głosy trwożnej gromady, pomp złowieszcze jęki;
Ostatnie liny majtkom wyrwały się z ręki;
Słońce krwawo zachodzi, z niem reszta nadziei.

Wicher z tryumfem zawył; a na mokre góry,
Wznoszące się piętrami z morskiego odmętu,
Wstąpił geniusz śmierci i szedł do okrętu,
Jak żołnierz szturmujący w połamane mury.

Ci leżą napół martwi, ów załamał dłonie,
Ten w objęcia przyjaciół, żegnając się, pada,
Ci modlą się przed śmiercią, aby śmierć odegnać.

Jeden podróżny siedział w milczeniu na stronie
I pomyślił: szczęśliwy, kto siły postrada,
Albo modlić się umie, lub ma z kim się żegnać.

V.

WIDOK GÓR ZE STEPÓW KOZŁOWA.

PIELGRZYM I MIRZA.

PIELGRZYM.

Tam!... czy Allah postawił ścianą morze lodu?
Czy aniołom tron odlał z zamrożonej chmury?
Czy Diwy z ćwierci lądu dźwignęły te mury,
Aby gwiazd karawany nie puszczać ze wschodu?

Na szczycie jaka łuna! pożar Carogrodu!
Czy Allah, gdy noc chylał rozciągnęła bury,
Dla światów żeglujących po morzu natury
Tę latarnię zawiesił wśród niebios obwodu?

MIRZA.

Tam?... Byłem; zima siedzi, tam dzioby potoków
I gardła rzek widziałem pijące z jej gniazda;
Tchnąłem, z ust mych śnieg leciał; pomykałem kroków,

Gdzie orły dróg nie wiedzą, kończy się chmur jazda;
Minąłem grom drzemiący w kolebce z obłoków,
Aż tam, gdzie nad mój turban była tylko gwiazda:
To Czatyrdah!

PIELGRZYM.

Aa!!

VI.

BAKCZYSARAJ.

Jeszcze wielka, już pusta Girajów dziedzina!
Zmiotane czołem baszów ganki i przedsienia,
Sofy, trony potęgi, miłości schronienia,
Przeskakuje szarańcza, obwija gadzina.

Skróś okien różnofarbnych powoju rośliną,
Wdzierając się na głuche ściany i sklepienia,
Zajmuje dzieło ludzi w imię przyrodzenia
I pisze Baltazara głoskami „R U I N A.“

W środku sali wycięte z marmuru naczynie:
To fontanna haremu; dotąd stoi cało
I perłowe lzy sącząc, woła przez pustynie:

Gdzież jesteś, o miłości, potęgo i chwało?
Wy macie trwać na wieki, źródło szybko płynie.
O hańbo! wyście przeszły, a źródło zostało!

VII.

BAKCZYSARAJ W NOCY.

Rozchodzą się z dżamidów pobożni mieszkańce,
Odgłos izanu w cichym gubi się wieczorze;
Zawstydziło się licem rubinowem zorze,
Srebrny król nocy dąży spocząć przy kochance.

Błyszczą w haremie niebios wieczne gwiazd kagańce;
Śród nich po szafirowym żeglują przestworze
Jeden obłok, jak senny labędź na jeziorze,
Pierś ma białą, a złotem malowane krawce.

Tu cień pada z menaru i wierzchu cyprysa,
Dalej czernią się kołem olbrzymy granitu,
Jak szatany siedzące w dywanie Eblisa,

Pod namiotem ciemności; niekiedy z ich szczytu
Budzi się błyskawica i pędem Farysa
Przelatuje milczące pustynie błękitu.

VIII.

GRÓB POTOCKIEJ.

W kraju wiosny, pomiędzy rozkosznemi sady,
Uwiedłś, młoda różo! Bo przeszłości chwile,
Ulatując od ciebie jak złote motyle,
Rzuciły w głębi serca pamiątek owady.

Tam na północ, ku Polsce, świecą gwiazd gromady,
Dlaczegoż na tęj drodze błyszczą się ich tyle?
Czy wzrok twój ognia pełen, nim zgasnął w mogile,
Tam wiecznie lecąc, jasne powypalał ślady?

Polko! i ja dni skończę w samotnej żałobie;
Tu niech mi garstkę ziemi dłoń przyjazna rzuci.
Po różni często przy twym rozmawiają grobie,

I mnie wtenczas dźwięk mowy rodzinnej ocuci,
I wieszcz, samotną piosnkę dumając o tobie,
Ujrzy bliską mogiłę i dla mnie zanuci.

IX.

MOGIŁY HAREMU.

Mirza do Pielgrzyma.

Tu z winnicy miłości niedojrzałe grona
Wzięto na stół Allaha; tu perełki Wschodu
Z morza uciech i szczęścia porwała zamłodu
Truna, koncha wieczności, do mrocznego łona.

Skryła je niepamięci i czasu zasłona;
Nad niemi turban zimny błyszczy wśród ogrodu,
Jak buńczuk wojska cieniów, i ledwie u spodu
Zostały dłonią giaura wyryte imiona.

O wy, róże edeńskie! u czystości stoku
Odkwitnęły dni wasze pod wstydu liśćiami,
Na wieki zatajone niewiernemu oku.

Teraz grób wasz spojrzenie cudzoziemca plami...
Pozwalam mu, darujesz, o wielki Proroku!
On jeden z cudzoziemców poglądał ze łzami.

X.

BAJDARY.

Wypuszczam na wiatr konia i nie szczędzę razów;
Lasy, doliny, głazy, w kolei, w natłoku
U nóg mych płyną, giną, jak fale potoku;
Chcę odurzyć się, upić tym wirum obrazów.

A gdy spieniony rumak nie słucha rozkazów,
Gdy świat kolory traci pod całunem zmroku,
Jak w rozbitym zwierciadle, tak w mém piekłem oku
Snują się mary lasów i dolin i głazów.

Ziemia śpi, mnie snu niema. Skaczę w morskie łona;
Czarny, wydęty bałwan z hukiem na brzeg dąży,
Schylam ku niemu czoło, wyciągam ramiona,

Pęka nad głową fala, chaos mię okraży;
Czekam, aż myśl, jak łódka wirami kręcona,
Zbłąka się i na chwilę w niepamięć pograży.

XI.

AŁUSZTA W DZIEN.

Już góra z piersi mgliste otrząsa chylaty,
Rannym szumi namazem niwa złotokłosa,
Kłania się las i sypie z majowego włosa,
Jak z różańca kalifów, rubin i granaty.

Łąka w kwiatach; nad łąką latające kwiaty,
Motyle różnofarbne, niby tęczy kosa,
Baldakimem z brylantów okryły niebiosą;
Dalej szarańcza ciągnie swój całun skrzydlaty.

A kędy w wodach skała przegląda się łysa,
Wre morze i odparte z nowym szturmem pędzi;
W jego szumach gra światło, jak w oczach tygrysa,

Sroższą zwiastując burzę dla ziemskiej krawędzi,
A na głębini fala lekko się kołysa
I kąpią się w niej floty i stada łabędzi.

XII.

AŁUSZTA W NOCY.

Rzeźwią się wiatry, dzienna wolnieje posucha;
Na barki Czatyrdahu spada lampa światów,
Rozbija się, rozlewa strumienie szkarłatów
I gaśnie Błędny pielgrzym ogląda się, słucha.

Już góry poczerniały, w dolinach noc głucha,
Źródła szemrzą jak przez sen na łożu z bławatów;
Powietrze tchnące wonią, tą muzyką kwiatów,
Mówi do serca głosem tajemnym dla ucha.

Usypiam pod skrzydłami ciszy i ciemnoty.
Wtém budzą mię rażące meteoru błyski,
Niebo, ziemię i góry oblał potop złoty!...

Nocy wschodnia! ty, nakształt wschodniej odaliski,
Pieszczotami usypiasz, a kiedym snu blizki,
Ty iskrą oka znowu budzisz do pieszczoty.

XIII.

CZATYRDAH.

Mirza.

Drżąc, muślemin całuje stopy twój opoki,
Maszcie krymskiego statku, wielki Czatyrdahu!
O minarecie świata! o gór padyszachul
Ty nad skały poziomu uciekłszy w obłoki,

Siedzisz sobie pod bramą niebios, jak wysoki
Gabryel, pilnujący edeńskiego gmachu;
Ciemny las twoim płaszczem, a janczary strachu,
Twój turban z chmur haftują błyskawic potoki.

Nam, czy słońce dopieka, czyli mgła ocienia,
Czy szarańcza plon zetnie, czy gjaur pali domy,
Czatyrdahu, ty zawsze głuchy, nieruchomy,

Między światem i niebem jak drogman stworzenia,
Podesławszy pod nogi ziemię, ludzi, gromy,
Słuchasz tylko, co mówi Bóg do przyrodzenia.

XIV.

PIELGRZYM.

U stóp moich kraina dostatków i krasy,
Nad głową niebo jasne, obok piękne lice.
Dlaczegoż ztąd ucieka serce w okolice
Dalekie i—niestety!—jeszcze dalsze czasy?

Litwo! Piały mi wdzięczniej twe szumiące lasy,
Niż słowiki Bajdaru, Salhiry dziewice,
I weselszy deptałem twoje trzęsawice,
Niż rubinowe morwy, złote ananasy.

Tak daleki!—tak różna wabi mię ponęta!
Dlaczegoż roztargniony wzdycham bez ustanku
Do téj, którą kochałem w dni moich poranku?

Ona w lubéj dziedzinie, która mi odjęta,
Gdzie jęj wszystko o wiernym powiada kochanku,
Depcąc świeże me ślady, czyż o mnie pamięta?

XV.

DROGA NAD PRZEPAŚCIĄ W CZUFUT-KALE.

MIRZA I PIELGRZYM.

MIRZA.

Zmów pacierz, opuść wodze, odwróć nabok lica;
Tu jeździec końskim nogom swój rozum powierza.
Dzielny koń! Patrz, jak staje, głąb okiem rozmierza,
Uklęka, brzeg wiszaru kopytem pochwycą

I zawisnął.—Tam nie patrz! Tam spadła żrenica,
Jak w studni Al-Kairu, o dno nie uderza;
I ręką tam nie wskazuj; nie masz u rąk pierza;
I myśli tam nie puszczaj, bo myśl, jak kotwica

Z łodzi drobněj ciśniona w niezmierność głębiny,
Piorunem spadnie, morza do dna nie przewierci
I łódź z sobą przechyli w otchłanie chaosu.

PIELGRZYM.

Mirzo, a ja spojrzałem! Przez świata szczeliny
Tam widziałem —com widział, opowiem—po śmierci,
Bo w żyjących języku niema na to głosu.

XVI.

GÓRA KIKINEIS.

MIRZA.

Spojrzyj w przepaść! Niebiosą leżące nadole,
To jest morze. Śród fali, zda się, że ptak-góra,
Piorunem zastrzelony, swe masztowe pióra
Roztoczył kręgiem, szerszym niż tęczy półkole,

I wyspą śniegu nakrył błękitne wód pole.
Ta wyspa żeglująca w otchłani—to chmura!
Z jej piersi na pół świata spada noc ponura.
Czy widzisz płomienistą wstążkę na jej czole?

To jest piorun.—Lecz stójmy! otchłanie pod nogą;
Musim wawóz przesadzić w całym konia pędzie.
Ja skaczę; ty z gotowym biczem i ostrogą,

Gdy zniknę z oczu, patrzaj w owe skał krawędzie.
Jeśli tam pióro błysnie, to mój kołpak będzie;
Jeżeli nie — już ludziom nie jechać tą drogą.

XVII.

RUINY ZAMKU W BAŁAKŁAWIE.

Te zamki połamane w zwaliska bez ładu,
Zdobiły cię i strzegły, o niewdzięczny Krymie!
Dzisiaj sterczą na górach jak czaszki olbrzymie;
W nich gad mieszka, lub człowiek podlejszy od gadu.

Szczeblujmy na wieżycę. Szukam herbów śladu;
Jest i napis; tu może bohatera imię,
Co było wojsk postrachem, w zapomnieniu drżemie,
Obwinione, jak robak, liściem winogrodu.

Tu Grek dłutował w murach ateńskie ozdoby,
Ztąd Italczyk Mongołom narzucał żelaza
I mekański przybylec nucił pieśń namaza.

Dziś sępy czarnem skrzydłem oblatują groby,
Jak w mieście, które całkiem wybije zaraza,
Wiecznie z baszt powiewają chorągwie żałoby.

XVIII.

A J U D A H.

Lubię poglądać, wsparty na Judahu skale,
Jak spienione bałwany to w czarne szeregi
Ścisnąwszy się, buchają, to jak srebrne śniegi
W milionowych tęczach kołują wspaniale,

Trącą się o mieliznę, rozbijają na fale,
Jak wojsko wielorybów zalegając brzegi,
Zdobędą łąd w tryumfie i napowrót zbiegi,
Miecą za sobą muszle, perły i korale.

Podobnie na twoje serce, o poeto młody!
Namiętność często groźne wzburza niepogody;
Lecz gdy podniesiesz bardon, ona bez twojej szkody
Ucieka w zapomnienia pograżyć się toni
I nieśmiertelne pieśni za sobą uroni,
Z których wieki uplotą ozdobę twych skroni. *)

JASTRZĄB,

na wysokości Kikineis (do *).

Biedny jastrząb, wśród niebios porwała go chmura,
W obcy zaniósł żywioł i dalekie strony;
Morską przesiąkły rosą, wichrami znużony,
Śród ludzi na tym maszcie roztoczył swe pióra.

Lecz go żadna bezbożna nie pochwyci ręka;
Bezpieczny, jakby siedział na leśnej gałęzi.
On jest gościem, Giovanni—kto gościa uwięzi,
Jeżeli jest na morzu, niech się burzy lęka.

Wspomnij na moje, wspomnij na twoje własne dzieje;
I tyś na życia morzu—widziałaś straszidła,
I mnie wicher odpędził, słota zlała skrzydła.

Pocóż te słowa miłe, te zdradne nadzieje?
Sama w niebezpieczeństwie, drugim stawisz sidła...

*) Załączamy tu w przypisku niezupełny sonet p. n. „Jastrząb,” według rękopisu, który ze zbiorów Maurycego Wolffa ogłosił Z. L.

OBJAŚNIENIA.

Str. 109. Omijam koralowe ostrowy burzanu.

Na Ukrainie i Pobereżu nazywają burzanami wielkie krzaki ziela, które w czasie lata kwieciami okryte, nadają przyjemną rozmaitość płaszczyznom.

Str. 112. Czy Diwy z ćwierci ładu dźwignęły te mury.

Diwy, podług starożytniej mytologii Persów, złosiwe geniusze, które niegdyś panowały na ziemi, potem wygnane przez aniołów, mieszkają teraz na końcu świata, za górą Kaf.

Str. 112. Na szczycie jaka łuna! pożar Carogrodu!

Wierzchołki Czatyrdahu po zachodzie słońca, skutkiem odbijających się promieni, przez czas jakiś zdają się być w ogniu.

Str. 112. Czy Allah, gdy noc chylat rozciągnęła bury.

Chylat, suknia honorowa, którą sułtan obdaru wielkich urzędników państwa.

Str. 112. To Czatyrdah!

Najwyższa w pasmie gór krymskich na brzegu południowym; daje się widzieć zdaleka, niemal na 200 wiorst, z różnych stron, w postaci olbrzymiej chmury sinawego koloru.

Str. 113. Baczysaraj.

W dolinie otoczonej ze wszech stron górami, leży miasto Baczysaraj, niegdyś stolica Girajów, chanów krymskich.

Str. 113. I pisze Baltazara głoskami „ruina.“

„Tęże godziny wyszły palce ręki człowieczej, które pisały przeciwko świecznikowi na ścianie pałacu królewskiego, a król (Baltazar) widział część ręki, która pisała.“ Proroctwo Danielowe. V. 5, 25, 26, 27, 28.

Str. 113. Rozchodzą się z dzamidów pobożni mieszkańcy.

Mesdzid lub dziami są to zwyczajne meczety. Zewnątrz, po rogach świątyni, wznoszą się cienkie, wystrzelone w niebo wieżyczki, które minaretami — *menare* — zowią. Są one w połowie swęj wysokości otoczone galeryą, szurfe, z której muezzinowie, czyli oznajmiciele, zwołują lud na modlitwę. To zwoływanie, wyśpiewane z galeryi, zowie się *izanem*. Pięć razy na dzień, w oznaczonych godzinach, daje się słyszeć *izan* ze wszystkich minaretów, a czysty i donośny głos muezzinów przyjemnie rozlega się w powietrzkregu miast muzułmańskich, w których, z powodu nieużywania kołowych pojazdów, szczególniejsza cichość panuje. (Sękowski, *Collectanea*. T. I. str. 66).

Str. 114. Jak szatany siedzące w dywanie Eblisa.

Eblis albo Iblis lub Garazel, jest to Lucyfer u Mahometanów.

Str. 114. Budzi się błyskawica i pędem Farysa.

Farys, rycerz u Arabów-Beduinów.

Str. 114. Grób Potockiów.

Niedaleko pałacu chanów wznosi się mogiła, w guście wschodnim zbudowana, z okrągłą kopułą. Jest powieść między pospółstwem w Krymie, że ten pomnik wystawiony był przez Kerym Giraja dla niewolnicy, którą nadzwyczajnie kochał. Niewolnica miała być Polka, z domu Potockich. Autor uczenie i pięknie napisanej Podróży po Krymie, Murawiew-Apostół, utrzymuje, że powieść ta jest bez zasady i że grobowiec kryje zwłoki jakiejś Gruzinki. Nie wiemy, na czem opiera swoje mniemanie; bo zarzut, iż Tatarowie w połowie ośmnastego wieku tak łatwo niewolnic z domu Potockich uprowadzać nie mogli, nie jest dostateczny. Wiadome są ostatnie zaburzenia kozackie na Ukrainie, z kąd niemało ludu uprowadzono i przedano sąsiednim Tatarom. W Polsce liczne są familie szlacheckie imienia Potockich, i wspomniona branka niekoniecznie mogła należeć do znakomitego domu dziedziców Humania, który najazdem tatarskim lub rozruchom kozackim mniej był dostępnym. Z powieści gminnej o grobowcu bakeczy-sarajskim poeta rosyjski Aleksander Puszkina z właściwym sobie talentem napisał powieść: *F o n t a n n a B a k c z y s a r a j s k a*.

Str. 115. Mogiły haremów.

W rozkosznym ogrodzie, wśród wysmukłych topoli i drzew morwowych, stoją grobowce z białego marmuru chanów i sułtanów, ich żon i krewnych. W pobliskich dwóch budowach leżą trumny zwalone bez ładu; były one niegdyś bogato wybite, dziś sterczą nagie deski i szmaty całunu.

Str. 115. Nad niemi turban zimny błyszczy wśród ogrodu.

Muzułmanie nad grobami mężczyzn i niewiast stawiają kamienne zawoje, innego dla obu płci kształtu.

Str. 115. Zostały dłonią giaura wyryte imiona.

Giaur znaczy niewierny. Tak Muzułmanie nazywają chrześcian.

Str. 116. Bajdary.

Piękna dolina, przez którą zwykle wjeżdża się na brzeg południowy Krymu.

Str. 116. Ałusztą w dzień.

Jedno z miejsc najrozkoszniejszych Krymu. Tam już wiatry północne nigdy nie dochodzą i podróżny w listopadzie szuka częstokroć chłodu pod cieniem ogromnych orzechów włoskich, jeszcze zielonych.

Str. 116. Rannym szumi namazem niwa złotokłosa.

Namaz, modlitwa muzułmańska, którą odprawiają, siedząc i bijąc pokłony.

Str. 116. Jak z różańca kalfów rubin i granaty.

Muzułmanie używają w czasie modłów różańca, który u znakomitych osób z kosztownych bywa kamieni. Granatowe i morwowe drzewa, czerwieniejące się rozkosznym owocem, są pospolite na całym brzegu południowym Krymu.

Str. 118. O minarecie światła! O gór padyszachul

Padyszach, tytuł sultana tureckiego.

Str. 118. Gabryel pilnujący edeńskiego gmachu.

Zostawiam imię Gabryela, jako powszechniej znajome; ale właściwym strażnikiem niebios podług mytologii wschodniej jest Rameh — konstelacya Arc-turus—jedna z dwóch wielkich gwiazd, zwanych es semekein.

Str. 119. Niż słowiki Bajdaru, Salhiry dziewice.

Salhir, rzeka w Krymie, wypływa z podnóża Czatyrdahu.

Str. 119. Droga nad przepaścią w Czufut-kale.

Miasteczko na wyniosłej skale; domy na brzegu stojące mają podobieństwo do gniazd jaskółczych; ścieżka wiodąca na górę jest przykra i nad przepaścią wisząca. W samem mieście ściany domów łączą się prawie ze zrębem skały; spojrzawszy przez okno, wzrok gubi się w głębi niezmierniej.

Str. 119. Tu jeździec końskim nogom swój rozum powierza.

Koń krymski w trudnych i niebezpiecznych przeprawach zdaje się posiadać szczególniejszy instynkt ostrożności i pewności; nim krok postawi, trzy mając na powietrzu nogę, szuka kamienia i próbuje, czy bezpiecznie stąpać i ostać się może.

Str. 120. To jest morze. Śród fali zda się, że ptak-góra.

Ptak-góra, znajomy z Tysiąca Nocy. Jest to sławny w mytologii perskiej, powielekroć od poetów wschodnich opisywany, ptak Simurg. „Wielki on — powiada Firdusi w Szah-Nameh—jak góra, a mocny jak twierdza; słońca unosi w szponach swoich,“ i dalej: „ujrzawszy rycerzy (Simurg) zerwał się jak chmura ze skały, na której mieszka i ciągnął przez powietrze jak huragan, rzucając cień na wojska jeźdźców.“ Obacz Hammera: Geschichte der Redekünste Persiens. Wien 1818. str. 65.

Str. 120. Ta wyspa żeglująca w otchłani—to chmura!

Z wierzchołka gór wzniesionych nad krainę obłoków, jeżeli spojrzymy na chmury płynące ponad mo-

rzem, zdaje się, że leżą na wodzie, w kształcie wielkich wysp białych. Ciekawy ten fenomen oglądałem z Czatyrdahu.

Str. 121. Ruiny zamku w Bałakławie.

Nad zatoką tego imienia stoją gruzy zamku, zbudowanego niegdyś przez Greków, przychodniów z Miletu. Później Genuieńczycy wzniesli na tém miejscu twierdzę Cembalo.

PIEŚNI MIŁOSNE I RELIGIJNE.

EROTYKI I ELEGIE.

ŻEGLARZ.

O morze zjawisk! Zkąd ta noc i słota?
Była jutrznia i cisza, gdym był blizki brzegu;
Dziś jakie fale, jaki wicher miotał
Nie można płynąć, cofnąć niepodobna biegu!
A więc porzucić korab' żywota?

Szczęśliwy, czyjś przewodniczą łodzi
Cnota i Piękność, niebieskie siostrzyce!
Gdy się noc zgęszcza, wzmagają powodzi,
Ta puhar daje, ta odsłania lice,
Tamtęj widok oświeca, a tój nektar słodzi.

Szczęśliwy, samęj kto ślubował Cnocie!
Dopłyń, kędy sławy góruje opoka,
Balsam go rzymski ukrzepi w ochocie;
Ale jeżeli Piękność nie zwróci nań oka,
Dopłyń we krwi i w pocie.

A komu Piękność pokaże oblicze,
Potem wśród drogi zdradliwa odlata,
Nadziei z sobą mary unosząc zwodnicze,
Ach, jakąż później czczość w obszarach świata!
Już niedość krzepią i Cnoty słodczye.

Zamiast piękności niebieskiego wschodu,
Walczyć z ustawną burzą, jęczeć pośród cienia,
Zamiast serc czułych, trącać o pierś z lodu,
Zamiast jej rącek, chwytąć za ręce z kamienia
I długo wśród takiego nie ustać zawodu.

Zawód tak trudny! zakończyć tak snadnie!
Nie będziem dłużej ćmieni, więcej kołatani...
Lecz wszystkoż z nami w tych falach przepadnie.
Czyli kto raz wrzucony do bytu otchłani,
Nie zdoła z niej wylecieć, ani zginąć na dnie?

Co żyje, niknie: tak na mnie świat woła...
Za cóż głos ten wewnętrznej wiary nie wyziębi,
Że gwiazda ducha zagasnąć nie zdoła
I raz rzucona, krąży po niezmiernej głębi,
Póki czas wieczne toczyć będzie koła.

Któż to krzyknął od lądu? jakie słyhać zale?
Wyż to, o bracia moi, przyjaciele moi,
Dotąd stoicie na nadbrzeżnej skale
I tak się oko wasze znudzenia nie boi,
Że aż dotąd patrzycie na mnie i me fale?

Jeśli się rzucę, kędy rozpacz ciska,
Będą lzy na szaleństwo, na niewdzięczność skarga!

Bo wam mniej widne te czarne chmurzyska,
Nie słyhać zdala wichru, co tu liny targa;
Grom, co tu bije, dla was tylko błyska!

I razem zemną, pod strzałami gromu,
Co czuję, inni uczuć chcieliby daremnie!
Sąd nasz, prócz Boga, nie dany nikomu;
Chcąc mnie sądzić, nie zemną trzeba być, lecz wemnie.
Ja płynę dalej — wy idźcie do domu.

17 kwietnia 1821 r.

DO MALARZA. ¹⁾

Stwórco malownych twarzy, mocnom tobie winny,
Nad stwórcę żywych więcej tyś dla mnie uczynny.
Szczęście, wzięte z mych ramion ukazem wyroku,
Ty na wieki mojemu zapewniłeś oku.
Ztąd, chociaż zdawna wszelkim uczeniom się wstrętny,
Twojego chciałbym kunsztu stać się umiętny.
Kiedy kłótnicy trąbią adwokatom w uszy,
Za doktorem biegają trupy z resztą duszy;
Kto szczery Akadema, hołdownik Minerwie,
Żmudzkich łbów obuczaniem rychło pierś oberwie,
A mędrzec arcytworów napisawszy wiązkę,
Dym pochwał ma za napój, wawrzynu na zakąskę...
Tobie twarzyczki piękne zawsze są dokoła,
Piękny świat tylko ciebie do posługi woła,

¹⁾ Z autografu Adama Mickiewicza, znajdującego się w muzeum Raperswylskiém; pierwszy raz drukowany w „Wędrowcu“ r. 1884.

Okiem na jasne tylko kierujesz oczęta
I dłoń pięknych ciałeczek robieniem zajęta...
Malarzu czarodzieju! Od ciebie pożyczę
Odkradzione od mojej Maryi oblicze.
Wiecznie je cisnąć będę na serce uprzejme,
Z liców jej nigdy oczu i myśli nie zdejmę,
Unosząc się nadzieją, że tych rysów władza
Do reszty spsuje rozum, który mi zawadza,
I jak uczucia moje o niej nie zapomną,
Tak ją wzrok, dłoń i piersi osądzą przytomną.

1822

DO M....

Precz z moich oczu! — posłucham odrazu!
Precz z mego serca! — i serce posłucha;
Precz z mój pamięci! — Posłucham rozkazu,
Lecz pamięć będzie na rozkazy głucha! ¹⁾

Jak cień, tём dłuższy, gdy padnie zdaleka,
Tём szerzej koło żałobne roztoczy,
Tak moja postać im dalej ucieka,
Tём grubszy kirem twą pamięć pomroczy.

Na każdym miejscu i o każdej dobie,
Gdziem z tobą płakał, gdziem się z tobą bawił,

¹⁾ Poprawkę tę, zamiast zwykłego tekstu: „Nie, tego rozkazu moja i twoja pamięć nie posłucha,“ wzięto z *Biblioteki Polskiej* 1826. r. (t II), gdzie ją bezimienny korespondent pomieścił, na zasądzie autografu poety.

Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie,
Bom wszędzie częśćkę mój duszy zostawił.

Czy zadumana w samotnej komorze
Do arfy zbliżysz nieumyślną rękę,
Przypomnisz sobie: właśnie o tej porze
Śpiewałam jemu tę samą piosenkę.

Czy grając w szachy, gdy pierwszemi ściegi
Śmiertelna złowi króla twego matnia,
Pomyślisz sobie: tak stały szeregi,
Gdy się skończyła nasza gra ostatnia.

Czy to na balu w chwilach odpoczynku
Siedziesz, nim muzyk tańce zapowiedział,
Obaczysz próżne miejsce przy kominku,
Pomyślisz sobie: on tam zenną siedział.

Czy książkę weźmiesz, gdzie smutnym wyrokiem
Stargane ujrzysz kochanków nadzieje,
Złożywszy książkę, z westchnieniem głębokiem
Pomyślisz sobie: ach! to nasze dzieje...

A jeśli autor, po zawiłej probie
Parę miłosną naostatek złączył,
Zagasisz świecę i pomyślisz sobie:
Czemu nasz romans tak się nie zakończył?...

Wtém błyskawica nocna zamigoce,
Sucha w ogrodzie zaszeleści grusza
I puszczyk z jękiem w okno załopoce;
Pomyślisz sobie: że to moja dusza.

Tak w każdym miejscu i o każdej dobie,
Gdziem z tobą płakał, gdziem się z tobą bawił,
Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie,
Bom wszędzie cząstkę mej duszy zostawił.

1822.

DO MARYI P(UTTKAMEROWEJ).

(Ofiarując jej drugi tomik poezyj).

Maryo, sioostro moja!—Nie krewnym łańcuchem,
Aleśmy pobratani umysłem i duchem.
Gdy mi dziwactwo losu i twój wyrok wzbrania
Równie święte a miłsze powtarzać nazwania,
Choć innem spojrzysz okiem w przeminione lata
I pamiątki kochanka przyjmij z ręki brata...

1823.

W SZTAMBUCHU MARYLI.

Nessun maggior dolore che ricordarsi del tempo
felice nella miseria.

Bolesne mię dni błogich wspomnienie spotyka,
Chociaż mię dziś Marya w swój imionnik przymie;
Bo gdym do swego Maryą wpisał imionnika,
Wpisałem tylko jej imię.

1824 r. 22 października.

NOWY ROK.

(MYŚL Z JEAN PAULA RICHTERA).

Skonał rok stary; z jego popiołów wykwita
Feniks nowy; już skrzydła roztacza na niebie;
Świat go cały nadzieją i życzeniem wita.
Czegoż w tym nowym roku żądać mam dla siebie?

Może chwilek wesołych?—Znam te błyskawice.
Kiedy niebo otworzą i ziemię ozłocą,
Czekamy wniebowzięcia, aż nasze źrenice
Grubszą niżeli pierwej zasępią się nocą.

Może kochania?—Znam tę gorączkę młodości.
W Platońskie wznosi sfery, przed rajske obrazy,
Aż silnych i wesołych strąci w ból i mdłości,
Zsiódmego nieba w stepy, między zimne głązy.

Chorowałem, marzyłem, latałem i spadał.
Marzyłem boską różę; blizki jej zerwania,
Zbudziłem się; sen zniknął, róży nie posiadam,
Kolce w piersiach zostały.—Nie żądam kochania!

Może przyjaźni?—Któżby nie pragnął przyjaźni?
Z bogiń, które na ziemi umie młodość tworzyć,
Wszakże tę najpiękniejszą córkę wyobraźni
Najpierwszą zwykła rodzić i ostatnią morzyć.

O przyjaciele, jakże jesteście szczęśliwi,
Jako w palmie Armidy wszyscy żyjąc społem!
Jedna zaklęta dusza całe drzewo żywi,
Choć każdy listek zda się oddzielnym żywiołem.

Ale kiedy po drzewie grad burzliwy chłośnie,
Lub je żądło owadów jadowitych drażni,
Jakże każda gałązka dręczy się niezdolnie
Za siebie i za drugie!—Nie żądam przyjaźni!

I czegoż więc w tym nowym roku będę żądał?
Samotnego ustronia, dębowej pościeli,
Zkądbym już ani blasku słońca nie oglądał,
Ni śmiechu nieprzyjaciół, ni łez przyjacieli.

Tam do końca, a nawet i po końcu świata,
Chciałbym we śnie, z którego nic mię nie obudzi,
Marzyć, jak-em przemarzył moje młode lata:
Kochać świat, sprzyjać światu —zdaleka od ludzi...

Wilno 1823/4.

M A J T E K.

(W imionniku Ludwiki z Pągowskich Kostrowickiej).

„Słuchaj o majtku, nieszczęsny zbiegu,
Jakżeś nas prędko porzucił!
Od ojczystego odbijasz brzegu,
Ażebyś więcej nie wrócił.

„Przecież wkopana w ziemię żrenica
Ku nam strzeliła wesoło;
Uśmiech, gość rzadki, zstąpił na lica,
Dawna pogoda na czoło.

„Każdy się krząta, pragnie odwlekać;
Tyś jeden skoczył z pośpiechem;
Możnaż z ojczyzny śpiesznie uciekać,
Uciekać—jeszcze z uśmiechem?“

„Słuchaj, rzekł majtek, jam od lat wiele
Widział i kraj ten i ludzi,
A com ja widział, nigdy wesela
W sercu rodaka nie wzbudzi.

Widziałem mężną cnotę w ucisku,
W głowach spóółstwa ciemnotę,
W głowach rozumnych widoki zysku,
A w sercach niewiast pustotę.

Ja, co mię własne szczęście nie nęci,
Com uniesioną z powodzi
Resztę mych myśli, uczuć i chęci,
Ojczystej powierzył łodzi,

Mógłżem kosztować powabów życia,
Gdy, skoro wichher zawieje,
W ostatniej łódce, blizkiej rozbicia,
Ostatnie-m widział nadzieje? ”

*
1824.

W IMIONNIKU SALOMEI BECU.

Minęły chwile, szczęśliwsze niestety!
Kiedy na błoniach był kwiatów dostatek,
Kiedy mi łatwiej było o bukiety,
Niżeli teraz o kwiatek.

Ryknęły burze, ciągle leją słoty,
Trudno wynaleźć na ojczystej błoni,

Trudno wynaleźć, gdzie kwiat błyskał złoty,
Listka dla przyjaznej dłoni.

Co wynalazłem, niech tobie poświęcę!
Przyjmij go wdzięcznie, chociażby z tój wiary,
Iż był ten listek w przyjacielskiej ręce,
Że to ostatnie są dary.

Wilno, 1824.

W IMIONNIKU
LUDWIKI MACKIEWICZÓWNY. *

Nieznajoměj, dalekiěj, nieznany, daleki,
Kiedy nas jeszcze dalej losy chcą rozegnać,
Posyłam, by cię razem poznać i pożegnać,
Dwa wyrazy: „Witam cię!—Bądź zdrowa na wieki!“

Tak wędrowiec, zbłąkany w alpejskim parowie,
Piosnką chce nudnej drodze przyczynić wesela;
A kiedy nie ma komu śpiewać serce wdowie,
Śpiewa piosnkę kochance swego przyjaciela.
Lecz nim piosnkę przypędzą echa ku jēj stronie,
Może już podróznego wieczny śnieg pochłonie.

W IMIONNIKU H. HOŁOWIŃSKIEJ. **

Błądzącym wśród ciasnego dni naszych przestworza,
Życie jest wąską ścieżką, łączącą dwa morza:

* Napisany na prośbę jēj narzeczonego, L. Chodźki, 22 października 1824 r., na dwa dni przed wyjazdem poety z Litwy.

** Z autografu wydrukowano ten wiersz najpierw w Gazecie Codzienniej, 1860, n. 102.

Wszyscy z przeszłości mglistej w przyszłość lecim mro-
Jedni najprościej dążą i najrychlej spoczną; [czną.
Drugich na stronę wiodą łudzące widoki,
Plony, ogrójce wdzięków i sławy opoki.
Szczęśliwi, jeśli goniąc mary wyobraźni,
Przed końcem drogi znajdziem świątynię przyjaźni!

1825.

ŻEGLARZ.

(W IMIONNIKU Z. *)

Ilekróć ujrzysz, jak zhukana fala
Po głębiach barwę przerzuca tułaczą,
Niech się anielskie serce nie użala
Nad płynącego trwogą i rozpaczą!
Tę barwę wicher odbił od okrętu,
Na którym żeglarz swe nadzieje złożył;
Jeżeli wszystko jest pastwą odmętu,
Czegóżby płakał? o coby się trwożył?
Lepiej mu, pośród żywiołów bezrządu,
Walczyć co chwila z nowemi przygody,
Niż gdyby wybrnął i z cichego ładu
Patrzył na morze i liczył swe szkody.

Odessa, 1825 kwiet. 14.

*) Tytuł, datę i parę drobnych poprawek wzięliśmy z autografu, będącego w posiadaniu W. K-go. Dla kogo pisany był wiersz, nie wiemy; literę Z. podaje wydanie warszawskie z r. 1853.

W IMIONNIKU KAROLINY RZEWUSKIEJ.

Różnym losem rzuceni na świata powodzie,
Spotykamy się z sobą jak dwie różne łodzie.
Twoja, barwą nowotną i pancerzem lśniąca,
Bisiorem wiatry chwyta, nurt piersią roztrąca;
Moja, na woli burzy i morskich straszyleł,
Wyrzucona bez steru, ledwo z resztą skrzydeł.
Gdy jej owad tajemny nawskrós piersi porze,
Gdy gwiazdy chmurą zaszyły, Kompas ciskam w morze.
Rozminiem się! I kiedyż w jedną pójdziem drogę?
Ty mnie szukać nie będziesz, ja ciebie nie mogę.

ZALOTY. *

Póki córeczki opiewałem wdzięki,
Mamunia słucha, stryj czyta;
Lecz skorom westchnął do serca i ręki:
Ja słucham, cały dom pyta.

Mama o wioskach i o duszach gada,
Pan stryj o rangach, dochodach,
A pokojowa służącego bada
O mych w kochaniu przygodach.

Mamo, stryjaszku! Jedną tylko duszę
I na Parnasie mam włości;
Dochodów piórem dorabiać się muszę,
A ranga —u potomności!

* Z albumu p. Moszyńskiego.

Czym dawniej kochał? Ciekawość jałował
Czy kochać mogę? —dowiodę.
Porzuć lokaja, kotko pokojowa,
Pójdź w wieczór na mą gospodę.

DWA SŁOWA. *

Gdy sam na sam z tobą siedzę,
Nie mam czasu o nic pytać:
Patrzę w oczy, ustek śledzę,
Chciałbym wszystkie myśli czytać
Wprzód, nim w oczętach zaświecą;
Chciałbym wszystkie słówka chwycić
Wprzód, nim od ustek odlecą.

I nie potrzeba tłumaczyć,
Co chcę słyszeć, co zobaczyć:
Rzecz nietrudna i nienowa,
Moja luba! te dwa słowa:
„Kocham ciebie! kocham ciebie!”

Innego nie chcę widoku,
Kiedy z tobą będę w niebie;
Tylko niech te dwa wyrazy,
Napisane w twojem oku,
Odbite po tysiąc razy,
Widzę wszędzie wkoło siebie.

I innęj muzyki w niebie
Nie chcę od wschodu jutrzénki

Słyszeć do zachodu słońca:
„Kocham ciebie! kocham ciebie!“
Dość mi tęj jednęj piosenki
Z warjacyami bez końca.

NIEPEWNOŚĆ.

Gdy cię nie widzę, nie wzdycham, nie płaczę;
Nie tracę zmysłów, kiedy cię zobaczę;
Jednakże, gdy cię długo nie oglądam,
Czegoś mi braknie, kogoś widzieć żądam
I tęskniąc, sobie zadaję pytanie:
Czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie?

Gdy z oczu znikniesz, nie mogę ni razu
W myśli twojego odnowić obrazu;
Jednakże nieraz czuję mimo chęci,
Że on jest zawsze blisko męj pamięci,
I znowu sobie powtarzam pytanie:
Czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie?

Cierpiałem nieraz, nie myślałem wcale,
Abym przed tobą szedł wylewać żale;
Idąc bez celu, nie pilnując drogi,
Sam nie pojmuję, jak w te zajdę progi
I wchodząc sobie zadaję pytanie:
Co mię tu wiodło, miłość, czy kochanie?

Dla twego zdrowia życiabym nie skąpił;
Po twą spokojność do piekłabym zstąpił;

Choć śmiałej żądzы niema w sercu mojem,
Bym był dla ciebie zdrowiem i pokojem.
I znowu sobie zadaję pytanie:
Czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie?

Kiedy położysz rękę na me dłonie,
Luba mię jakoś spokojność owionie;
Zda się, że lekkim snem zakończę życie;
Lecz mnie przebudza żywsze serca bicie,
Które mi głośno zadaje pytanie:
Czy to jest przyjaźń, czyli też kochanie?

Kiedym dla ciebie tę piosenkę składał,
Wieszczy duch memi ustami nie władał;
Pełen zdziwienia sam się nie postrzegłem
Zkąd wzięłem myśli, jak na rymy wbiegłem,
I zapisałem na końcu pytanie:
Co mnie natchnęło—przyjaźń czy kochanie?

DO D . . . D . . .

Moja pieszczotka gdy w wesołej chwili
Pocznie szczebiotać, i kwilić, i gruchać,
Tak miłe grucha, szczebioce i kwili,
Że nie chcąc słówka żadnego postradać,
Nie śmiem przerywać, nie śmiem odpowiadać,
I tylko chciałbym słuchać, słuchać, słuchać!

Lecz mowy żywość gdy oczki zapali
I pocznie mocniej jagody różować,

Perłowe ząbki błysną wśród koralu...
Ach! wtenczas śmielej w oczęta poglądam,
Usta pomykam i słuchać nie żądam,
Tylko całować, całować, całować!

Odessa, 1825.

ROZMOWA.

Kochanko moja! na co nam rozmowa?
Czemu, chcąc z tobą uczucia podzielać,
Nie mogę duszy prosto w duszę przelać?
Za co ją trzeba rozdrabiać na słowa,
Które nim słuch twój i serce dościgną,
W ustach wietrzeją, na powietrzu stygną?

Kocham, ach! kocham, po sto razy wołam,
A ty się smucisz i zaczynasz gniewać,
Że ja kochania mojego nie zdołam
Dosyć wymówić, wyrazić, wyśpiewać
I, jak w letargu, nie widzę sposobu
Wydać znak życia, bym uniknął grobu.

Strudziłem usta daremnem użyciem,
Teraz je z twemi chcę stopić ustami
I chcę rozmawiać tylko serca biciem,
I westchnieniami, i całowaniami.
I tak rozmawiać godziny, dni, lata,
Do końca świata i po końcu świata.

Odessa, 1825.

S E N.

Chociaż zmuszona będziesz mnie porzucić,
Jeżeli serca nie zmienisz w kochaniu,
Rzucając nawet, nie chciej mnie zasmucić,
I rozstając się, nie mów o rozstaniu!

Przed smutnem jutrem, niech jeszcze z wieczora
Ostatnia spłynie na pieszczotach chwilka;
A kiedy przyjdzie rozstania się pora,
Wtenczas trucizny daj mi kropel kilka.

Do ust twych usta przycisnę; powieki
Zamykać nie chcę; gdy mię śmierć zamroczy,
Niechaj rozkosznie usypiam na wieki,
Całując lica, patrząc w twoje oczy.

A po dniach wielu, czy po latach wielu,
Kiedy mi każą mogiłę porzucić,
Wspomnisz o twoim sennym przyjacielu
I zstąpisz z niebios, aby go ocucić.

Znowu mię złożysz na twem łonie białem,
Znowu mię ramię kochane otoczy;
Zbudzę się, myśląc, że chwilkę drzemałem,
Całując lica, patrząc w twoje oczy.

Odessa, 1825.

W IMIONNIKU *.

Błogo temu, kto w twojjej pamięci utonie,
Jak ten korał, lub owa jagoda perłowa,
Co ją woda bałtycka w swém przeczystém łonie
Pod lazuruwą barwą na wieki przechowa.

Lecz ja, jak drobny kamyk, ni krasą koralu,
Ni wdziękiem perłowego dochodzący blasku,
Chciałbym choć jedną chwilkę poigrać w tēj fali,
Nim zapomniany legnę w niepamięci piasku...

W IMIONNIKU **.

Ku różnym stronom ściągaliśmy dłonie,
W różnych mieszkają światach nasze myśli,
Oczy ku różnej wyglądały stronie,
Jakże, o luba, ku sobieśmy przyszli?

Jak gwiazdy różne wielkością i kształtem,
Do przeciwnego wyrzucone biegu,
Kiedy je niebo jednostajnym gwałtem
Wiecznie odtrąca od każdego brzegu,

Wieczni wygnańcy z powszechnego świata,
Jest-że to dla nich szkodą czy korzyścią,
Że wstręt ku wszystkim znowu je pobrata
I że się muszą kochać... nienawiścią?...

DO D. D.

Elegia.

Gdybyś ty na dzień jeden była w mojej duszy,
Na dzień cały!—Nie, takiej nie życzę katuszy!
Gdyby godzinę tylko—szczęśliwe stworzenie,
Poznałabyś natenczas, co to jest cierpienie!
Myśli me na torturach, w uczuciach mych burza:
To mi gniew serce miota i czoło zachmurza,
To mię smutek w ponure zadumanie wtrąca,
To nagle oczy zaćmi żalu łza gorąca.
Ty albo od mych gniewów uciekasz ze wstrętem,
Albo lękasz się nudy z żałosnym natrętem.

Ty mię nie znasz! Namiętność zaćmiła me lice,
Ale spojrzij w głąb duszy! Tam znajdziesz skarbnice
Czułości, poświęcenia, łagodnej dobroci
I wyobraźni, która ziemską dolę złoci.
Dziś ich nie możesz dojrzeć. Wszak i na dnie fali,
Kiedy ją wichher zmiesza, kiedy piorun pali,
Czyż widać kraśne konchy, perłowe jagody?
Nim mię osądzisz, czekaj słońca i pogody!
O, gdybym zyskał pewność, że jestem kochany,
Gdybym z serca na chwilę wygnał bojaźń zmiany,
Którą mię straszy nieraz doświadczana zdrada!
O, niech będę szczęśliwym, będziesz zemnie rada!

Jak duch, przez dzielnej wróżki zaklęty wyrazy,
Żyłbym twoje wypełniać, zgadywać rozkazy,

A jeżeliby czasem duma rozdaśana
Kazała poddanemu udać humor pana,
Śmieć się luba! Choć duma przyznać się zabrania,
Sługą będę. Cóż miałbym do rozkazywania?
Abyś raczyła chwilą dłużej zemną bawić,
Podług mój woli suknię i włosy poprawić,
Abyś drobnych zatrudnień odbiegła domowych,
Słuchać starych oświadczeń i piosenek nowych?
Wszystkobyś niewielkiemi dokazała trudy,
Godziną cierpliwości, półgodziną nudy
Albo chwilką udania. Kiedy będę mniemać,
Że słuchasz rymów moich, ty mogłabyś drzemać;
Choć oczy twoje będą co innego znaczyć,
Ja chcę w nich dobro czytać, na lepsze tłumaczyć.
W twe ręce powierzwszy moję przyszłą dolę,
Na twém złożyłbym łonie mój rozum i wolę.
Pamiętki nawet serce głęboko zagrzebie,
Aby nigdy nic nie czuć oddzielnie od ciebie.
Wtenczasby dziki zapęd, co mną dotąd miota,
Wypadł z duszy, jak z łodzi miotanej niecnota,
Który burzę sprowadza i bałwany pieni,
Płynęlibyśmy cicho po życia przestrzeni;
Chociażby los groźnemi falami powiewał,
Jak syrenabym nad nie wzbijał się i śpiewał.

G O D Z I N A.

Elegia.

Przed godziną, żrenicy nie zdjawszy z zegarów,
Chciałaś naglić oczyma skazówek pochopy
I słuchem natężonym, pośród miejskich gwarów,
Rozpoznawałaś zdala łoskot mojej stopy.
Dzień miał jedną godzinę, w której—wspomnieć miło,
Że nie u mnie jednego serce żywiej biło!
Ja w tę godzinę wieczną wpleciony katuszą,
Jak Iksyon wkoło niej krążyłem z mą duszą.
Nim nadeszła, dzień cały ja na nią czekałem;
Gdy minęła, dzień cały o niej rozmyślałem,
Bawiąc się mnóstwem drobnych, lecz miłych pamiątek:
Jakie było przyjęcie, rozmowy początek,
Jak się czasem przykre mu dało wymknąć słowu,
Po niēm niezgoda, po niej milsza zgoda znowu.
Smuciłem się: ty z oczu powody wysledzasz;
Przychodziłem z prośbami: ty je dno uprzedzasz,
Drugich wymówić nie dasz; na jutro odkładam
I znowu jutro nie śmiem. Czasem gniewny wpadam:
Rozbrajasz mię uśmiechem, a gdym w gniewie przebrał,
Gniewałaś się, jam znowu przebaczenia żebrał.
Ach! każde słowo twoje, wszystkie twe spojrzenia,
Pieszczoty i nadzieje i wspólne cierpienia,
Wszystko to pamięć wiernie malowane trzymał
Przeprowadzam ten obraz przed duszy oczyma,
Jak sknera, gdy mu skarbiec udało się schwycić,
Patrzy, i schnie, i oczu nie może nasycić.

Tą godziną jam przeszłość z mą przyszłością łączył,
Od niej milsze dni zaczął i na niej zakończył.
Ona, w zbrukaném pasmie mojego żywota
Zabłysnęła mi jedna, jedna nitka złota;
Jam się do niej jak prządek skrzydlaty uczepił,
Snuł ją wkoło i w niej się na wieki zasklepił.

Słońce wbiegło w tę samą nieba okolicę,
Godzina uderzyła.—Gdzież są jęj źrenice?
Gdzie myśli?—Ona teraz w czułej pieści dłoni
Cudzą rękę, niewierna! i do cudzej skroni
Usta ciśnie i łza jęj na cudzą twarz spada,
I serce biciom cudzej piersi odpowiada.
Dziś możeby tęj nowęj pary nie rozdzielił
Piorun, któryby we mnie przed progiem wystrzelił!

Samotności wzgardzona! O tęjże godzinie
Niegdyś cię porzuciłem; wracam w twą świątynię,
Jak do piastunki dziecię ze łzami powróci,
Obłąkane na chwilę ponętą łakoci.
Daruj. Ponęta szczęścia zawsze nazbyt silna;
Zbyt trudno się przekonać, że zawždy omylna.
Może jeszcze ten ogień niegodny zatłumię;
Wszak jest nadzieja w czasie i milczącej dumie.

Lecz nadzieje dalekie! Dziś pogoda nęci
W polach, w niebie, na falach szukać niepamięci.
Czas przechadzki: dlaczegoż me odejście zwlekam?
Za każdém drzwi ruszeniem jęj posłańca czekam!
Niekiedy rąk jęj zradne charaktery czytam,
Niekiedy mój zegarek bez potrzeby chwytam.
Raz porwałem się z miejsca, stanąłem u progu:
Ach! była to godzina dawna;—moc nałogu.

Jak ten, co mu śmierć lubą wydarła osobę,
Mimo dotkliwą boleść i długą żalobę,
Zabłąkawszy się w myślach—niestety, błąd luby!
Na chwilę, mgnienie oka, zapomni swój zguby,
Bieży i tak się mocno złudzeniem omami,
Że już progi przestąpił i zalał się łzami.

1825.

W DZIEŃ ODJAZDU. *

Cóż—choć miasto porzucę, choćby z oczu znikli
Mieszkańce, którzy do mnie sercem nie przywykli,
Mój wyjazd nie okryje nikogo żalobą,
I ja nie chcę łzy jednę zostawić za sobą!

Zkąd mi tu żal niewczesny staje u podwojów?
Raz jeszcze do samotnych wracam się pokojów,
Jakbym czegoś zapomniał; wzrok mój obłąkany
Jeszcze wraca się żegnać przyjacielskie ściany.
One wśród tylu ranków, wśród nocy tak wielu,
Z cierpliwością słuchały mych westchnień bez celu.
Przy tęp oknie częstokroć wieczór przesiedziałem,
Wyglądając, nie wiedząc czego wyglądałem.

Ustałem, gdy mię znudzi tożsamość widoków,
Budząc echa łoskotem mych samotnych kroków.
Znowu ode drzwi ku drzwiom błędę bez zamiaru,
Liczę takt w takt żelazne stąpanie zegaru,
Lub szeptania robaczka, co gdzieś utajony
Zdaje się, że kołace do drzwi swojej żony.

* Z Albumu P. Moszyńskiego.

Blizki ranek. Czeka ją woźnice natręty.
Jedźmy! Jak niewitany przestąpiłem progi,
Tak odjeżdżam: nikt dobrej nie życzy mi drogi.

Pamiętam, kiedy młody, z lubej okolicy,
Od przyjaciół kochanych, od mojej dziewicy,
Jechałem i patrzyłem, i pomiędzy drzewy
Słyszałem głosy, chustek widziałem powiewy:
Płakałem.—Miło płakać, póki wiek namiętny.
Stokroć boleśniej płacze starzec obojętny!
Młodemu lekko umrzeć. On, nie znając świata,
Myśli żyć w sercu żony, przyjaciela, brata;
Ale starzec, co z życia zdjął szatę obłudy,
Niewierzący w nadludzkie ani w ludzkie cudy,
Zna, że całkiem na wieki zamyka się w grobie.
Jak po błoni, kwitnącém kolorami tęczy,
Przelatuje samotnie mdły kwiatek pajęczy,
Zdmuchniony gdzieś daleko z uwiedlonej gałęzi,
Chociaż napotka różę i w majowej więzi,
Pragnąc odpocząć, martwą zapłacze się dłonią...
Znowu go wichry zedrą i dalej pogonią:
Tak ja nieznane imię, cudzoziemskie lice
Nosilem przez te ludne place i ulice,
I roje pięknych niewiast spotykałem codziennie;
Chcą mię poznać—dlaczego?—że jestem przychodzień!
Dziatwa pędzi motyla, póki zdala świeci;
Złowi—spojrzy i ciska: niechaj dalej leci!
Lećmy! Szczęściem zostały pióra do powrotu,
Lećmy i nigdy odtąd nie zniżajmy lotu!

Odessa, 25 października 1825.

DO IMIONNIKA APOLLONA SKALKOWSKIEGO *

Słysząc, że pud suwnirów pobrałeś z Rusinek,
Które ci pozyskała czułość albo sztuka;
Niechże i przyjaźń kilka życzeń w upominek
Do sentymentalnego wpakuje sunduka.
Czy jedziesz w kraje lodów, czy na dworzec słońca,
Obyś zawsze tam jeździł, gdzie ci się podoba,
Oby na twym kompasie u jednego końca
Zawsze było życzenie—na drugim żałoba.

W Moskwie, 1826. Jun.

NA POKÓJ GRECKI,

W domu księżny Zeneidy Wołkońskiej, w Moskwie.

Skróś ciemnoty wiedziony jęj gwiaździstym wzro-
Goniąc białą jęj szatę po szybach hebanu, [kiem,
Wszedłem.—Czy to kraina za Lety potokiem,
Czy miast wielka mumia, zwłoki Herkulanu?
Nie! Tu cały świat dawny, na Piękności słowo,
Odbudował się, chociaż nie ożył nanowo.
Z mozaiki świat cały, każdy jego szczątek
Jest odłamem dzieł sztuki, wielkości pamiątek.

Tu kamienia podróżna nie śmie trącić noga,
Z kamienia płaskorzeźbą wygląda twarz boga.

* Poprawkę w 3-im wierszu i dokładniejszą datę wzięliśmy z podobizny, ogłoszonej roku 1882 w „Kłosach” (n. 884).

Gniewny, zda się swojego pohańbienia wstydić,
Depcących dawną wiarę ludzi nienawidzić
I napowrót w marmuru ukrywa się łonie,
Zkąd przed wieki snycerskie wyzwały go dłonie.

Wkoło pędzłem i dłutem strojne sarkofagi,
Co miały proch królewski bronić od zniewagi,
Dziś same na proch lecąc, potrzebują trumny.
Gdzieniegdzie ścięta głowa nieznanej kolumny,
Skaleczona, odarta, podeptana w pyle,
Wala się, jako trupia czaszka na mogile.

Tam od starości ledwie na nogach się trzyma
Obelisk, ten przychodziń z kraju Mizraima.
Widzisz na nim te rysy dziwacznej osnowy,
Te pisma zatraconej dawnych sfinksów mowy?
To hieroglifi! — Pod jego zasłoną leżąca
Myśl głęboka w letargu śpi od lat tysiąca;
Jak mumia, zamknięta w balsamiczne łożo,
Cała nieskazitelna — zmartwychwstać nie może.

Nietylko sztuki twoje, znikomy człowieku,
Lecz martwą pierś żywiołów przetrawia zęb wieku!
Patrz na ów kamień drogi, zaniedbany w piasku:
Niegdyś był cudnej barwy, słonecznego blasku;
Ileż wieków przeświecił, aż wylawszy z łona
Całą jasność, zamierzchnął jak gwiazda zgaszona.

Śród gruzów jeden cały stał obraz Saturna.
Tam jedna ryta z bronzu korynckiego urna,
W łonie jej zwolna płomyk przebudza się blady,
Czy to zmartwychwstającej geniusz Hellady?

Wzniósł głowę, błysnął okiem i na skrzydłach tęczy
Podlatując, raz jeszcze promieniami wieńczy
Skronie bogów, niebianek, drzemiących wokoło
I nimfy przewodniczki najpiękniejsze czoło.

O, niech te wszystkie bóstwa nad pamiątek ziemią
Wiecznie snem marmurowym i brązowym drzemią!
Ciebie tylko niech, piękna przewodniczko, zbudzi
Najmniejszy z bogów dotąd uczczony od ludzi.
Swawolniku! Uciekłszy z Afrodyty łona,
Drzemiesz, ssąc rubinowe piersi winogrona

Wielki grzech bez ofiary minąć bóstwo twoje!
O piękna nimfo! bądźmy nabożni oboje!..
Niestety! Przewodniczka chłodnym rzutem oka,
Jak laską Merkurego, uderza z wysoka
I duszę mą, lecącą w rozkoszy kraj błogi,
Wypędza bez litości za nadziei progi!

Cóż opowiem, wrócony do śmiertelnych kraju?
Ach, opowiem, że byłem w pół drogi do raju,
Z duszą napół tęskną, napół radośną;
Słyszałem już tę rajską rozmowę wpół-głośną,
I widziałem te rajske pół-światła, pół-cienia,
I doznałem, niestety! tylko pół-zbawienia...

Moskwa, 1827.

DO IMIONNIKA PANNY JAENISCH. *

Przed wichrami i szronem, gdy przelotne ptaki
Uciekając, rozstania nuć pieśń żalosną,
Nie wiń ich o niestałość! one z każdą wiosną
W jedną stronę jednemi powracają szlaki.
Słyszac głos ich, wygnańca wspomnij, przyjaciela!
Ilekrć mu po burzach nadzieja zaświeci,
Tyle razy duch jego na skrzydłach wesela
Znowu na północ, znowu ku tobie uleci.

1827 r., 10 septembra, w Moskwie.

DO MARYI SZYMANOWSKIEJ.

Na jakimkolwiek świata zabłysnęłaś końcu,
Tobie wieszczę, jak Gwebry indyjskiemu słońcu,
Chylą czoła wieńczone w nieśmiertelne liście
I arf tysiącem twoje opiewają przyście.
Zdziwisz się, kiedy nagle z cherubinów chóru
Wyrwie się jakiś odgłos nieznany i dziki,
Pomiędzy tryumfalne pieśni i okrzyki,
Jako wieśniak pośrodku królewskiego dworu;
Ale śmiały i wszystkich roztrącać gotowy,
Pójdzie prosto ku tobie i z duszą obejmie.
Królowo tonów! Ty go powitasz uprzejmie:
To twój dawny znajomy—to dźwięk polskiej mowy.

Moskwa 1827, w listopadzie.

* Panna Karolina Jaenisch, przyjaciółka Mickiewicza
w Moskwie.

NIEZNAJOMEJ SIOSTRZE PRZYJACIÓŁKI MOJÉJ.*

Przyjaciele, wyrokiem smutnym rozłączeni,
Kiedy im wszystko stawi na ziemi przegrody,
Wybierają z pomiędzy niebieskich płomieni
Wspólną gwiazdę za wiecznej powiernicę zgody,
I tą gwiazdą, jak krzyżmem świętego pierścienia,
Zaślubiają wzajemne przynajmniej wspomnienia.
Ale jest milsza gwiazda, która przyjaźń budzi
W sercach dwojga dalekich, nieznanym ludzi;
Dopóki błyszczeć będzie na północnym niebie,
Patrząc ku niej, nam udzieli choć część wejrzenia.
A kiedy nas opuści, by świecić dla ciebie,
Poszłę za nią ku tobie oczy i życzenia.
O! gdyby dozwoliły wyroki łaskawsze
Widzieć tę gwiazdę społem, i zbliżka, i zawsze!

W Moskwie, dnia 1 Xbris 1827 r.

W IMIONNIKU CELINY SZYMANOWSKIEJ.

Zaczyna się werbunek. Widzę zdala: goni
Ogromna ciżba pieszych, hułanów, huzarów,
Niosąc imiona naksztalt rozwitych sztandarów;
Chcą w albumie założyć obóz różnej broni.
Stanie się! Będę wtenczas siwym bohaterem
I z żalem rozmyślając o mych lat poranku,
Opowiem towarzyszom, że na prawym flanku
Jam w tej armii pierwszym był grenadyerem.

Petersburg, 1829.

* Dla Pauliny z Rybickich Maszewskiej. Autograf w bibliotece ordynacyi Krasińskich.

D O

(Na Alpach w Splügen).

Nigdy, więc nigdy z tobą rozstać się nie mogę!
Morzem płyniesz i łodem idziesz za mną w drogę,
Na lodowiskach widzę błyszczące twe ślady
I głos twój słyszę w szumie alpejskiej kaskady;
I włosy mi się jeżą, kiedy się oglądam,
I postać twoję widzieć lękam się i żądam.

Niewdzięczna! Gdy ja dzisiaj, w tych podniebnych górach
Spadający w otchłanie i niknący w chmurach, [rach
Wstrzymuję krok, wiecznemi utrudzony lody
I oczy przecierając z lejącej się wody,
Szukam północnej gwiazdy na zamglonem niebie,
Szukam Litwy i domku twojego i ciebie...
Niewdzięczna! może dzisiaj, królowa biesiady,
Ty w tańcu rej prowadzisz wesołej gromady;
Lub może się nowemi miłostkami bawisz,
Lub o naszych miłostkach śmiejąc się prawisz!
Powiedz, czyś ty szczęśliwsza, że ciebie poddani,
Niewolnicze schylając karki, zowią P a n i ?
Że cię rozkosz usypia i wesołość budzi,
I że cię nawet żadna pamiątka nie nudzi?
Czy byłabyś szczęśliwsza, gdybyś, moja miła,
Wiernego ci wygnańca przygody dzieliła?

Ach! jabym cię za rękę po tych skałach wodził,
Jabym trudy podróże piosenkami słodził,
Jabym pierwszy w ryczące rzucił się strumienie
I pod twą nóżkę z wody dostawał kamienie;

I przeszłaby twa nóżka wodą niedotkniętą,
A całowaniem twoje ogrzałbym rączętą;
Spoczynekby nas czekał pod góralską chatą;
Tam zwleczoną z mych barków okryłbym cię szatą,
A tybyś, przy pasterskim usiadłszy płomieniu,
Usnęła i zbudziła na mojem ramieniu...

1829.

DO MEGO CICERONE W RZYMIE.

(W imionniku Henryki Ankwieżówny).

Mój Cicerone! Oto na pomniku
Jakieś niekształtne, nieznajome imię
Wędrownik skreślił na znak, że był w Rzymie..
Ja chcę coś wiedzieć o tym wędrowniku.

Może go wkrótce przyjmie do gospody
Kłótniwa fala; może piasek niemy
Zatai jego życie i przygody
I nigdy o nim nic się nie dowiemy...

Ja chcę odgadnąć, co on czuł i myślił,
Gdy w księdze twojej, wśród włoskiej krainy,
Za cały napis to imię wykreślił,
Na drodze życia ten swój ślad jedyny.

Czy drżącą ręką, po długim dumanu,
Rył go powoli, jak nagrobek w skale?
Czy go odchodząc, uronił niedbale,
Jako samotną łzę przy pożegnaniu?...

Mój Cicerone! dziecinne masz lice,
Lecz mądrość stara nad twem świeci czołem;
Przez rzymskie bramy, groby i świątnice,
Tyś przewodniczym był dla mnie aniołem.

Ty umiesz przejrzeć nawet w serca z głazu;
Gdy błękitnemi raz rzucisz oczyma,
Odgadniesz przeszłość z jednego wyrazu...
Ach—ty wiesz może i przyszłość pielgrzyma!...

Rzym, 1830.

DO H(enryki Ankwiczówny).
WEZWANIE DO NEAPOLU.

(Naśladowanie z Goethego).

Znasz-li ten kraj,
Gdzie cytryna dojrzewa;
Pomarańcz blask
Majowe złoci drzewa?
Gdzie wieńcem bluszcz
Ruiny dawne stroi,
Gdzie buja laur
I cyprys cicho stoi?
Znasz-li ten kraj?
Ach, tam, o moja miła!
Tam był mi raj,
Pókiś ty zemną była!

Znasz-li ten gmach,
Gdzie wielkich sto podwoi,
Gdzie kolumn rząd
I tłum posągów stoi?

A wszystkie mnie
Witają twarzą białą:
Pielgrzymie nasz,
Ach, co się z tobą stało:
Znasz-li ten kraj?
Ach, tam, o moja miła!
Tam był mi raj,
Pókiś ty zemną była!

Znasz-li ten brzeg,
Gdzie po skalistych górach
Strudzony muł
Swej drogi szuka w chmurach?
Gdzie w głębi jam
Płomieniem wrą opoki,
A z wierzchu skał
W kaskadach grzmią potoki?
Znasz-li ten kraj?...
Ach, tu, o moja miła!
Tu byłby raj,
Gdybyś ty zemną była!

Neapol, 1830.

„NAD WODĄ WIELKĄ I T. D.“

Nad wodą wielką i czystą
Stały rzędami opoki
I woda tonią przejrzystą
Odbiła twarze ich czarne.

Nad wodą wielką i czystą
Przebiegły czarne obłoki
I woda tonią przejrzystą
Odbiła kształty ich marne.

Nad wodą wielką i czystą
Błysnęło wzdłuż i grom ryknął
I woda tonią przejrzystą
Odbiła światło—głos zniknął.
A woda, jak dawniej, czysta,
Stoi wielka i przejrzysta.

Tę wodę widzę dokoła
I wszystko wiernie odbijam,
I dumne opoki czoła,
I błyskawice pomijam.

Skałom trzeba stać i grozić,
Obłokom deszcze przewozić,
Błyskawicom grzmieć i ginać:
Mnie płynąć, płynąć—i płynąć!...

Lausanne, 1838.

„GDY TU MÓJ TRUP.“ *

Gdy tu mój trup w pośrodku was zasiada,
W oczy zagląda i głośno zagada,
Dusza wówczas daleka, ach daleka!
Błąka się i narzeka, ach narzeka!

* Wszystkie następne wiersze w tym oddziale ogłoszone były drukiem po raz pierwszy dopiero w r. 1861 lub 1880.

Jest u mnie kraj, ojczyzna myśli mojej,
I liczne mam serca mego rodzeństwo,
Piękniejszy kraj, niż ten, co w oczach stoi,
Rodzina milsza niż całe krewieństwo.

Tam wpośród prac i trosk i wśród zabawy
Uciekam ja. Tam siedzę pod jodłami,
Tam leżę śród bujnej i wonnej trawy,
Tam pędzę za wróblami i muszkami.

Tam widzę, jako z ganku biała stąpa,
Jak ku nam w las śród łąk zielonych leci,
I pośród zbóż jak w toni wód się kapa,
I ku nam z gór jak jutrzienka zaświeci...

DO SAMOTNOŚCI.

Samotności! do ciebie biegnę jak do wody
Z codziennych życia upałów;
Z jakąż rozkoszą padam w jasno-czyste chłody
Twych niezgłębionych kryształów!

Nurzam się i wzbijam w myślach nad myślami,
Igram z niemi jak z falami,
Aż ostygły, znużony, złożę moje zwłoki
Choć na chwilę w sen głęboki.

Tyś mój żywioł; te jasnych wód szyby
Słodzą mi serce, zmysły zaciemniają mrokiem.

I za cóż znowu muszę, nakształt ptaka ryby,
Wyrywać się w powietrze, słońca szukać okiem?

I bez oddechu w górze, bez ciepła na dole,
Równie jestem wygnańcem—w oboim żywiole!

„POLAŁY SIĘ ŁZY ME I T. D.“

Polwały się łzy me czyste, rzęsiste,
Na me dzieciństwo sielskie, anielskie,
Na moję młodość górną i chmurną,
Na mój wiek mężki, wiek klęski;
Polwały się łzy me czyste, rzęsiste!

„TE ROZKWITŁE ŚWIEŻO DRZEWA I T. D.“

Te rozkwitłe świeżo drzewa
Upajają słodką wonią;
Wody szepcą, słowik śpiewa
I koniki cicho dzwonią.

Czemuż zadumany stoję
I wiosną się nie wesele?
Bo sieroce serce moje,
Z kimże wiosnę tę podzielię?

Przed mym domem, w pomrok szary,
Stają muzycy tułacze;
Słyszę śpiew i dźwięk gitary,
Odmykam okno i płaczę.

Zakochani to minstrele
Pod oknem kochanki nucą,
Mnie nie bawią, ale smucą,
Z kim się muzyką podzielię?

Tylem uczuł, cierpiał tyle,
Lecz nie powrócę do domu,
Opowiadać nie mam komu...
Zamknę powieść na mogile.

Założywszy ręce, siadam,
Na samotną patrząc świecę;
Czasem piosnkę w myśli składam,
Czasem pióro smutne chwycę.

Piękne myśli, piękne słowa,
Czuję wiele, piszę wiele,
Ale dusza moja wdowa,
Z kimże piosnki te podzielię?

Rodzę myśli, rodzę słowa,
I czemuż się nie wesele?
Bo dusza moja jak wdowa,
Widzi tylko sierot wiele.

Mija wiosna, mija zima,
Mija pogoda i słota;
Nie przeminie żal pielgrzymą,
Bo on wdowiec i sierota.

„KOCHANEK DUCHÓW I T. D.“

Kochanek duchów, ileż was spotkałem,
 Ileż to oczu jak gwiazd przeleciało,
 Ileż to rączek tonąc uściskałem,
 A serce nigdy z sercem nie gadało.
 Wydałem wiele serca, jak ze skrzyni
 Młody rozrzutnik; lecz dłużnicy moi
 Nic nie oddali. Któż dzisiaj obwini,
 Że się rozrzutnik spostrzegł, że się boi
 Zwierzać w niepewne i nieznane ręce?
 Żegnam was, żegnam, nadobne dziewice!
 Żegnam was, żegnam, o duchy młodzieńce!
 Rozrzutnik młody, resztę skarbcu schwyce,
 W ziemię zakopię—nie czas reszty tracić.
 Już czuję starość. Mam żebrać w potrzebie?
 Znalazłem tego, co zdoła zapłacić
 Rzetelnie, z lichwą i na czas—On w niebie!...

SNUĆ MIŁOŚĆ.

Snuć miłość, jak jedwabnik nić z piersi swych snuje,
 Łać ją z serca, jak źródło wodę z wnętrza leje,
 Rozkładać ją jak złotą blachę, gdy się kuje,
 Z ziarnka złotego siać ją, jak się zboże sieje,
 Hodować ją, jak matka dziecko swe piastuje,
 Puszczać ją w głąb, jak nurtuje
 Źródło pod ziemią, w górę wiać nią, jak wiatr wieje,
 Po ziemi ją rozsypać, jak się zboże sieje,

Ludziom piastować, jako matka swych piastuje.
Ztąd będzie wyższa moc twa, jak moc przyrodzenia,
A potém będzie moc twa jako moc krzewienia,
Potém jak ludzi, potém jako moc aniołów,
A w końcu będzie jako moc stwórcy stworzenia.

Lausanne, 1839.

ODY I PIEŚNI RÓŻNE.

PRZEMOWY, ODY I PIEŚNI.

(JUŻ SIĘ Z POGODNYCH NIEBIOS OĆMA ZDARŁA
SMUTNA). *

Już się z pogodnych niebios oćma zdarła smutna.
Żeglarzu! ciągnij rudel, wiatrom podaj płótna,
Zmocnioną wczasem dłonią słone krajaj piany,
Otworem ci przestrzenne leżą oceany.
Niech umysłów nie chwieje burzliwość powodzi,
Towarzystwo nieliczne, kruchęj słabość łodzi;
Wszak nie miał barki z dębu, ni serca ze stali
Frygijczyk, co się pierwszy chytręj zwierzał fali,
A w zawody na złomnêm puściwszy się drewnie,
Choć nań piekła i nieba dęsały się gniewnie,
W własnych dzielnościach ufny, śmiałych żądań pełny,
Nieba i piekła zwalczył, złotęj dostał wełny.
Nas, kiedy w niższym stopniu śmiała chęć nie kładzie,
Gdy nowe tworzym gmachy na nowęj posadzie,
Gdy nasz trud równie wielki, cel równie szlachetny,
Weźmijmyż z bohaterów greckich przykład świetny.

* Wiersz ten wydrukowano z rękopisu po raz pierwszy
w wydaniu paryskiém z r. 1869.

Im pierwszy raz ojczyste rzucającym gniazda,
Nie stała się okropną tak daleka jazda;
Nam po wejściu do szranków możnaż drżeć z obawy,
Gdy każdy trud zwalczony jest szczeblem do sławy?
Oni na wspólne dobro różne znieśli dary:
Ten siłę, ten wzrok ostry, ów dźwięki cytary.
My tak czynmy, a wszystko torem pójdzie snadnym;
Wszak w niewielu brak darów, gorliwości w żadnym.
Wszyscy chciejmy dokonać, dokona kto może,
Bo się nierówną miarą dzielą łaski boże;
Lecz gdy ku wielkim sprawom pole się odkrywa,
Sama teraz nierówność mniej szkodzącą bywa.
Szczęśliwy, komu pierwsze wieńce się dostały,
Sam zyska chwałę, innych zachęci do chwały,
Lecz niech ztąd marnę pychy blasków nie przywdziewa;
Wszakże owoc, nie liście, świadczą lepszość drzewa.
Więc nie z wzięcia przyklasków, nie z zaszczytnęj palmy,
Żeśmy pożyteczniejsi, z tego się pochwalmy.
Niech każdy, jak ów Greczyn, głosi dzielność swoją:
„Mocniejszy jestem, cięższą podajcie mi zbroję.“

Póki spiesząc do mety wytkniętęj u brzegu,
Żaden gromad bieżących nie wyprzedzi w biegu,
Póty na zawodników patrząc zdaleka,
Ktoby był wart nagrody, lud spokojnie czeka.
Lecz kiedy raz z biegących dobyłeś się tłoku,
Pod karą wiecznęj hańby nie cofajże kroku,
Żeby siły w ostatnięj wywarłszy potrzebie,
Tłumy, któreś przegonił, nie dognały ciebie.
Bo jeżeliś nad innych przymioty jaśniejszy,
Co innym zwiększa sławę, to tobie umniejszy.
Łamiąc męża szampierza na publicznym piasku,

Czyliż zwycięzca nierad z gminnego oklasku?
Przecież w oczach pół-boga, co łamał Centaury,
Nie miałyby ponęty zapaśnicze laury.
Tak, im kto wyżej stąpił, w większy trud się wprzęga
I tём się nawet niża, że wyżej nie sięga.

Do was to mówię, których braćmi nazwać lubo.
Wy! przyszła towarzystwa podporo i chlubo,
Wy! którym była matką łaskawszą natura,
Im wyżej, tём usilniej wyteżajcie pióra,
Ażby sławy podniebne dosięgłszy opoki,
Innych tam braterskimi zachęcali wzroki;
Nam zaś, którzy w poziomym umieszczeni rzędzie,
Że waszym śladem idziem, i to chlubą będzie.
Gdzie Achil pozwał w szranki bogów polubieńce,
Wielkie miały wartości i dziesiąte wieńce.
Te weźmijmy, niech zawiść serc nam nie podbija,
Ni się czarnej niechęci wkrada do nich żmija,
Wszakże własne żądanie do związku nas wiodło,
Wszak praca—nasze bóstwo, przyjaźń—nasze godło.
Oby kiedyś świat cały, zgodne wiążąc dłonie,
Nasze wziął godło, naszym bóstwom sypał wonie.

Ale z takich początków wniósłby chyba tępy,
Że trzeba wszystkim wolne zrobić do nas wstępy,
Bo niedługo postoi gmach wolny od skazy,
Jeśli doń budowniczy kładł bez braku głązy.
I nam jeśli niemiło pracę podjąć marną,
Sprawmy, niechaj się tylko godni do nas garną.
Żeby tak pożyteczne dokonać zamysły,
Najpewniejszym sposobem będzie wybór ścisły.
Ów Samijczyk, w mądrościach natury ćwiczony,
Gdy prawdzie, długo nagięj, narzucał zasłony

I tajne berło cnoty rozciągnął nad światem,
Nie każdemu swych uczniów dozwolił być bratem.
Tak uczynił i Orfej, naród głaszcząc dziki,
Tak się eleuzyńskie odbyły tajniki.
Nam, choć liczne pragnących stawia się orszaki,
Niejedna wszystkich żądza, zamiar niejednaki;
A gdy chytrój obłudy zdejmujemy z nich płaszcze,
Nie pod jednem się runem wilcze znajdą paszcze.
Ten się chciwością pędzi ślepą, dumą drugi,
Co w licznych towarzyszach chce mieć liczne sługi.
A niech się im wykrętne nie zdadzą manowce,
Srodzy wraz z przyjaciela będą prześladowce.
Inny, by krótką chętkę lub ciekawość sycić,
Za najtrudniejsze sprawy nie waha się chwycić;
Ale jak go dziecinna uwiodła łakotka,
Dziecinna zrazi trudność, którą pierwszą spotka.
Tacy gdy do nas wstępu nie znajdą przychodnie,
Gdy, jakeśmy działali, będziemy działać zgodnie,
Gdy osobne urazy topiąc w niepamięci,
Każdy na wspólne dobro wszystkie zwróci chęci,
Zgodną przyszłość przeszłości zmierzając rachubą:
Będziemy wzorem innym, sobie samym chlubą.

14 września 1818.

ZIMA MIEJSKA.

Przeszły dżdże wiosny, zbiegło skwarne lato
I przykre miastu jesienne potopy;
Już bruk, ziębiącą obleczone szatą,
Od stalnej Fryzów nie krzesany stopy.

Więzieni słątą w domowój katuszy,
Dziś na swobodne gdy wyjrzym powietrze,
Londyński pojazd turkotem nie głąszy,
Ani nas kręgi zbrojnemi rozetrze.

Witaj narodom miejskim poro błoga!
Już i Niemeńców i sąsiednich Lechów
Tu szuka ciżba, tysiącami mnoga,
Zbiegłych Dryadom i Faunom uśmiechów.

Tu wszystko czerstwi, weseli, zachwycą:
Czy ciągnę technienie, co się zimnem czyści,
Czy na niebieskie zmysł podniosę lica,
Czyli się śnieżnej przypatruję kiści.

Jedna z nich pływa w niepewnym żywiole,
Druga, ciężarem sporsza, już osiadła;
Tą wiatr poleciał stwardniałe kryć role,
Albo pobilić Wilii zwierciadła.

Lecz kogo sioło dzisiejsze uwięzi,
Zmuszony widzieć łyse gór wiszary,
Grunt dziki, knieję nagiemi gałęzi
Niesilną zimne podźwignąć ciężary.

Taki, gdy smutna ciągnie się minuta,
Wreszcie zmieniony kraj porzuca z żalem
I dając chętnie Cererę za Pluta,
Pędzi wóz ku nam ciężarny metalem.

Tu go przyjmują gościnne podwoje,
Rzeźbą i farbą odziany przybytek,
Tutaj rolnicze przepomina znoje
W pieszczonem gronie czarownych charytek.

Na wsi, za ledwie czarna noc rozrzednie,
Każe wraz Ceres wczesny witać ranek;
Tu, chociaż słońce zajmie nieba średnie,
Pod atłasowym śpię cieniem firanek.

Lekkie nareszcie oblókłszy nankiny,
Modnej młodzieży przywoływa koło;
Strojem poranne zbywamy godziny,
Albo rozmową bawim się wesolą.

Ten, w lśniący kryształ włożywszy oblicze,
Wschodnim balsamem złoty kędzior pieści;
Drugi stambulskie oddycha gorycze,
Lub pije z chińskich ziół ciągnięte treści.

A gdy godzina dwunasta nadbieży,
Wraz do ślizkiego wstępuję powozu;
Sobol lub rosmak moje barki jeży
I suto zdobiać, nie dopuszcza mrozu.

Na sali orszak przywitam wybrany,
Wszyscy siadają za biesiadnym stołem,
W kolej szlą pełne smaków porcelany
I sztucznym morzą apetyt żywiołem.

Pijemy węgryzyna mocny setnym latem;
Wrą po kryształach koniaki i pące;
Płeć piękna gasi pragnienie muszkatem,
Co dając rzeźwość, myśli nie zapłacze.

A gdy się trunkiem zaiskrzą źrenice,
Dowcipne, czułe wszystkim płyną słowa
I wdzięk niejeden zarumieni lice,
Niejedna wzrokiem zapala się głowa.

Nareszcie słońce zniżone zagasło,
Rozsiewa mroki dobroczynna zima;
Boginie dają do rozjazdu hasło,
Zagrzmiały schody i już gości niema.

Którzy są z szczęściem poufali ślepem,
Pod twój znak idą, królu Faraonie,
Lub zręczni lekkim wykręcać oszczepem,
Pędzą po suknoch wytoczone słońcie.

A gdy noc ciemne rozepnie zasłony
I szklanem światłem błysną kamienice,
Młodzież, dzień kończąc wesoło spędzony.
Tysięczną sanią szlifuje ulice.

1818.

IMPROMPTU POWINSZOWANIA. *

Kiedy szlesz bilet bogatym,
Niechaj ma brzegi złocone;
Fircyka obdarz pstrokatym,
A różowym mądrą żonę.

Mogilę albo gromnicę
Niechaj mają baby stare;
Zdrajca kraju szubienicę;
Kokiet—kupidynków parę.

* Z autografu wydr. 1880; oryginał nie ma żadnego tytułu.

Aniołeczek dla dewotki;
Pijakowi flaszka spora;
Oszustom figlarne kotki,
A śmierć maluj dla doktora.

Na szmacie gazety wręście
Poszlij życzenia gadule;
Jurystom na manifeście,
A skąpemu na bibule.

Dla przyjaciół posyłaj na prostym papierze,
Byle szczerze.

1819.

PIEŚŃ FILARETÓW.

Hej! użyjmy żywota!
Wszak żyjem tylko raz;
Niechaj ta czara złota
Nie próżno wabi nas.

Hejże! do niej wesoło!
Niechaj obiega wkoło;
Chwytaj i do dna chyl
Zwiastunkę słodkich chwil!

Po co tu obce mowy?
Polski pijemy miód;
Lepszy śpiew narodowy
I lepszy bratni ród.

W ksiąg greckich, rzymskich steki
Wlazłeś, nie żebyś gnił,
Byś bawił się jak Greki,
A jak Rzymianin bił.

Ot tam siedzą prawnicy,
I dla nich puhar staw;
Dzisiaj trzeba prawicy,
A jutro trzeba praw.

Kto metal kwasi, pali,
Skwasi metal i czas;
My ze złotych metali
Bacha ciągnijmy kwas.

Wymowa wznieść nie zdoła
Dziś na wolności szczyt;
Gdzie przyjaźń, miłość woła,
Tam bracia cyt, tam cyt!

Ten się wśród mędrców liczy.
Zna chemią, ma gust,
Kto pierwiastek słodczy
Z lubych wyciągnął ust.

Mierzący świata drogi,
Gwiazdy i nieba strop,
Archimed był ubogi,
Nie miał gdzie oprzeć stop.

Dziś, gdy chce ruszać światy
Jego Newtońska mość,
Niechaj policzy braty
I niechaj powie: dość!

Cyrkla, wagi i miary
Do martwych użyj brył;
Mierz siłę na zamiary,
Nie zamiar podług sił...

Bo gdzie się serca palą,
Cyrklem uniesień duch,
Dobro powszechne skalą,
Jedność większa od dwóch.

Hej, użyjmy żywota!
Wszak żyjem tylko raz;
Tu stoi czara złota,
A wnet przeminie czas.

Krew stygnie, włos się bieli,
W wieczności wpadniem toń.
To oko zamknie Feli,
To—filarecka dłoń.

1819.

T O A S T Y.

Coby było wśród zakresu,
Na który ludzie rzućeni,
Bez światła, ciepła, magnesu
I elektrycznych promieni?

Coby było? Zgadnąć łatwo:
Ciemno, zimno, chaos czyste.
Witaj więc, słoneczna dziatwo,
Wiwat światło promieniste!

Lecz cóż po światła iskierce,
Gdy wszystko dokoła skrzepło?
Zimny świat i zimne serce,
Ciepła trzeba. Wiwat ciepło!

Pełnych światła i zapachu
Często silny wiatr rozniesie,
By ciało zbliżyć ku ciału,
Jest magnes. Wiwat magnesie!

Tak gdy zrośniem w okrąg wielki,
Przez magnesowaną styczność,
Wówczas z lejdejskiej butelki
Palniem: Wiwat elektryczność!
Kowno, 1822.

ODA DO MŁODOŚCI.

Bez serc, bez ducha—to szkieletów ludy.
Młodości! podaj mi skrzydła!
Niech nad martwym wzleczę światem
W rajską dziedzinę uludy,
Kędy zapal tworzy cudu,
Nowości potrząsa kwiatem
I obleka nadzieję w złote malowidła...

Niechaj, kogo wiek zamroczy,
Chyląc ku ziemi poradłone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępemi zakresła oczy.

Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca!

Patrz nadół! Kędy wieczna mgła zaciemia
Obszar, gnuśności zalany odmętym:

To ziemial...

Patrz, jak nad jęj wody trupie
Wzbił się jakiś płaz w skorupie.
Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem;
Goniąc za żywiołkami drobniejszego płazu,
To się wzbija, to w głąb' wali;
Nie lgnie do niego fala, ani on do fali,
A wtém jak bańka prysnął o szmat głazu!..
Nikt nie znał jego życia, nie zna jego zguby:
To samoluby!

Młodości! tobie nektar żywota
Natenczas słodki, gdy z innymi dzielę;
Serca niebieskie poi wesele,
Kiedy je razem nieć powiąże złota.

Razem, młodzi przyjaciele!
W szczęściu wszystkiego są wszystkich celo.
Jednością silni, rozumni szaleń,
Razem, młodzi przyjaciele!..
I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu,
Jeżeli poległ ciałem
Dał innym szczebel do sławy grodu.
Razem, młodzi przyjaciele!
Choć droga stroma i ślizka,
Gwałt i słabość bronią wchodu,

Gwałt niech się gwałtem odciska,
A ze słabością łamać uczmy się zamłodu!

Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał Hydrze,
Młodzieńcem zdusi Centaury,
Piekłu ofiarę wydrze,
Do nieba pójdzie po laury!...
Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga;
Łam, czego rozum nie złamie!
Młodości! orla twych lotów potęga,
A jako piorun twe ramię!

Hej! ramię do ramienia! Spólnemi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko
I w jedno ognisko duchy!...
Dalej z posad, bryło świata!
Nowemi cię pchniemy tory,
Aż opleśniałej zbywszy się kory,
Zielone przypomnisz lata.

A jako w krajach zamętu i nocy,
Skłóconych żywiołów waśnią,
Jednem „stań się“ z bożej mocy
Świat rzeczy stanął na zrębie,
Szumią wichry, cieką głębie,
A gwiazdy błękit rozjaśnia.

W krajach ludzkości jeszcze noc głucha,
Żywioły chęci jeszcze są w wojnie.
Oto miłość ogniem zionie,
Wyjdzie z zamętu świat ducha,

Młodość go pocznie na swojém łonie,
A przyjaźń w wieczne skojarzy spojnie.

Pryskają nieczułe lody
I przesady światło ćmiące.
Witaj, jutrzeńko swobody,
Za tobą zbawienia słońce!...

Około r. 1822.

DO ALEKSANDRA CHODŹKI

(Improwizacya).

Olesiu! Czémże tobie zapłacę,
Za twoje rymy odwzięczę?
Ja duch mój wieszczu w obłędzie tracę,
Jakim cię kwiatem uwieńczę?

Ty, jako sokół nad piękną błonią,
Ujrzałeś orła w polocie;
Smutny cień skrzydła samotne ronia,
Lecz w oczach jego gwiazd krocie. -

Tyle jest w ustach twoich łoskotu,
Tyle w twych oczach bystrości;
Tyś pojął tajnie orlego lotu,
Sam orzeł tobie zazdrości.

Orzeł z łabędziem raz już ostatni
Może swe pienia wywodzi;
Jeszcze go orszak otacza bratni,
Lecz straszna chwila nadchodzi..

Precz żal niemięzki, precz żal niewieści!
Zmienność ja nucę żalosną.
Bracia! słuchajcie dzikiej powieści!
Zdarzenia same urosną.

Raz poszły w zakład powietrzne ptaki,
Który z nich w lotnym przegonie
Gdy się spróbują, obaczą jaki
Ma usiąść na ptaszym tronie?

Orzeł wyleciał; któż go doścignie,
Kto żagle takie ma pierza,
Kto kiedy orła w wiatrach wyścignie,
Gdzie orzeł znajdzie szermierza?

Lecz był kolibryk; on się rozczułił,
On królem ptaków chciał zostać;
On się pod orła skrzydło utulił,
Bo orła w locie nie dostać.

Orzeł wyleciał, lecz się zmordował
I spadł ku ziemi i zginął;
Kolibryk w jego skrzydle się schował,
Zkąd się ku niebu wywinął.

Orzeł upada, ty latać będziesz,
Adam gdy ginie, ty żyjesz;
Na jego tronie ty kiedyś siedziesz,
Jego się blaskiem okryjesz.

Tyś go zrozumiał, ty go wysławisz,
Ty piosnkę świętą zadzwonisz
I duszę jego świata objawisz,
I łezkę po nim uronisz.

Tak, godną lezkę nad nim uronić
Tobie zostało, mój bracie!
Tobie i piosnkę świętą zadzwonić
Po przyjaciela utracie...

1824. Wilno. Klasztor bazylianów.

CHÓR STRZELCÓW. *

(Podług muzyki z opery Webera: Wolny strzelec).

Śród opok i jarów,
I plonów i głogów,
Śród wrzasku ogarów,
I rusznic i rogów;
Na koniu, co w czwale
Sokoli ma lot,
I z bronią, co w strzale
Huczniejsza nad grzmot.

Dalejże, dalejże z tropu w trop, z tropu w trop!
Dalejże, dalejże z tropu w trop, z tropu w trop, hop! hop!

Wesoły jak dziecko,
Jak zbójca krwi chciwy,
Odważnie, zdradziecko,
Bój zaczął myśliwy.
Czy palnie na smugi,
Czy wgórę do chmur,

* Pierwodruk tego wiersza jest „w Gazecie Polskiej“ 1827 r. n. 284. Ztamtąd wzięte są niektóre poprawki.

Tam krwi płyną strugi,
Ztąd leci grad piór.

Dalejże, dalejże i t. d.

Kto żubra wywiedzie
Z ostępu za rogi?
Kto kudły niedźwiedzie
Podesłał pod nogi?

Hej! lasy i niwy
Ozwijcie się w chór!
Zatrąbił myśliwy,
Król lasów i gór.

Dalejże, dalejże i t. d.

Czyj dowcip gnał rojem
Latawców do sideł?
Kto wstępny wziął bojem
Sztandary ich skrzydeł?

Hej wiatry, w burzliwy
Ozwijcie się chór!
Wystrzelił myśliwy,
Król wiatrów i chmur.

Dalejże, dalejże i t. d.

C Z Y N.

(Na nutę Beranżera: Jeunes enfants).

Hej, dalej w płas!
Pokręcaj wąs!
Tak nasi mawiali przodkowie.
Pocziwie bij,
A tego pij.
Hej, pijmy za ich zdrowie!

Gdy młody Polak czynem się zbłąźni,
Dopóki krzyża nie dopnie,
Pnie się na świecie, jak w ruskiej łaźni,
Na coraz wyższe i wyższe stopnie.

Lecz darmo czady pije,
Próżno ćwiczy pieczenie:
Jeżeli zbrukał sumienie,
Dalibóg, że skreśli szyję.

Tyś szlachty syn,
Nie dbaj o czyn!
Tak nasi mówili przodkowie.
Jeżeliś gracz,
Choć bieda, płacz,
Hej, pijmy za ich zdrowie!

Tamten astronom od nocy do rana
Do gwiazd wyprawia połowy
I sadzi krzyże na brzuch, na pierś, na kolana,
Świeci się jak wóz Dawidowy.
Lecz wkrótce śmierć się zbliża,
A z nią piekielna męka,
Tego jednego krzyża
Belzebub się nie lęka.

Hej, dalej w płas!
Pokręcaj wás!
Tak nasi mówili przodkowie.
Tyś szlachty syn,
Nie dbaj o czyn.
Hej, pijmy za ich zdrowie!

ŚMIERĆ PUŁKOWNIKA.

W głuchęj puszczy, przed chatą leśnika,
Rota strzelców stanęła zielona,
A u wrót stoi straż pułkownika,
Tam w izdebce pułkownik ich kona.
Z wiosek zbiegły się tłumy wieśniacze,
Wódz był to wielkiej mocy i sławy,
Kiedy po nim lud prosty tak płacze
I o zdrowie tak pyta ciekawy.

Kazał konia pułkownik kulbaczyć,
Konia w każdej sławnego potrzebie,
Chce go jeszcze przed śmiercią obaczyć,
Kazał przywieść do izby, do siebie.
Kazał przynieść swój mundur strzelecki,
Swoją kordelas i pas i ładunki;
Stary żołnierz, on chce, jak Czarniecki,
Umierając swe żegnać rynsztunki.

A gdy konia już z izby wywiedli,
Potem do niej wszedł ksiądz z Panem Bogiem,
I żołnierze od żalu pobledli,
A lud modlił się, klęcząc przed progiem.
Nawet starzy Kościuszki żołnierze,
Tyle krwi swęj i cudzej wylali,
Łzy ni jednęj — a teraz płakali
I mówili z księżami pacierze.

Z rannym świtem dzwoniono w kaplicy.
Już przed chatą nie było żołnierza,

Bo już był w tój okolicy.
Przyszedł lud widzieć zwłoki rycerza:
Na pastuszym tapczanie on leży,
W ręku krzyż, w głowach siodło i burka,
A u boku kordelas—dwururka.

Lecz ten wódz, choć w żołnierskiej odzieży,
Jakie piękne dziewicze ma lica!
Jaką pierś!... Ach, to była dziewica.

.
.

PIEŚŃ ŻOŁNIERZA.

Ja w tój izbie spać nie mogę;
Inną izbę daj, sąsiedzie!
Bo ztąd okna są na drogę,
Tędy często poczta jedzie;

A gdy w nocy trąbka dzwoni,
Tak mi mocno serce skacze,
Myślę, że trąbią do koni,
I potém aż do dnia płaczę.

Oczy zamknę: to się marzy
Nasze konie, chorągiewki,
Ogień nocne, krzyki straży
I wiarusów naszych śpiewki.

Ocykam się i w ocknieniu
Słyszę głos mego kaprała;
On mię klaszcze po ramieniu:
„Wstawaj! jedźwa !“

Wstaję: aż ja w pruskiej ziemi!..
Jak tam, lepiej leżeć w błocie,
W chłodzie, głodzie i na słocie..
Ale w Polsce, między swemi,

Jużbym tej nocy nie zasnął,
A czekałbym na kaprała,
Żeby znowu w ramię klasnął:
„Wstawaj! pójdźwa!”

WIZYTA PANA FRANCISZKA GRZYMAŁY.

Exegi monumentum.

Świeci się pomnik mój nad szklany Puław dach,
Przetrwa Kościuszki grób i Paców w Wilnie gmach,
Ni go łotr Wirtemberg bombami mocen zbić,
Ni podły Austryak niemiecką sztuką zryć.
Bo od Ponarskich gór i bliźnich Kowna wód,
Szerzę się sławą mą aż za Prypeci bród;
Mnie w Nowogródku, mnie w Mińsku czytuje młodź
I nie leniwa jest przepisać wielekroć.
W folwarkach łaskę mam u ochmistrzyni cór,
A w braku lepszych pism, czyta mnie nawet dwór.
Ztąd mimo carskich groźb, na złość strażnikom ceł,
Przemycą w Litwę żyd tomiki moich dzieł.

Paryż, 1833.

UŁAMEK Z IMPROWIZACYI. *

Ja rymów nie dobieram, ja zgłosek nie składam,
Tak wszystko napisałem, jak tu do was gadam.
W piersi tylko uderzę, wnet zdrój słów wytryśnie,
A jeśli na tym prądzie iskra boża błysnie,
Nie wynik-to rozumu, ani płód marzenia,
Od Boga ją przyjąłem na skrzydłach natchnienia;
Niém widzę przyszłość, chwytam myśli, czuciem rządzę,
Niém silny, grzechy nasze i przyszłość osądzę.

.
Wiedźcie, że dla poety jedna tylko droga,
W sercu szukać natchnienia i dążyć do Boga!

Paryż, 1840.

AD NAROLEONEM III. CAESAREM AUGUSTUM ODE IN BOMERSUNDUM CAPTUM.

Qualis fugacem quum Amphitryonius
Cacum insequutus, belluae in occiput
Rupes ruens, fumosque et ignes
Guttur in horrisonum retundens.

Auguste Caesar, te auspice, Gallicus
Ursam Bootae victor adordiens,
Spelaea lustrat, caedibus tot
Innumerabilibusque furtis

* W tym kształcie ogłoszono ten urywek dopiero w wydaniu lwowskiem z r. 1885, w IV tomie.

Obscena; quo nunc advolant undique
Gentes latronis funere sospites,
Svecusque, Fennique et Polonus,
Quisque suas sibi res petundo;

Rati tuum illum, Romulea manu,
Dirum superbis Caesarem avunculum,
Auguste, jam per te, secundo
Cum imperio miseris reduci.

1854.

POEZYE RELIGIJNO-GNOMICZNE.

POEZYE RELIGIJNO GNOMICZNE.

H Y M N

Na dzień Zwiastowania N. P. Maryi.

Pokłon przeczystej Rodzicy!
Nad niebiosą twoje skronie,
Gwiazdami twój wieniec płonie
Jehowie na prawicy.

Ninie dzień tobie uświęcamy wierni,
Śród twego błysnij kościoła!
Oto na ziemię złożone czoła,
Oto, śród niemęj bojażnią czerni,
Powstaje prorok i woła:
Uderzam organ twój chwale,
Lecz z bóstwa idzie godne bóstwa pienie,
Śród twego błysnij kościoła
I spuść anielskie wejrzenie!
Duchy me bóstwem zapalę,
Głosu mi otwórz strumienie!

A zagrzmię piersią, jaką Cheruby
Zagrzmią światu na skonanie,
Gdy proch, zapadły w wieków otchłanie,
Ze snu nicości wybiją.
Takim grzmotem twoje chluby,
Gdzie piekło, gdzie gwiazdy świecą,
Nieskończoność niech oblecą,
Wieczność przeżyją.

A któż to wschodzi? Wschodzi na Syon Dziewica.
Jak ranek z morskiej kąpieli
I jutrznia Maryi lica,
Śnieży się obłok, słońce zukosa
Smugiem złota po nim strzeli...
Taka na śniegu, co szaty bieli,
Powiewnego jasność włosa.

Pojrzał Jehowa i w nią upodobał sobie,
Pękły niebios zwierciadła,
Biała gołąbka spadła
I nad Syonem w równi trzyma skrzydła obie,
I srebrzystej pierzem tęczy
Niebianki skronie uwieńczy.

Grom, błyskawica!
Stań się, stało;
Matką Dziewica,
Bóg ciało!

Okolo 1822 r.

DO MARCELINY ŁEMPICKIEJ.

W dzień przyjęcia Komunii Świętej.

Dziś cię za stołem swym Chrystus ugościł.
Dziś anioł tobie niejeden zazdrościł.
Ty spuszczasz oczy, które Bóstwem gorą!
Jak ty mnie swoją przerażasz pokorą!
Święta i skromna!... Grzesznicy nieczuli,
Gdy my w spoczynku skroń ospałą złożym,
Tobie, klęczącój przed barankiem bożym,
Jutrzenka usta modlące się stuli.
Wtenczas zlatuje anioł, twój obrońca,
Czysty i cichy jak światło miesiąca,
Zasłone marzeń powoli rozdziela,
A troskliwości pełen i wesela,
Z takim nad tobą schyla się objęciem,
Jak matka nad swem sennem niemowlęciem.
Jeżeli promień nieśmiertelnój łaski
Zbyt żywo w oczach anioła jaśnieje,
I gdy się senna zbyt żywo rozśmieję,
Anioł łagodnie przygasza swe blaski,
Stula nad senną zasłone marzenia
I odlatuje, biorąc twe westchnienia.
Lecz nim odleci, kładzie wdzięki nowe,
Jak nowe suknie, dziecięciu pod głowę.
Tak się piastunka jego codzien budzi,
Z nową miłością u Boga i ludzi.
Jabym dni wszystkich rozkosz za nic ważył.
Gdybym noc jedną tak jak ty przemarzył.

Rzym, 1830.

ROZMOWA WIECZORNA.

I.

Z Tobą ja gadam, co królujesz w niebie,
A razem gościsz w domku mego ducha;
Gdy północ wszystko w ciemnościach zagrziebie
I czuwa tylko zgryzota i skrucha,
Z Tobą ja gadam! Słów nie mam dla Ciebie;
Myśl Twoja każdej myśli mej wysłucha.
Najdalej władasz i służysz w pobliżu,
Król na niebiosach, w sercu mem na krzyżu!

I każda dobra myśl jak promień wraca
Znowu do Ciebie, do źródła, do słońca,
I nazad płynąc, znowu mię ozłaca.
Szczęść blask, blask biorę i blask mam za gońca.
I każda dobra chęć Ciebie zbogaca,
I znowu za nią płacisz mi bez końca.
Jak Ty na niebie, Twój sługa, Twe dziecię
Niech się tak cieszy, tak błyszczy na świecie.

Tyś król, o cuda! i Tyś mój poddany!
Każda myśl podła, jako włócznia nowa,
Otwiera Twoje niezgojone rany,
I każda chęć zła jest gąbka octowa,
Którą do ust Twych zbliżam zagniewany.
Póki Cię moja złość w grobie nie schowa,
Cierpisz, jak sługa panu zaprzędany.
Jak Ty na krzyżu, Twój pan, Twoje dziecię
Niechaj tak cierpi i kocha na świecie.

II.

Kieqym bliźniemu odsłonił myśl chorą
I wątpliwości raka, co ją toczy,
Zły wnet ucieczką ratował się skorą,
Dobry zapłakał, lecz odwracał oczy.
Lekarzu wielki! Ty najlepiej widzisz
Chorobę moję, a mną się nie brzydzisz!

Gdym wobec bliźnich dobył z głębi duszy
Głos przeraźliwszy niżli jęk cierpienia,
Głos wiecznie grzmiący w piekielnej katuszy,
Cichy na ziemi, głos złego sumienia:
Sędzio straszliwy! Tyś ognie rozdmuchał
Sumieniu złemu—a Tyś mnie wysłuchał.

III.

Gdy mię spokojnym zowią dzieci świata,
Burzliwą duszę kryję przed ich okiem
I obojętna duma, jak mgły szata,
Wnętrzne pioruny pozłaca obłokiem;
I tylko w nocy, cicho, na Twe łono
Wylewam burzę, we łzy roztopioną!

1830.

MĘDRCY.

W nieczulej, ale niespokojnej dumie
Usnęli mędrcy. Wtém odgłos ich budzi,
Że Bóg widomie objawił się w tłumie
I o wieczności przemawia do ludzi.
„Zabić go, rzekli, spokojność nam miesza!“
Lecz zabić we dnie? obroni go rzesza.

Więc mędracy w nocy lampy zapalali
I na swych księgach ostrzyli rozumy
Zimne i twarde, jak miecze ze stali,
I wzięwszy z sobą uczniów ślepych tłumy,
Szli łowić Boga.—A zdrada na przedzie
Prostą ich drogą, ale zgubną wiedzie.

„Tyś to?“—krzyknęli na Maryi syna.
„Ja-m“—odpowiedział i mędracy pobladli.
„Ty jesteś?“—„Ja-m jest.“ Służalców drużyna
Uciekła w trwodze; mędracy na twarz padli;
Lecz widząc, że Bóg straszy a nie karze,
Wstali przełękli, lecz srożsi zbrodniarze.

I tajemnicze szaty z Boga zwlekli,
I szyderstwami ciało jego siekli,
I rozumami serce mu przebodli,
A Bóg ich kocha i za nich się modli.
Aż gdy do grobu дума Go złożyła,
Wyszedł z ich duszy, ciemnej jak mogiła.

Spełnili mędracy na Boga pogrzebie
Kielich swój pychy. Natura w rozruchu
Drżała o Boga; lecz pokój był w niebie.
Bóg żyje, tylko umarł w mędrców duchu.

ARCY-MISTRZ.

Jest Mistrz, co wszystkie duchy wziął do chóru
I wszystkie serca nastroił do wtóru,
Wszystkie żywioły naciągnął jak struny,
A wodząc po nich wichry i pioruny,
Jedną pieśń śpiewa i gra od początku,
A świat dotychczas nie pojął jęj wątku.

Mistrz, co malował na niebios błękicie
I malowidła odbił na tle fali,
Kolosów wzory rzezał na gór szczycie
I w głębi ziemi odlał je z metali,
A świat przez tyle wieków, z dzieł tak wiele,
Nie pojął jednej myśli twórcy.

Jest Mistrz wymowy, co bożą potęgę
W niewielu słowach objawił przed ludem,
I całą swoich myśli i dzieł księgę
Sam wytłumaczył: głosem, czynem, cudem.
Dotąd Mistrz nazbyt wielkim był dla świata;
Dziś świat nim gardzi, poznawszy w nim brata.

Sztukmistrzu ziemski, czem są twe obrazy,
Czem są twe rzeźby i twoje wyrazy?
A ty się skarżysz, że ktoś w braci tłumie
Twych myśli i mów i dzieł nie rozumie?
Spojrzyj na Mistrza i cierp, boży synu,
Nieznany, albo wzgardzony od gminu!

1830.

ROZUM I WIARA.

Kiedy rozumne, gromowładne czoło
Zgiąłem przed Panem, jak chmurę przed słońcem,
Pan je wzniósł w niebo jako tęczy koło
I umalował promieni tysiącem.

I będzie błyszczeć na świadectwo wierze,
Gdy luną klęski z niebieskiego stropu,
I gdy mój naród złęknie się potopu,
Spojrzy na tęczę—i wspomni przymierze.

Panie! Mą pychę duch pokory wzniecił;
Choć górnio błyszczę na niebios błękicie,
Panie! Ja-m blaskiem nie swoim zaświecił:
Mój blask jest słabe twych ogniów odbicie.

Przejrzałem nizkie ludzkości obszary,
Z różnych jej mniemań i barwą i szumem,
Wielkie i mętne—gdym patrzył rozumem,
Małe i jasne—przed oczyma wiary.

I was dostrzegłem, o dumni badacze!
Gdy wami burza jak śmieciem pomiata,
Zamknęci w sobie, jak w konchy ślimacze,
Chcieliście, mali, obejrzeć krąg świata.

Konieczność—rzekli—wedle ślepej woli
Panuje światu, jako księżyc morzu;
A drudzy rzekli: Przypadek swawoli
W ludziach, jak wiatry w nadziemskim przestworzu.

Jest Pan, co objął oceanu fale
I ziemię wiecznie kazał mu zamącać;
Ale granice wykował na skale,
O którą wiecznie będzie się roztrącać.

Darmo chce powstać z ziemnego pogrzebu;
Ruchomy wiecznie, ruchem swym nie władnie,
Im wyżej buchnął, tём głębiej upadnie,
Wznosząc się wiecznie, nie wzniesie ku niebu.

A promień światła, który słońce rzuci,
Na szumnęj morza igrając topieli,
Nie tonie, tylko w tęczę się rozdzieli
I znowu w niebo, z kąd wyszedł, powróci.

Rozumie ludzki! tyś mały przed Panem,
Tyś kroplą w Jego wszechmogącej dłoni!
Świat cię niezmiernym zowie oceanem
I chce ku niebu na twój wzlecieć toni.

Zdajesz się tykać brzegów widnokręga:
Daremnie z żaglem nawa leci chyża,
Opływa ziemię, niebios nie dosięga;
Twa fala nigdy ku niebu nie zbliża.

Wzdymasz się, płaszczysz, czernisz się i błyskasz,
Otchłanie ryjesz i w górę się ciskasz;
Powietrze ciemnisz chmurami mokremi
I spadasz z gradem... tyś zawsze na ziemi!

A promień wiary, którą niebo wznieca,
Topi tve krople, zapala tve gromy
I tve pogodne zwierciadła oświeca.
Ach! ty bez wiary byłbyś niewidomy!

1830.

ZDANIA I UWAGI.

STWÓRCA.

Czemu Bóg na wzór siebie stworzył naszą postać?
Bo sam lepszego wzoru nie mógł nigdzie dostać.

USTA.

W ustach jest otwór duszy, a drogie balsamy
Wietrzeją prędko, gdy je często otwieramy.

PRZESTROGA.

Choć z tobą w drogę idzie towarzyszy wielu,
Nie powierzaj im łatwo twój podróży celu,
Ni kierunku, ni środków, bo często się dzieje,
Że obok podróżnego wędrują złodzieje
I ciekawi są wiedzieć w jaką idziesz stronę,
Gdzie chowasz grosz na życie i miecz na obronę.

WSZECHWŁADZTWO LUDU.

Ludu! głosuj i zrób mi ze słoty dzień ładny,
Bo ja, sceptyk szkaradny, wątpię żeś wszechwładny.

WYBORY. (I)

Mówią, że Lapończycy na zimy miesiące
Zwykli sobie z gwiazd jedną obierać za słońce;

Gdy widzą, że obrana źle grzeje i świeci,
Idą od téj do drugiejj, od drugiejj do trzeciej;
A tak ciągnąc sejmiki, aż do zimy końca,
Nie mogą się pogodzić na obranie słońca.

WYBORY. (II).

Mamy wodza wybierać, więc się, bracia, spieszymy,
Lecz wprzód sobie pułkową muzykę obierzmy:
Na pierwszego trębacza podaję sapersą,
Niech trąbi, choć nie umie, wszak go lud wybiera.

JEŻDZIEC.

Szkapa najdzielniejszego rumaka wyprzedzi,
Jeśli, zamiast człowieka, duch na szkapie siedzi.

.

MĘDRZEC. (I)

Mędrzec dmie się jak pajak, gdy w swój norze spocznie,
Lecz gdy się spuszczać zacznie, chudnie już widocznie,
A im dłuższą nić snuje, tém się bardziej chwieje:
Oto są dogmatyków i sceptyków dzieje.

ŚWIADECTWO.

Prawnicy swe świadectwa podpisują sami:
Chłop zwykle je oznacza trzema krzyżykami;
Częściej sędzia za ważne te świadectwa przymie,
Gdzie zobaczy krzyżyki, niż gdzie własne imię.

BÓG W DUSZY.

Duszo! gdy poczniesz Boga, masz go w sercu chować.
Bo Herod już szle katów, by go zamordować
I póki twoje dziecię nie urośnie w lata,
Uciekaj do Egiptu przed oczyma świata.

PRACA.

Jeśli masz się do dzieła ważnego sposobić,
Pomyśl, czy je chcesz najpierw i czy umiesz robić;
Ja choćbym chciał i umiał, jeszcze się nie ważę,
Jeżeli mi powinność działać nie nakaze.

DZIEŁO.

Jeśli dzieło wymaga namyślań się długich,
Jeśli go nie dokończysz bez pomocy drugich,
Jeśli się wielu głupców już do niego wzięło,
Chcesz mieć czyste sumienie, porzuć takie dzieło.

ZŁE.

Dobrze, że znamy węża i że przed nim stronim,
Lecz lepiej go nie spotkać i nie wiedzieć o nim.

MĘDRZEC. (II)

Prawy mędrzec się cieszy jak pielgrzym ubogi,
Gdy spotka na pustyni towarzysza drogi;
Lecz półmędrak jak złodziej manowcami zmyka,
Bo w każdym widzi świadka lub współzawodnika.

NAUKI.

Nauki są lekarstwem, chlebem—słowo boże;
Kto ma zdrowy żołądek, bez lekarstw żyć może.

OKLASKI.

I ty się z tego cieszysz, o mądrości synu!
Żeś został z oklaskami przyjęty od gminu?
Wszak prawda w oczy kole; jeśli ci gmin klaskał,
To dowód, filozofie, żeś nie kłął, lecz głaskał.

MĘDREK.

Mędrek dmie przed swym uczniem, przed równym się
Lecz zarówno współmędrka jak ucznia nie lubi: [chlubi,
Współmędrka, żeby jego bogactw nie obliczył,
Ucznia, aby ich nie skradł lub nie odziedziczył.

BARANEK.

Nazwałeś się Barankiem, więc musiałeś, Panie,
Rodzić się wśród pasterzy, w stajence na sianie.

GOTOWOŚĆ.

Grzesznik leży, pokutnik dźwiga się na nogi,
A święty stoi prosto, gotowy do drogi.

BÓG. (I)

Nie jest punkt geometrów długi ni szeroki,
A przecież tworzy wszystkie linie i boki;
Bóg czasu nie zabiera, ani w miejscu leży,
Choć z niego miejsce wyszło i czas z niego bieży.

CIERPIENIE.

I szczęście jest nie w miejscu, ale w sobie leży,
Cierpienie tylko wiecznie ciągnie się i szerzy.

ATOM.

Świat jest tylko atomem, lecz oślepi snadnie
Najbystrzejszego mędrca, gdy mu w oko wpadnie.

DUSZA ŚWIĘTEGO.

Zaco nigdy nie wstąpi anioł w duszę świętą?
Bo ona przez samego Boga jest zajęta.

ŚWIĘCI.

Święci bezpiecznie chodzą wśród piekieł płomieni,
Ale goreją diabli grzechem napełnieni.

DZIAŁANIE.

Kiedy mowa popłynie, już uczucie ginie,
A gdy potrzebna rada, już dzieło upada.

KRZYŻ.

Odtąd przed znakiem krzyża nie pierzchną szatany,
Lecz je łatwo rozpędzi duch ukrzyżowany.

DZIEWICA I DZIECKO.

Dwie istoty szczęśliwe nawet na tym świecie,
Bo zawsze blizkie Boga: kobieta i dziecko.

SKARB.

Gdybyś szedł nocą ciemną i oczy zamrużył,
Znajdziesz skarb, któryś rano czuwając wysłużył.

BÓG. II.

Jakiego Boga do ducha weźmiesz,
Na tego podobieństwo stworzony będziesz.

Około 1836.

SEN W DREZNIE. *

Śniła się zima; ja biegłem w szeregu,
Za procesyą pod niebem, po śniegu.
Nie wiem z kąd wiemy, że na brzeg Jordana
Idziem i w górze odgłos: chwała Panu,

* Miałem sen w Dreźnie 1831 r. marca 23, który ciemny i dla mnie niezrozumiały. Wstawszy zapisałem go wierszem. Teraz, w roku 1840, przepisuję dla pamięci.

Pokój trzem królom, ludy! do Jordanu!
Ludzie obok mnie szli dwoma rzędami,
Kobiety, starce i dzieci parami,
W bieli ubrani ci, co z prawej strony,
Ci co na lewo, w żałobne opony,
Szli ze świecami wdół obróconemi;
Świece gorzały płomieniem do ziemi,
Jak złote strzały.

A ci bez światła szli, co po prawicy,
Każdy z nich w rękę niósł kwiat, zamiast świecy.
Spojrzałem w twarze: są i mnie znajome;
Złakłem się, wszystkie jak głaz nieruchome.
Wtém jedna osoba wyszła z prawej strony,
Kobieta świeci okiem przez zasłony,
Stała przy mnie; wtém wybiegł chłopczyna
I o jałmużnę dla ojca zaklina.
Dałem grosz, ona dała tyle dwoje.
Znowu sześć dałem, ona zuów we dwoje.
Zbiegli się widze; po złoto sięgamy,
Kto z nas da więcej, dajemy, szukamy.
Wstyd nam! już wszystko daliśmy, co mamy.
Lud łajał chłopcu: oddaj im, żartuj.
Oddam, rzekł chłopiec, jeżeli żałuj.
Lecz nazad przyjąć już mi się nie chciało.
Postać * mnie ręką przeżegnała białą.
Wtém weszło słońce—lato—śnieg nie spłynął,
Lecz jak ptak biały dwa skrzydła rozwinął
I skacząc leciał; niebo się odkryło
I wkoło ciepło i błękitno było!
Uczułem zapach Włoch, róż i jaśminu,

* Owa kobieta. (P. p.)

Różą pachnęły góry Palatynu.

Ujrzałem Ewę,

Jaką widziałem na albańskiej górze,

W białej sukience i ubraną w różę;

Motyle wkoło, ona między niemi

Zdała się wznosić i nie tykać ziemi.

Twarz piękna, jako przemienienie Pańskie,

Wzrok utopiła w jezioro albańskie,

Ciekawie patrzy, nie ruszy powieki,

Jakby w tej głębi modrej i dalekiej

Odbite swoje oblicze widziała

I przed jeziorem różę poprawiała.

Chciałem przywitać, lecz siły nie miałem,

Z gwałtownej chęci mówić—oniemiałem;

Lecz rozkosz moja, ach! ta rozkosz senna,

Któż ją opowie?—mocniejsza niż dzienna,

Lżejsza i miłsza; jawa ma żar słońca,

A sen łagodność i ciszę miesiąca.

Za ręce wreszcie jak siostrę ująłem;

Spojrzała ku mnie okiem niewesołem.

O siostro moja! patrząc w to twe oko,

Czuję me szczęście tak dziwnie głęboko,

Że mi się zdaje, że jestem w kościele.

Ona mi rzekła z uśmiechem dziecięcia:

Rodzice moi chcą mnie z innym swatać,

Lecz ja jaskółka chcę daleko latać;

Mam skrzydła dobre, patrz, jaki ptak ze mnie,

Lecę popłukać pióra moje w Niemnie.

Wiem ja o twoich wszystkich przyjaciółach,

Znajdę ich, leżą w grobach, po kościołach.

Muszę i w lasy, w jeziora przepadać,

I drzew popytać i z ziółkami gadać,

One o tobie dziwne rzeczy wiedzą,
Wszystko, gdzieś chodził, coś robił, powiedzą.
Słuchałem—i mnie nie zdała się ciemna
Jêj mowa, choć tak dziwna i tajemna.
I mnie się zdało, że sam lecieć mogę,
I prosiłem ją, by mnie wzięła w drogę.
Zląkłem się tylko, że chce na doliny
Iść, pytać o mnie drzewa i krzewiny,
I przypomniałem nagle wszystkie biedy,
Chwile pustoty, szaleństwa zapędy,
I czułem serce tak mocno rozdarte,
Tak jêj i szczęścia i nieba niewarte...
Wtém obaczyłem jaskółkę; z powrotem
Już leci; za nią jakby wojsko czarne:
Sosny i lipy, piołuny i cząbry,
Świadczyć przeciwko mnie.
Przebudziłem się z obliczem ku niebu,
Z rękami na krzyż, jakby do pogrzebu.
Sen mój był cichy. Łzy jeszcze płynęły
Gęsto po licach, i jeszcze wionęły
Świeżym zapachem i Włoch i jaśminu,
I gór albańskich i róż Palatynu. *

WIDZENIE.

Dźwięk mię uderzył... Nagle moje ciało,
Jak ów kwiat polny, otoczony puchem,

* Wiersze te były pisane, jak przychodziły, bez namysłu
i poprawek. (P. p.)

Prysło, zerwane anioła podmuchem
 I ziarno duszy nagie pozostało...
 I zdało mi się, że się nagle zbudził
 Ze snu straszego, co mnie długo trudził.
 I jak zbudzony ociera pot z czoła,
 Tak ocierałem moje przeszłe czyny,
 Które wisiały przy mnie jak łupiny
 Wokoło świeżo rozkwitłego zioła.
 Ziemia i cały świat, co mię otaczał,
 Gdzie dawniej dla mnie tyle było ciemnic,
 Tyle zagadek i tyle tajemnic,
 I nad którymi ja-m dawniej rozpaczał:
 Już w nim ujrzałem wszystko w głębi, na dnie,
 Jak w ciemnej wodzie, na którą blask padnie.
 Teraz widziałem całe wielkie morze,
 Płynące z środka, jak ze źródła, z Boga,
 A w niem rozlana była światłość błoga.
 I mogłem latać po całym przestworze,
 Biegać jak promień przy boskim promieniu
 Mądrości bożej; i w dziwnym widzeniu
 I światłem byłem i źrenicą razem.
 I w pierwszym, jednym rozlałem się błysku,
 Nad przyrodzenia całego obrazem:
 W każdy punkt moje rzuciłem promienie,
 A w środku siebie, jakoby w ognisku,
 Czułem odrazu całe przyrodzenie.
 Stałem się osią w nieskończonym kole:
 Sam nieruchomy czułem jego ruchy;
 Byłem w pierwotnych żywiołów żywiole,
 W miejscu, z kąd wszystkie rozchodzą się duchy
 Świat ruszające, same nieruchome,
 Jako promienie, co ze środka słońca

Leją potoki blasku i gorąca,
A słońce w środku stoi niewidome.
I byłem razem na okręgu koła,
Które się wiecznie rozszerza bez końca
I nigdy bóstwa ogarnąć nie zdoła.
I dusza moja, krąg napelniająca,
Czułem, że wiecznie będzie się rozżarzać,
I wiecznie będzie ognia jój przybywać;
Będzie się wiecznie rozwijać, rozplýwać,
Rosnąć,*rozjaśniać, rozlewać się, stwarzać
I coraz mocniej kochać swe stworzenie
I tём powiększać coraz swe zbawienie.

Przeszedłem ludzkie ciała, jak przebiega
Promień przez wodę, ale nie przylega
Do żadnej kropli: wszystkie nawskróś zmaca
I wiecznie czysty przybywa i wraca,
I uczy wodę, zkađ się światło leje,
I słońcu mówi, co się w wodzie dzieje...

Stały otworem ludzkich serc podwoje.
Patrzyłem w czaszki, jak alchemik w słoje.
Widziałem, jakie człek żądze zapalał,
Jakie i kiedy sobie myśli nalał,
Jakie lekarstwa, jakie trucizn wary
Gotował skrycie. A dokoła stali
Duchowie czarni, aniołowie biali,
Nieprzyjaciele i obrońce duszni
Skrzydłami studząc albo niecąc żary,
Śmiejąc się, płacząc, a zawsze posłuszni
Temu, którego trzymali w objęciu,
Jak jest posłuszna piastunka dziecięciu,

Które jej ojciec, pan wielki, poruczy,
Choć ta na dobre, a ta na złe uczy.

.
.
.

DO BOHDANA ZALESKIEGO.

Słowiczku mój! a leć! a piej!
Na pożegnanie piej
Wylanym łzom, spełnionym snom,
Skolichzonej piosnce twej!

Słowiczku mój! twoje pióra zzuć,
Sokole skrzydła weź
I w ostrzu szpon, złotostron
Dawidzki hymn tu nieś!

Bo wyszedł głos i padł już los,
I tajne brzemie lat
Wydało płód, i stał się cud!
I rozraduje świat!

Paryż, w sierpniu 1841.

DODATEK I.

ŻYWILA.

POWIASTKA Z DZIEIÓW LITEWSKICH.



ŻYWILA.*

POWIASTKA Z DZIEIÓW LITEWSKICH

Grekowie i rzymskiey historyey pisarze dosyć nam ku zbudowaniu podali o cnotliwych a prawie męzkiego serca białych głowach, więc i Litwie naszey na podobnych nie zeszło przykładach; gdyby iedno kto w dziejach ony wypatrzeć, a złotem piórem okryślić chciał: ale wždy widząc, iż nikt o tem iako żywo nie myśli, wziąłem przed się ile ze mnie będzie, krótką historyykę ze staroświeckich xiąg wyjętą, po prostu wam przełożyć.

Około lata Pańskiego 1400, panowało w Nowogródku, Słonimie i Lidzie, możne i potężne xiąże na imie Koryat, u tego za się była córka iedynaczka arcy-nadobna niewiasta; zwano ją Żywila, to iest Diana, gdyż i gładkością prawie cudną boginiey tey równała się i myślano pospolicie, iż ku małżeńskim ślubom znaczne wstręty miała; bo gdy xiążęta, a pa-

* *Żywila* ukazała się bezimiennie w n. 133 *Tygodnika Wileńskiego*, (tom VII, str. 113—121), dnia 28 lutego 1819 roku; pisana językiem starodawnym; do tytułu dodaną była wskazówka, że podanie wyjęto ze starożytnych rękopisów polskich, udzielenych redakcyi przez P. S. F. Ż.

ny można z dalekich stron przysyłać posły, upraszając ją sobie ku małżeństwu, wszystkim stale wzbraniała się: stąd wieść szła, iż w panińskim stanie do końca żywota być chce. Ano wcale inakże były tych uporów przyczyny. Xiężniczka Żywila od czasu niejakiego rozmiłowała się skrycie litwina Poraya, męża z rycerskiem sercem, który przez swe wyśmienite przewagi wojenne mocno był xięciu Koryatowi spodobany i w niebycie jego rząd nad wszem państwem sprawował, z kąd nie trudno mu było z lubownicą swoją tajemne schadzki miewać, gdzieby miłości swoje wynurzali i wzajemnie się pocieszali.

Stało się, iż krótko potem wrócił z wojny xiąże Koryat i zasmucił się niepomału, wielką w kochanej córce swojej upatrując przemianę. Ony łzy, ony wzdychania, ony bladeści, ony lękania się i drżenia ustawiczne przed oycem, dały mu wszystko, iako było, wyrozumieć. „Córko odrodna, zawołał, na to przywiodła cię rozpusta a wszeteczność, iż zhańbiłaś na wieki dom oycowski? Idź precz z przed oblicza mego; i ty, i kto cię na tę niecnotę zaprawił, śmiercią okrutną pomrzecie.“ Jakoż wytrąbiono z urzędu po mieście, iż ktoby wymienił gamrata księżniczki Żywili, albo o nim lice iakowe powziął, bogato udarowan odeydzie. Alić trąbienie na świat poszło, gdyż nikt nie był, coby o skrytych miłościach onych coś wiedział, abo wiedząc Koryatowi doniósł. Xiężniczka Żywila była w szczególnem zamilowaniu u sług i poddanych swoich, a na rycerza Poraya, który pokątnie nieszczęścia swego płakał, a na dworze w wesołą twarz ubrać się umiał, żadne iako żywo nie przyszło podeyrzenie.

Widząc tedy Koryat, iż wszystkie jego posłuchy i śledzenia nie skutkują, a w iedno nic się nie obrać, mocno na córkę swoją nastawał, wielkie grozy czyniąc; ale ona statecznie w cierpliwości stała. „Oycze mój, — przyznam, iżem winna znacznej winy, karay mię, otóż jestem, znam iżem niegodna znaleźć u ciebie miłosierdzie; przed się drugiey duszy niewinney gubić z sobą nie mogę, abych ciężey ieszcze Bogów nie obraziła.“ Xiążę zatem spuścił nieco z onych pierwszych srogości, iął się pochlebstwa, i złość w mowie iedwabney przykrywaiąc, obiecował iey dobrym słowem, iż grzech przepuści, abych iedno wsze-technika, coby zacz był, mógł wiedzieć.

Żywila milczała, łzami i szlochaniem odpowiadając. Xiążę tedy zagniewawszy się gniewem wielkim, kazał iedyną córę swoją w łańcuchy wsadzić i do lochu pod straż wrzucić, zkąd miała być nie długo wywiedziona ku traceniu.

I maż kto style, aby podolał opisać lamentsy i ciężkie smętki a płacze, które stąd po wszem mieście powstały? bo xieżniczkę Żywilę naród w przedniey, jakoby bóstwo iakie miał uczciwości, iakoby matkę kochaną miłował, iż rada ubogie ludzic wspierała, a srogi przeciwko poddanym umysł książęcy łagodziła.

Szedł tedy lud w gromadach wielkich na dworzec pański, gorzko płacząc a żebrząc miłości, ze strony ubogiey xieżniczki. Przed się nic uprosić nie można.

Onego czasu także na pograniczu trwały wojny między ruskimi kniaziami a Litwą. Iwan, uzbierawszy siła woysk wszelakich, miasta ubiegał, ogniem

i mieczem następował tak, iż nim się o tem wieść rozbiegła, mnogość ludu a krwie uczciwey napsował, za się szybko nadciągnawszy, niedaleko miasta obozy rozłożył.

Działo się to dniem przed świętami Peruna; na-
zajutrz miano tracić więźniczkę Żywile.

Poray od Koryata z garstką przebranego rycerstwa słany był, ażeby wstręty jakowe nieprzyjacielowi uczynić, zaczemby obrony przyzwoite u murów nastawiono. Ten, chociaż z daleko ogromniejszym a srogim sobie napastnikiem sprawę miał, przed się serca nie tracąc, na ludzie jego bez sprawy lada iako ciągnące, z taką mocą a gwałtem wielkim padł, iż je na głowę poraziwszy, do kosza wegnał, i przyszlaby dnia owego zguba ostateczna na Rusiny, gdyby noc potrzebie końca nie dała.

Poray, nie mieszkając, nieprzyjacioły woyski swemi obsaczył; sam do miasta z radosną nowiną biegał. Odprawowano w mieście wesele wielkie. Koryat naprzeciw Poraya z niemałym pocztem wyiachał, cześć mu wszelaką wyrządzając i obrońcą swoim zowąc, więc i do zamku społem na ucztę z sobą zaprosił, a gdy się sami iedni znaleźli, Poray iako stał, upadł do nóg xiążęcia, szerokiemi słowy werność a stateczność swoją wywodząc: „A toć, xiąże i panie mój, poraziłem nieprzyjacioły twoie porażką znaczną, i dadzą-li Bogowie do małego szczętu wygubić ich, w tem za się to za nagrodę sowitą mieć chcę, abyś córki twej iedyney nie tracił, a mnie ią z łaski swey w małżeństwo oddał; za którą łaskę twoją krwią i maiętnością, ile ze mnie jest, obsługować nie chybię.“ Xiążę wmiast dobroci, niechęć pokazywał,

i takimi słowy rzekł: „Poraiu, napełniłeś mię weselem i smętkiem; raduję się słysząc o tak zacnych posługach twoich, a zasię przecz wymagasz co iest nad moc moię? Owe święte a wielkie przodki nasze, Xiążęta Litewskie, wiesz iak córek swoich poddanym za mąż nie dawali, a źle z tym jest, kto krwie swey niedbały, na lekkość ią puszcza; więc i z tym, kto się z powodzeniem w pychę wbija, a zbytńie wyżej, iak nań przystało, sięga. Lepak i to imo się puszczaiąc, córka moja wyrodna domu xiążęcego godność iście splamiła.... Wierzyć nie chcę, abyś iey do takowey sromoty przywódcą był. Wždy zkądby się tak nagła ku tey wszetecznice miłość twoia wzięła?... nie rozumiem. Zaś i z tych gołych podeyrzeń oczyścić się musisz; na ten czas obaczę, co z tym mam czynić.“

Po rozhovorze takowym, rozeszli się obadwa na pozór łaskawie, obadwa gniewy wewnątrz złamali i pokryli. Poray niewdzięcznością pańską do żywego poruszony, a prawie gromem rażony, przeczuł, iż zło nad nim wisi, zemstę przeto głęboko w sercu zasadzoną ważył. Xiąże tyż rozumiał o Poraiu, iż krom wątpliwości, przez ów z xieżniczką nierząd i przez rycerskie szczęście, stolicę pana swego chce posiąść. Dla tego przemyślał, iakoby mu żywot wzięty bydź mógł, teraz uczynić tego nie śmieiąc, snadź by się rozruch nie stał pomiędzy ludem, który Poraię po mieście obrońcą wykrzykiwał; zaczym ku wytłuczeniu do reszty nieprzyjaciół, prawica Poraię jeszcze potrzebną była.

Działo się to w noc przed świątkami Peruna; nazajutrz miała być tracona xieżniczka Żywila.

Iwan tymczasem, porażony i ściśniony srodze, wyglądał, rychło mu czas ostatateczny zabłyśnie i wszelkiey nadzieie próżen, biedził się, nie wiedząc iaką lepszą radę wziąć przed się. Gdy oto draban-ci obozowi wbieżeli mówiąc, iż mąż nieiaki, w czarney zbroicy do obozu iechał, a słuchania xiążęcego prosi. Kazano go wpuścić. Szedł więc i rzekł: „Kniaziu Iwanie, Poray iestem, którym ludzie twe dwakroć po bił i ciebie obsaczonego zewsząd trzymam, a otoc przychodzę, oddać w ręce twe miasto z xiążęciem iego i ze wszytkiem dostatki i woyskiem iego. Masz mnie iedno przysiądz przysięgą wielką, iż ludzi ogniem i mieczem psować nie będziesz, a iż księżniczka pewna, w mieście uwięziona, żoną mi dana być musi ze wszelakim bezpieczeństwem.“

Iuż się zabierało na brzask przededniem świąt Peruna, a dnia onego miała bydz tracona xiężniczka Żywila.

Nagle hałas i zgiełk nad podziw wielki rozszedł się po wszem mieście; co żwawsi obywatele, zastawiając się oney gwałtowney napaści, gardła dali. Innych trwogą potłumiono, tak iż poddanność nieprzyaciółom uczynić musieli.

Poray wybiła więzienie i znajduie (zgroza mówić) ulubioną swoię, bladą, półżywą, na lichym posłaniu, lada iako porzuconą, w ciemnice. Obaczywszy Poraię zemgląła.

Niesiono ią zatym na ulicę, aby iakokolwiek oczuć, a ducha iey przywołać. Ratowano, a ona się nie czuła; zbiegł się lud to widząc, i stało się wołanie i krzyk wielki; ano przed się nie czuła. Nareszcie wdzięczne oce otwierając cudowała się mocno, widząc

w około ciżbę ludu i zbrojne męże nieprzyjacielskie. Na on czas Poray przystąpiwszy, rzekł: „Złóż twoje boiaźni najmilsza, to są boiownicy Iwana, zemściciela krzywd naszych, którego opieka z nas nie zeydzie.“ Żywila to usłyszawszy, dobrze znowu nie zemgłała, potym zasię nagle miecz od boku Poraia wychwyciwszy, tak silnie sztychem w piersi mu uderzyła, iż na skroś przepadł. „Zdrayco, wołaiąc, tak li u ciebie małą była oyczyna, iż ią dla trochę tey gładkości zaprzedałeś? człowieku beze czci, tak li odpłaciłeś za moje stateczne miłości? Aza wy obywatelowie, przecz stoicie jakoby nie do was mówiono, przecz nie obróćcie na tych oto zbóyców gniewu i zemsty waszey?“ To mówiąc, z mieczem na nieprzyjaciół blisko stojące godziła; czym lud wszystek, iakoby kto ogniem po nich rzucił, poruszony, dopadłszy co kto mógł, z broniami i mieczami, na Rusiny, nic takowego niespodziwiałe się, bieżał. Wytępiono ich moc wielką, po domiech i ulicach, resztę żywcem brano a więziono. Żywila, przybiegłszy kędy Koryat z tarasu świeżo wypuszczony stał, „Oycze mój,“ zawołała i padła bez dusze.

Pochowano ią pod Mendogową górą, kędy kopiec usypano i drzewa na pamiątkę sadzono. Staruszkowie, dziękuiąc Panu Bogu wszechmogącemu, iż ich na hańbę a urągowisko nieprzyjaciela nie podał, powtarzaią dziatkom swym imie Żywili.

DODATEK II.

WIERSE WĄTPLIWÉJ AUTENTYCZNOŚCI.

W IMIONNIKU M. S. *

Kowno, 1824 aug. 16 d.

Jak wielorakie świecą na tém błoniu kwiaty:
Jedne szumne w jaskrawych dowcipu ozdobach,
Drugie przyjaźń sadziła; te wzrastają z laty,
Inne żałośnie więdnąć zdają się na grobach,
W których są pochowane serca i nadzieje.

Kiedy pani przechodzi ten ogród pamiątek,
Nad jednym może westchnie, z wielu się rozśmieję,
Ujrzy i szczupły dla mnie oddany zakątek...

A choć równie z innymi nie możesz go cenić,
Chociaż wyda się tylko samotną drożyną,
Która, długiego słońca i niepogód winą,
Nie może się zakwiecić ani zazielenić:
Wspomnisz jednak o dróżce, choć z tego powodu,
Że przedziela kwatery pięknego ogrodu.

* Wiersz ten wydrukowano po raz pierwszy w „Birucie“ 1828 r. (w części II, str. 4) i przypisano go Mickiewiczowi, ale data obudza wielkie wątpliwości co do pochodzenia tego utworu.

DO *

Gdybym się zmienił w wstęgę złocistą,
Co na twém czole połyska;
Gdybym się zmienił w tę szatę mglistą,
Co piersi twoje przyciska:

Drżenia-bym serca twojego badał,
Czy nie odpowie mojemu;
Z twojém się łonem wznosił i spadał,
Posłuszny tchnieniu twojemu.

Gdybym się zmienił w wietrzyk skrzydlaty,
Co dysze w pogodnêm niebie:
W drodze-bym mijał najświeższe kwiaty,
A pieścił różę i ciebie.

Może nakoniec Bóg litościwy
Pracę-by moję ocenił;
Może nakoniec byłbym szczęśliwy
I w twe się serce zamienił.

* Oprócz Mickiewicza, jako autora tego wiersza podają
Mikołaja Węża (zob. „Ateneum“ 1879, t. I str. 398—400

DZIEWICA NA ROZDRÓŻU.

Improwizacya do H. S.

DZIEWICA.

Dwie drogi mam przed sobą, nie wiem kędy wiodą,
Wychodzę na świat z domu, od ojca, od matki,
Szukać i zbierać życia doczesnego kwiatki,
Co mi będą pociechą, rodzicom nagrodą.
Lecz jakie są, gdzie rosną, nic wiedzieć nie mogę.
O mój dobry pielgrzymie! opowiedz mi drogę.

PIELGRZYM.

Nie błądzi, kto się pytać ma ufność, pokorę,
Bo błędząc szukać drogi, śmiertelnych udziałem;
Na usługę podróżnych już się zestarzałem;
Wielu pyta, lecz późno, ty się pytasz w porę.
Dwa są życia ogrody i dwie do nich drogi,
Jedna idzie od wschodu, druga od zachodu,
Ta jest stroma, skalista i przybrana w głogi,
Do tego, kędy wiedzie, podobna ogrodu.
Twarda ziemia w ogrodzie i twarde są płody,
Przedniejszą tam ozdobą są dęby i skały,
Długo rośnie tam owoc, nim będzie dojrzały.
Na wysokich zbyt drzewach rwać trzeba jagody;
Niema tam chwil i godzin, same tylko lata,
Niema pór, jedna wiecznie panuje pogoda,
Niema farb, wszystko kryje jednobarwna szata,
Niema nowych zwyczajów, wiecznie jedna moda;

* Wiersz wydrukowany po raz pierwszy w „Noworoczniku litewskim na r. 1831,” str. 161—163 i przypisywany Mickiewiczowi.

Nie znają tam co różność, rozmaitość, mnóstwo,
Mieszkańcy tam jednacy, jako jedno bóstwo,
I myśl ich zawsze jedna, jako jedna wieczność
Łączy przeszłość, obecność i przyszlą konieczność.
Na cierniach i opokach spoczywa wygoda,
Wpółród trudów błógięgo zażywając stanu,
Ich użycia żywota godłem zdrowa woda,
A ich duszy obrazem, cisza oceanu.

Ten ogród jest ogrodem Cnoty-czarownicy,
Nie powabny i groźni siedzą tam strażnicy;
Lecz kto ufa, że Boga, że siebie nie zdradzi,
Lew mu bramę otworzy, słoń go zaprowadzi.

Na prawo widzisz drugą, druga idzie ścieżka,
I gładka i pochyła, kwiatami ozdobna,
Do tego, kędy wieǳie, ogrodu podobna.
Tam druga czarownica, zwodna Rozkosz mieszka.
Widziałas w piękne lato przy zachodzie słońca,
Na powietrzu krąg drobnych, niezliczonych muszek?
To jest obraz mieszkańców, ich myśli, serduszek,
Ich żywota w ogrodzie i obraz ich końca.
Murawa tam posłaniem, lecz wpółród uśpienia,
Nie odświeża mieszkańców balsam ukrzepienia;
Różnobarwnym czarują tam kwiaty kolorem,
Lecz które kwitły zrana, więǳniej wieczorem.
Tam mieszkańcy tak różni, jak różne owadki,
Ich myśli tak odmienne, jak odmienne kwiatki,
Używają ogrodu, nie syci ogrodu.
Piją miód, i wypiwszy, niekontenci z miodu.
Nie myślą tam co było, co będzie za długo,
Chcą samą, coraz inną, obecnością władać,
Jedną czasą słodycze, gorycz piją drugą,
Śmieją się, aby płakać, latają, by spadać;

Ich jestestwo tak lekkie, jak puszek i cienie,
Tron ich sławy dźwigają zefirów ramiona,
Obrazem ich żywota jest senne marzenie,
Ich szczęście błyskawica, oślepi i kona.
Kto w próżnym między ziemią a niebem zakresie
Chciałby mieć rydwan szczęścia ciągnion przez powiewy,
Niech tu idzie z ufnością i nadzieją Ewy,
Wąż mu bramę otworzy, motyl go zaniecie.

Masz ogrody i drogi, masz otwarte pole,
Lecz wybór chciej, dziewico, na twój zważyć szali;
Bo żeby woleć jedno, na to Bóg dał wolę,
A rozum, byśmy z woli przed nim sprawę zdali.

DO DEOTYMY.

(Z powodu jéj improwizacyj). *

To nie marnéj błyskawicy,
To natchnienia ogień szczery;
Nie skowronka drżące kręgi,
Co tam kwili gdzieś wysoko:
To silny polot orlicy,
Co pewna swojéj potęgi,
W nadchmurne szybuje sfery,
Zajrzeć słońcu oko w oko.
To nie pozory zachwytu,
To nie martwa forma bytu:
Tam coś nieziemskiego wieje,
Tam Duch zewsząd promienieje.

* Wiersz ten wydrukowano tylko w wydaniu warszaw-
skim pism Mickiewicza, w tomie V.

Uwierz więc w siebie, natchniona,
I niech z piersi twój ogniska
Duch, którym-eś nawiedzona
Na wsze strony jędrnie tryska.
Lecz pamiętaj, wróżko młoda,
Że do sławy ściezek wiele,
Że są duchy-zwodziciele;
Bacz, który z nich rękę poda.
 Jak cię pokrzepia otucha,
 Tak niechaj świeci przestroga:
 „Nie w każdego wierzaj ducha,
 „Lecz doświadczaj, czy jest z Boga.“

✽

✽

✽

Wpośród wszechświata obszarów
Pała słońce wiekuiste,
Zawsze święte i ogniste,
Z niego ogień twórczy bucha;
I jest lutnia Duchów-Ducha,
Strun ma siedem, z siedmiu darów;
Z tych strun wieczna pieśń wybrzmiewa:
Pean chwały, hymn żywota,
A na ich ton zgodnie śpiewa
Chór: Prawda, Piękność i Cnota.
 Co nie iskra tego Znicza,
 To wszystko mara zwodnicza;
 Co nie lutni prawe brzmienie,
 To wszystko fałsz i złudzenie.
 A nikt nie dojrzy promienia,
 Który z tego słońca bije,
 I nikt nie dosłyszysz pienia,

Co z boskiej lutni powiewa,
Tylko z wysokości drzewa,
Na którym owoc zbawienia
Raz urósł i wiecznie żyje.

* * *

Tyś tej wyżyny dostojna,
W tobie ogień święty płonie;
Imię twoje Bogobojna.
Pokora ci, ku obronie,
Niech kieruje lotem skrzydeł
I ochroni cię od sideł.

Bo tam nawpół górnej drogi,
Dokąd duch z zapalem leci,
Gdzie ci gwiazda sławy świeci,
Siedzi Pychy pająk srogi
I rozpina swoje sieci.

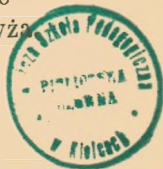
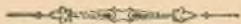
Ale ty pokonasz wroga;
Bądź tylko w tę cnotę zbrojna,
Co nam objawiona z Boga:

„Wywyższon, kto się uniża.“

Z korną modłą bez obawy

Wzlatuj, próżnej próżna sławy.

Widzę, jak się chwila zbliża,
Gdzie uwieńczy twe natchnienie
Najpiękniejsze przeznaczenie,
Gdzie cię nazwie pokolenie
Deotymą, Wieszczką Krzyża



TREŚĆ TOMU PIERWSZEGO.

	<i>Str</i>
I. ADAM MICKIEWICZ (życiorys)	I
II. BALADY I ROMANSE:	
Pierwiosnek	3
Romantyczność	5
Świtez	7
Świtezianka	14
Rybka	20
Powrót taty	25
Kurhanek Maryli	28
Do przyjaciół	23
To lubię	34
Pani Twardowska	40
Tukaj	44
Lilie	54
Dudarz	67
Ucieczka	74
Renegat	80
Czaty	83
Trzech Budrysów	85
Objaśnienia	87
III. SONETY EROTYCZNE:	
Przypomnienie	91
Do Laury	92
Widzenie się w gaju	94
Ranek i wieczór	95
Do Niemna	96
Błogosławieństwo	96
Z Petrarcki	97
Strzelec	98
Poezyo! gdzie cudny pędzel twojej ręki?	98
Rezygnacya	99
Do ***	100
Dzień dobry	102

	Str.
Dobranoc	102
Dobry wieczór	103
Do D. D.	104
Do wizytujących	104
Pożegnanie	105
Danaidy	105
Ekskuza.	107
Objaśnienia	107
IV. SONYTY KRYMSKIE	109
Objaśnienia	123
V. EROTYKI I ELEGIE:	
Żeglarz	131
Do malarza	133
Do M.	135
Do Maryi Putkamerowej	136
W sztambuchu Maryli	136
Nowy rok	137
Majtek	138
W imionniku Salomei Becu	139
W imionniku Ludwiki Mackiewiczówny	140
W imionniku H. Hołowińskiej	140
Żeglarz (w imionniku Z.).	141
W imionniku Karoliny Rzewuskiej	142
Zaloty	142
Dwa słowa	143
Niepewność	144
Do D. D.	145
Rozmowa	146
Sen	147
W imionniku *	148
W imionniku **	148
Do D. D. (elegia)	149
Godzina	150
W dzień odjazdu	153
Do imionnika Apollona Skalkowskiego	155
Na pokój grecki	155
Do imionnika panny Jaenisch	158
Do Maryi Szymanowskiej	158
Nieznajomej siostrze przyjaciółki mojej	159
W imionniku Celiny Szymanowskiej	159
Do... (na Alpach (w Splügen)	160
Do mego Cicerone w Rzymie.	161
Do H. (Znasz-li ten kraj)	162
Nad wodą wielką i t. d.	163
Gdy tu mój trup i t. d.	164

	<i>Str.</i>
Do samotności	165
Polaty się łzy me i t. d.	166
Te rozkwitłe świeżo drzewa.	166
Kochanek duchów i t. d.	168
Snuć miłość i t. d.	168

VI. PRZEMOWY, ODY I PIEŚNI.

Już się z pogodnych niebios i t. d.	173
Zima miejska	176
Impromptu powinszowania	179
Pieśń Filaretów	180
Toasty	182
Oda do młodości	183
Do Aleksandra Chodźki	186
Chór strzelców	188
Czyn	189
Śmierć pułkownika.	191
Pieśń żołnierza.	192
Wizyta pana Franciszka Grzymały	193
Ułamek z improwizacyi	194
Ad Napoleonem III	194

VII. POEZYJE RELIGIJNO-GNOMICZNE.

Hymn do N. P. Maryi	199
Do Marceliny Łempickiej.	201
Rozmowa wieczorna	202
Mędry	203
Arcy-mistrz.	205
Rozum i wiara.	206
Zdania i uwagi.	208
Sen w Dreźnie.	212
Widzenie	215
Do Bohdana Zaleskiego	218

VIII. DODATEK I.

Żywila, powiastka z dziejów litewskich	221
--	-----

IX. DODATEK II. WIERSZE WĄTPLIWEJ AUTENTYCZNOŚCI.

W imionniku M. S.	231
Do.....	232
Dziewica na rozdrożu	233
Do Deotymy	235

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

77256

Biblioteka WSP Kielce



0176872